



UUK

SZOŁEM ALEJCHEM

DZIEJE TEWJI MLECZARZA



Przełożyła Anna Dresnerowa
Wstępem opatrzył Salomon Belis-Legis
Wydawnictwo Dolnośląskie Wrocław 1989
Tytuł oryginału w języku jidysz: *TEWJE DER MILCHIKER*

Słowniczek opracowano na podstawie objaśnień Anny Dresnerowej do I wydania
książki „Dzieje Tewji Mleczarza”, Wrocław 1960.

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	3
Kotojnti	
Liścik Tewji Mleczarza do autora	12
Wielka wygrana	14
Rozwiane sny	29
Dzisiejsze dzieci.	43
Hołd	60
Chawa	75
Szprince	87
Tewje jedzie do Ziemi Świętej	101
Łech łecho	120
Wachłakłakes	134
Słowniczek.	139

Istnieje krótki życiorys Szołema Alejchema spisany na prośbę hebrajskiego literata J.H. Rawnickiego.

Powieścią autobiograficzną miała być według pierwotnego zamysłu Alejchema książka *Z jarmarku*. Trudno sobie wyobrazić ostateczny kształt dzieła, gdyby autorowi udało się napisać je w całości. Pozostawiony tom jest bardzo interesujący. Ponieważ jednak książka nie została dokończona, jesteśmy skazani na skromne dane z życiorysu pisarza. Z wiązki faktów wybieram najważniejsze.

Szołem Rabinowicz (właściwie — Szolem Nochem Wewiks) urodził się 2 marca 1859 roku w Perejasławiu w guberni połtawskiej. Lata dziecięce spędził w Woronce, maleńkiej mieścinie niedaleko Perejasławia. Do ojca przyszłego pisarza zwracano się tam per „wielce szanowny”, uważano go za bogacza, „pierwszego obywatela”, prowadził bowiem szereg interesów: był dostawcą buraków do cukrowni, handlował zbożem, dzierżawił stację pocztową. Ale wpływy z tego były niewielkie. Rodzina utrzymywała się nie z ojcowskich „wielkich interesów”, lecz z matczynego kramu bławatnego. W Woronce panowała w istocie bieda; postanowiono zatem powrócić do Perejasławia. Tam rodzice Szołema objęli dom zajezdny i karczmę. Wkrótce umarła matka, faktyczna żywicielka rodziny. Jej miejsce zajęła macocha, która nie pieściła ani Szołema, ani reszty rodzeństwa; bicie oraz głodzenie było na porządku dziennym. Z takim swoistym „folklorem” zetknął się mały Szolem w okresie szczególnej wrażliwości. Macocha pobudzała go do złośliwych wybryków, przedrzeźniała ją, zestawiał nawet słownik jej przekleństw.

Pewien znajomy rodziny doradził posłać chłopca do rosyjskiej szkoły państwowej. Szolem okazał się jednym z najzdolniejszych uczniów, otrzymał nawet stypendium. W siedemnastym roku życia ukończył gimnazjum.

W 1877 roku przyjął posadę prywatnego nauczyciela w domu bogatego żydowskiego właściciela ziemskiego, Elimelecha Łojewa, w Zofiówce. I wydarzyła

się rzecz zwyczajna — nauczyciel i uczennica pokochali się. Korepetytor musiał więc zniknąć z Zofiówki. Wreszcie rodzinie udało się złamać upór Łojewa i uzyskać zgodę na ślub, ale pod warunkiem, że zięć zdobędzie bardziej prestiżowe zajęcie niż stanowisko urzędowego rabina w Łubnej, które właśnie zajmował. W rezultacie Szolem Alejchem objął posadę u Brodzkiego, znanego fabrykanta cukru, jako nadzorca jego posiadłości w guberni jekaterynosławskiej. Po śmierci teścia młody pisarz został zarządcą pozostawionego przez niego majątku. Ziemię sprzedał i w 1887 roku osiadł w Kijowie otwierając kantor handlu zbożem, cukrem i papierami wartościowymi. Zajęty kupiectwem nie przerwał jednak podjętej tymczasem działalności pisarskiej, z roku na rok obfitszej; otrzymywał też coraz więcej listów z podziękowaniami od czytelników.

Był w tym czasie człowiekiem majątnym, postanowił zatem zostać także wydawcą i redaktorem. W 1888 roku zaczął wydawać serię „Jidisze Bibliotek” (Biblioteka Żydowska). Do współpracy zaprosił najbardziej utalentowanych pisarzy żydowskich, płacąc im przy tym zupełnie przyzwoite honoraria. Kilka wydanych przez niego pozycji stało się trybuną walki o godność języka jidysz.

W październiku 1890 roku nastąpił wielki krach. Szolem Alejchem stracił wówczas cały majątek i przestał odgrywać rolę mecenasa. Musiał uciekać za granicę, pozostawiając w Odessie rodzinę. Nastąpiły lata włóczęgi: Paryż, Wiedeń i wiele innych miast. Życie upływało w biedzie i niepokoju. Ale pisarz nigdy nie stracił energii twórczej.

Gdy teściowa spłaciła jego długi, Szolem Alejchem wrócił do Rosji. Porzucił handel i żył z pióra, ale mimo rosnącej sławy utrzymanie licznej rodziny nie było łatwe.

Jesienią 1905 roku przeżył osobiście koszmar kiszyniowskiego pogromu, chroniąc się w hotelu Imperial. Wtedy postanowił wyjechać do Stanów Zjednoczonych, lecz nie pozostał tam długo. W roku 1908, podczas triumfalnego tournée po Rosji, niespodziewanie zachorował. Okazało się, że cierpi na gruźlicę. Wyjechał na leczenie na włoską Riwierę. Akurat wtedy przypadało dwudziestopięcioletnie jego działalności literackiej i cały żydowski świat obchodził ten jubileusz. Część wpływów z uroczystości została przekazana choremu pisarzowi, który spędził sześć lat w różnych uzdrowiskach.

W 1914 roku Szolem Alejchem rozpoczął kolejny objazd skupisk żydowskich. Wybuchła jednak wojna i został zmuszony ponownie podróżować do Ameryki. I tym razem nie powiodło mu się lepiej, nie zdobył fortuny. Nadal pilnie pracował, bez wytchnienia, do dnia 13 maja 1916 roku, kiedy nadeszła śmierć.

Szolem Alejchem jest pisarzem, którego bohaterowie literaccy mieli rzeczywiste pierwowzory. Nie wymyślał ich, jedynie uzupełniał lub retuszował, kształtując artystyczną kreację. Podkreślał też, że niemal każdego ze swoich bohaterów obdarzył częścią własnego doświadczenia życiowego.

Nie trudził się nawet zmianą imion najbliższych krewnych, których wiernie opisał w swoich utworach. Zawsze trzymał się zasady: „Po co zmyślać, skoro życie jest gotową powieścią?” Pisał o sobie: „Wyławianie tego, co żywotne, z każdej rzeczy i każdego człowieka stało się u mnie chorobą. Zwykłem wszystkich naśladować, przedrzeźniać... Za to małpowanie nieraz obrywałem. W chederze byłem błaznem. Wszyscy, poza mną, śmiali się do rozpuku”. Te słowa warto zapamiętać, one żyją w dziełach Szolem Alejchema będąc pierwotną przyczyną jego specyficznego widzenia świata.

Swoją pasję pisarską wybitny satyryk uważał za coś patologicznego. „Dużo czytałem, ale więcej jeszcze pisałem. Pisałem zainspirowany tym, co przeczytałem. Pieśni, poematy, dramaty, bez liku artykułów o szerokim świecie; pisałem o wszystkim. Moje dzieła wysyłałem do wszystkich żydowskich i nieżydowskich redakcji. Pisałem bowiem po hebrajsku i po rosyjsku. A redakcje miały czym w piecu palić”. Szolem Alejchem wyznawał, że napisał w języku hebrajskim pudy, „całe wagony” artykułów, ale nikt nie chciał ich drukować: „Nie wiem dlaczego”. Dopiero, gdy spostrzegł, że oferowany towar nie znajduje nabywców, a właśnie ukazała się pierwsza gazeta w jidysz („Folksblat” Aleksandra Cederbauma), dwudziestoczteroletni pisarz spróbował szczęścia i napisał coś „w żargonie”, po żydowsku. Wkrótce otrzymał odpowiedź i zaproszenie do współpracy. Ostateczny zwrot nastąpił nieco później, kiedy ukazało się jego opowiadanie *Dos meserl* (Scyzoryk), które spotkało się z zachęcającą oceną znanego historyka i krytyka Szymona Dubnowa w miesięczniku „Woschod”. Drukował potem w rozlicznych gazetach po hebrajsku, po rosyjsku i po żydowsku. Pisywał do nich opowiadania, powieści, współpracował z dziennikami, m.in. z petersburskim „Frajnd” (Przyjaciel) wspomnianego Aleksandra Cederbauma.

Pisanie było jego namiętnością od najmłodszych lat. Tworzył ponoć łatwo. Jego muza była zawsze tuż obok. Opowiadał, że potrafił pisać o każdej porze, w każdych okolicznościach: w salonie, w pociągu, w kuchni, w restauracji, nawet podczas jazdy dorożką.

Szolem Alejchem należy do trójki pisarzy, którzy otworzyli nie rozdział, lecz całą epokę żydowskiej literatury. Wszyscy trzej — Mendele Mojcher Sforim, Szolem Alejchem i Icchak Lejb Perec — byli przedstawicielami literatury nowej, chociaż głęboko zakorzenionej w tradycji. Od nich zaczęła się wielka narodowa przemiana w sztuce.

Wszyscy trzej zasilili jidysz i rozwijając własną twórczość stali się odważnymi bojownikami o *mame loszn* (język matki). Eksperyment przedsiębiorczego Aleksandra Cederbauma, który zdecydował się wydać po żydowsku tygodniowy dodatek do hebrajskojęzycznego czasopisma „Kol Mewaser”, w ciągu dziesięciu lat (1861–1871) dowiódł siły *mame loszn*. Ten pierwszy żydowski tygodnik zdobył jako czytelnika nie statecznego obywatela, uznającego jedynie odświętny

łoszn kojdesz (język święty), język *Biblij*, lecz masy ludowe w miastach i miasteczkach. Jidysz stał się siłą społeczną.

Uwłaszczenie chłopów było wynikiem wstrząsów carskiego imperium; w szybkim tempie rozpoczął się proces przechodzenia do kapitalizmu społeczeństwa ciągle jeszcze tkwiącego w strukturze feudalnej. Reformy Aleksandra II ulżyły nieco doli mas żydowskich. Zniesiono obowiązek rekrucki, zliberalizowano ustawy o ograniczeniu miejsca zamieszkania, uprzywilejowane warstwy — ważniejsi kupcy, adwokaci, lekarze — miały prawo poruszać się po całym kraju. Żydzi przekroczyli granice zamkniętej dotąd strefy osiedleńczej. Złżały represje. Wzrosły nadzieje, że runie w końcu piramida zakazów ograniczających prawa Żydów. Żydowski chłopcy wstępowali masowo do gimnazjów, wzrosła liczba studentów Żydów, żydowskie dziewczęta uczęszczały na rozmaite kursy. Oświecenie osiągało sukcesy. Kiedy Szolem Alejchem wkroczył do literatury w początkach lat osiemdziesiątych, nadzieje już wygasły. Po zamachu na Aleksandra II (1 marca 1881 roku) fala organizowanych z błogosławieństwem władz pogromów załżała Rosję. Od połowy kwietnia 1881 roku, w ciągu czterech tygodni, pogromy ogarnęły 150 miejscowości w sześciu guberniach. Reakcyjna prasa prowadziła brudną antysemitkę kampanię, a władze stosowały coraz ostrzejsze restrykcje. Uczestnicy pogromów byli przekonani, że wydany został ukaz carski o zniszczeniu majątku żydowskiego i wykonywali swoje zadanie z wielką gorliwością. Po fali pogromów nastąpiła wielka emigracja, która osiągnęła apogeum pod koniec stulecia. Wstrząsy te przyśpieszyły rozwój społecznych i politycznych ruchów wśród ludności żydowskiej, zaznaczyło się rosnące różnicowanie klasowe. Przy okazji wyszła na jaw cała bezpodstawność twierdzenia, jakoby Żydzi byli na ogół elementem nieprodukcyjnym. Cyfry dowiodły, iż większość jest zatrudniona w zawodach, które nie mają związku z handlem, zaś sporo handlarzy klepało biedę.

Mendele Mojcher Sforim swój talent objawił w czasach, gdy dla Żyda życie oznaczało wieczną nędzę, ciemnotę i zacofanie, niezliczone ciężary, „koszykowe”, czyli podatek od straganu, oraz taksy dotyczące koszerne uboju. Szolem Alejchem był świadkiem, jak pod naporem ofensywnego kapitalizmu załamuje się to, co zdawało się trwałe i nieodmienne w egzystencji narodu. Coś drgnęło w zaskorupiałym grzędawisku. Nadchodził przełom.

W Kasrylewce — miasteczku opisywanym przez Szolema Alejchema, tak bardzo podobnym do jego rodzinnej Woronki — sytuacja wyglądała nieco groteskowo, ale i tam odbierano drgania, i tę miejscowość opanowała gorączka. Żydowskie *sztetł* także usiłowało dorosnąć do kapitalizmu. Było to tak pociągające, choć zarazem budziło przerażenie: z tysiąca robi się sto tysięcy, ze stu — milion. I wystarczy tylko zdobyć ten pierwszy milion, dalsze już same wpadną w ręce. Krewni Menachema Mendla, tytułowego bohatera powieści Szolema Alejchema, próbo-

wali wskoczyć do rozpędzonego pociągu, ale za każdym razem bezskutecznie. Zabrakło odrobiny szczęścia, coś nie zagrało. Jakże Menachem Mendel może pojąć przyczyną swoich klęsk? Przecież nie brak mu energii, a rozumu także nie musi pożyczać. Czemu innym się wiedzie, a jemu nie?!

U żadnego z pisarzy żydowskich epoka przejściowa nie jest przedstawiona tak wielowymiarowo, jak u Szołema Alejchema. U żadnego obraz nie jest tak pełny. Nikomu nie udało się ukazać na równie wielką skalę żydowskiego ducha. Szolem Alejchem zaglądał wszędzie, wszystko widział, notował i opisywał: nowobogackich i studentów jeszybotu, komiwojażerów i maklerów giełdowych, chłopów i lichwiarzy, lekarzy i aptekarzy, emigrantów i aktorów, kucharki, syjonistów, socjalistów, fantastów, nieudaczników, zbuntowanych robotników i Fedków, którzy przyjaźnią się z Chawami. Różne zawody, różne sposoby zdobywania chleba, cała galeria typów.

On widział i opisywał życie w ruchu, w nieustającej zmienności, jak na huśtawce, zależne bądź co bądź od fluktuacji światowego rynku papierów wartościowych, giełdy, wrażliwe na prawa podaży i popytu. Czas nagli. Ogromny kraj drży. Młody kapitalizm rosyjski ma przed sobą wielkie zadanie. Ale chwieje się już na nogach. Jest młody, lecz już bliski śmierci. Gigantycznym organizmem miotają sprzeczności. Te drgania, to napięcie wyczuwa w swoich „felietonach” Szolem Alejchem. Jego opowiadania, drukowane w żydowskiej prasie codziennej, odbierano jako aktualne felietony, świeżo wzięte z życia. Wytrzymały one próbę czasu, tego najsurowszego egzaminatora, a ich autor okazał się artystą, który stworzył trwałe dzieła sztuki. Był realistą o rzadkiej zdolności wiernej transformacji prawdy. Talent realisty polega na tym, że jest on zdolny pochwyć istotne problemy i nadać im artystyczny kształt. Nie pragnie pisać historii, pozostawia jednak skarby i dla historyka, i dla pisarza beletrysty, i dla psychologa. Jednocześnie jest równie atrakcyjny dla przyszłych pokoleń, jak był dla własnej generacji.

Stopniowo beletrysta brał górę nad tuzinkowym dziennikarzem. Twórczość Szołema Alejchema nasycana się z wolna barwami żywszymi, pulsowała sokami. Ale to nie malarska obrazowość pozwoliła osiągnąć pisarzowi wyżyny artyzmu. Spostrzegł on bowiem w porę coś, co jego poprzednicy i współcześni przeoczyli.

Szolem Alejchem obalił stereotyp Żyda, tysiącletniego Ahaswera, tułacza i męczennika wiecznie lamentującego nad rzekami Babilonu. Udziałem narodu wybranego jest nieustanne cierpienie. Notoryczny pechowiec Menachem Mendel to w gruncie rzeczy postać tragiczna. Powieść o nim — imię bohatera jest jej tytułem — Szolem Alejchem napisał na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Kolejne odcinki zamieszczał w prasie, podobnie jak fragmenty innej powieści, publikowane równolegle. Obie ukazały się później w postaci książek. Łączyła je forma — składały się z listów — lecz bohater *Dziejów Tewji Mleczarza*

w niczym nie przypomina Menachema Mendla. Te dwie przeciwstawne postacie zjednoczyły się w świadomości krytyki i czytelników jako dwie podstawowe wizje żydowskiego życia. Tewje żyje na wsi, lecz i tam wdziera się nowy porządek świata, niosąc konflikty i cierpienia. Wałają się mury, które tak szczelnie izolowały żydowski dom.

Niby zwykły człowiek, ten Tewje, ale niełatwo takiego spotkać. Chłop z własnym rozumieniem świata, prywatną filozofią, z interesującym podejściem do człowieka. Nie ma się za mędrca, zresztą czyta z trudem. Ale do każdej sentencji, którą zapamiętał, potrafi dodać coś od siebie, i zawsze ma to własną formę, przedstawia indywidualny punkt widzenia. Improwizuje, jeśli zapomniał akurat cytatu ze świętej księgi. Szalone tempo epoki zadziwia go, czasem nie nadąża za przemianami, lecz w krytycznej sytuacji potrafi zręcznie odnaleźć własne miejsce w nowych warunkach. Wszystko, co mówi, zabarwia swoistą kolorystyką. Emanuje człowieczeństwem. Ujmuje wdziękiem prostoty, mądrą dobrocią, przyjaznym stosunkiem do wszystkich stworzeń. Jest on przecież postacią żywą, stu-procentowym Żydem i zarazem człowiekiem uniwersalnym. To chyba wyjaśnia, dlaczego został z taką sympatią przyjęty na całym świecie.

Powieść ta zrobiła także światową karierę na deskach scen i ekranach kinowych. Jak bardzo Tewje uosabia charakterystyczny typ Żyda, świadczy piękny musical J. Bocka i J. Steina *Skrzypek na dachu*, także sfilmowany.

Szołem Alejchem to cała encyklopedia żydowskiego życia, jego dnia powszedniego, obyczajów, typów, zawodów, klas społecznych. Leksykon żydowskiego słowa, jego semantyki, zastosowań, sposobów artykulacji. Pisarz pracował z pilnością badacza-etnografa. Notes miał stale otwarty, a jego ucho chwytalo każdy nowy niuans. Zdumiewało go zawsze bogactwo słowa poety Żyda. Zapisywał dowcipy, powiedzonka, także intonacje, rytm lub nawet grymasy towarzyszące wypowiedzi. Gdy się czyta Szolem Alejchema, można zrozumieć wreszcie, co to takiego język. Język to cały człowiek. Jest sfinksem, kiedy milczy, otwartą księgą, gdy mówi. I każdy ma własny język, jemu tylko właściwy.

Był czas, gdy Icchak Lejb Perce podejrzewał, że Szolem Alejchem gotów oddać życie za dowcip, każdy bez wyjątku. Perceowi, wielkiemu mistrzowi krótkiej formy, przydałaby się odrobina satyry, ale humor pojawia się u niego bardzo rzadko. Nawet kiedy ma do czynienia ze zwykłym człowiekiem, wznosi się na niebosiężne wyżyny. Szolem Alejchem lubi dowcip. Był to ważny element jego pisarstwa, on pojął głęboki sens humoru. Ale nie interesował go dowcip wypalający się całkowicie w płaskiej facecji. Pesymista, jeśli nie jest cynikiem, obywa się bez dowcipu. Ale optymista? Jakże pisarz, jak żaden inny ukazujący zbawczy sens nadziei ubogiego Żyda, mógłby się bez niego obejść?!

Dowcip to przenikliwość śmiechu. Ktoś, z pewnością człowiek mądry, powiedział: dowcip to komedia zredukowana do minimum, choć temat mógłby służyć

również za tragedię. I to wydaje się najcenniejsze w oryginalnym humorze Szołema Alejchema, balansującego na granicy komedii i tragedii.

Istnieje rodzaj dziwnego humoru, który nazywa się śmiechem przez łzy. Dowcip z reguły mierzy wysoko, zalicza się do taktycznego arsenału opozycji. Bywa tajną bronią słabych. Bije w nowobogackiego, pyszałka, próżną chełpliwość, skąpstwo, kręctwo, fałsz; celuje i trafia we wszystko, co złe.

Kiedy się czyta Szołema Alejchema, przychodzi zdziwienie: jak zwyczajnie on pisze, swobodnie jak płynący strumyk. Pisze jakby mówił. Byli „mędrcy”, którzy powiadali: „Przecież każdy potrafi pisać jak Szolem Alejchem!” Wiele próbowało, ale już nikt nie pamięta ich imion. Drugi Szolem Alejchem jeszcze się nie narodził. A podrobić jego się nie da.

Szolem Alejchem jest samą prawdą. Prawda zaś nie znosi kłamstwa. Natychmiast wystawia przez dziurę w pończosze gołą piętę. Szolem Alejchem nie mówił jednak własnym głosem. Pozwolił mówić ludowi, którego dotąd nikt nie chciał słuchać. Pozwolił przemawiać do syta, ile dusza zapagnie, paplającym kobietom ze zbolałymi sercami oraz natrętom, których ani gabaj, ani nawet doktor nie mieli cierpliwości wysłuchać. Wzniósł dla nich trybunę.

Postacie Szołema Alejchema czytały swoje własne słowa w gazetach i nie mogły się doczekać dalszego ciągu, tak były sobą zachwycone. Gdyby autor chciał ich tylko wyśmiać, nie byłby Szolem Alejchemem.

On sam przecież pochodził z Kasrylewki. Nie był więc kimś postronnym, co to przychodzi rzucić okiem i natychmiast się wynosi. Mieszkańców Kasrylewki interesuje wszystko. Martwią się o cały świat. Każdy drobiazg biorą sobie do serca. Dreyfus — trudno, ostatecznie to ktoś z naszych, ale co ich obchodzi Burowie w Południowej Afryce?! Albo czemu mają sobie suszyć głowę Serbami?! Mało mają własnych zmartwień?

Oto w skrócie własne świadectwo Szołema Alejchema: „Dziwne jest tylko jedno: dlaczego Kasrylewka odczuwa wszystkie bóle całego świata, a nikt na całym świecie nie współczuje cierpieniom Kasrylewki”. Szolem Alejchem zmusił świat, żeby wysłuchał mieszkańców Kasrylewki. Na tym mu zależało i ten cel osiągnął.

Za życia nie miał Szolem Alejchem szczęścia do sceny. W 1905 roku po raz pierwszy i jedyne wystawiono jego dramat *Cezejt un cerszprejt* (Rozsiani i rozproszeni) po polsku. W dwa lata później — dwie inne sztuki, ale bez powodzenia u publiczności. Aktorzy osiągnęli sukcesy jedynie wygłaszając monologi Szołema Alejchema. Sukcesy sceniczne przyszły dopiero później. I to jakie! Wybitni aktorzy robili wielkie kariery odtwarzając rolę Tewji lub Menachema Mendla.

Są pisarze, którzy czerpią ze źródła ludowych opowieści. Jeden wiadrem, inny łyżką. Szolem Alejchem przepuścił ludowy nurt przez siebie. Sam się stał źródłem życia, a czerpiący z tego źródła czytelnik orzeźwia swoją duszę.

Opowiadano, że w 1905 roku w nowojorskim hotelu Astoria Szolem Alejchem spotkał się z Markiem Twainem i przedstawił się: — Jestem żydowski Mark Twain. Na to tamten: — Nie, to ja jestem amerykański Szolem Alejchem.

Salomon Belis-Legis

tłumaczył z języka jidysz
Andrzej Wróblewski

Kotojnti

Liścik Tewji Mleczarza do autora

Ku czci mego drogiego, ukochanego przyjaciela reb Szołema Alejchema! Oby was Bóg obdarzył zdrowiem i dostatkiem wraz z waszą żoną i dziatkami i obyście zaznali wiele radości i zadowolenia wszędzie, dokądkolwiek się udacie i gdziekolwiek się tylko obracać będziecie, *omejn seło!*

Kotojnti — czyli niegodny jestem, winienem zwrócić się do was słowami pra-ojca Jakuba, które ten powiedział w rozdziale *Wajiszłach*, gdy udał się na spotkanie brata swego Ezawa, nie przymierzając... A może to nie taki znów bardzo udany przykład, to proszę was, Panie Szolem Alejchem, ażebyście mi tego za złe nie wzięli, albowiem ja jestem sobie zwyczajnym stworzeniem, wy natomiast na pewno więcej ode mnie umiecie — co tu dużo gadać! We wsi, pozał się Boże, człowiek dziczeje. Kto ma tu czas zajrzeć do jakiejś świętej księgi czy przeczytać kiedyś rozdział *Chumasz* z komentarzem Rasziego albo może co innego? Jeszcze szczęście, że z nadejściem lata zjeżdżają do Bojarki na letnisko bogacze z Jehupca¹, więc można się wtedy spotkać ze światłym człowiekiem i usłyszeć jakieś mądre słowo. Możecie mi wierzyć, że ilekroć wspominam owe dni, kiedyście to siedzieli obok mnie w lesie i słuchali mojej głupiej gadaniny, raduje mnie to tak, jakbym zarobił Bóg wie ile! Nie wiem, czym pozyskałem sobie tyle upodobania w waszych oczach, że do tak niepozornego człeka jak ja nie tylko liściki piszecie, ale nawet wstawiliście moje imię do księgi, zrobili ze mnie całe szołesz sudes, jak gdybym to ja był Bóg wie kto. No, to czy ja istotnie nie powinienem rzec do was *kotojnti* — czyli niegodzien jestem... Prawdą jest, że jestem waszym przyjacielem, i niech mnie Bóg obdarzy choćby setną częścią tego, czego ja wam życzę! Widzieliście pewno dobrze, jak to ja wam służyłem jeszcze za onych dobrych czasów, kiedyście siedzieli w tej dużej daczy — pamiętacie? Dałem wam wtedy krówkę za pięćdziesiątkę, która była warta nawet jako mecyja dla złodzieja pięćdziesiąt pięć. Że co? Że na trzeci dzień zdechła? Przecież nie ja jestem temu winien, tak samo, jak nie mogłem nic poradzić na to, że ta druga krowa, którą wam potem nastreczyłem, także zdechła... Bardzo dobrze wiecie, ile zdrowia mnie to

¹Jehupec — tak autor nazywał w swych utworach Kijów (tłum.).

kosztowało; chodziłem wtedy jak bez głowy! Czy ja wiem? Zdawałoby się, że dla was byłbym gotów oddać wszystko, co najpiękniejsze i najlepsze, tak mi Panie Boże dopomóż i wam również! Oby ziściło się na przyszły rok to, co w świętych księgach piszą: „I wznów nasze dni jak przedtem. . .”

A mnie niechaj Bóg pomoże w moich zarobkach; niechaj ześle zdrowie mnie oraz mej szkapinie — nie przymierzając — i niechaj sprawi, aby moje krówki doły się obficie, iżbym nadal mógł jak najlepiej służyć moim serem i masłem tak wam, jak i wszystkim bogaczom z Jehupca, daj Boże, by szczęście sprzyjało im we wszystkich interesach i aby Stwórca zesłał im wiele dobrego, radości i zadowolenia! A wam, za waszą fatygę, za to, że się dla mnie staracie, za ten zaszczyt, który spotkał mnie dzięki waszej księdze, powiadam raz jeszcze: *Kotojnti!* Za co należy mi się aż taki „lisi kołpak” i dlaczego to ludzie całego świata mieli się nagle dowiedzieć o tym, że po tamtej stronie Bojarki, niedaleko Anatewki, żyje Żyd, którego zowią Tewje Mleczarz? Ale wy pewno wiecie, co robicie, i ja was rozumu uczyć nie potrzebuję; a jak należy pisać, też chyba wiecie sami. A co dalej, z tą resztą znaczy się, to już polegam na waszym szlachetnym charakterze i jestem pewny, że wy tam w Jehupcu zrobicie dla mnie wszystko w taki sposób, ażebym dzięki tej księdze zyskał jakąś pomoc w moich zarobkach, bo dalibóg, że nawet bardzo potrzebujący jestem. Mam zamiar pomyśleć z wolą bożą o wydaniu za mąż córki; a jak Wszechmocny — jak wy to powiadacie — podaruje jeszcze trochę życia, to może nawet wydam dwie naraz. . . Tymczasem bądźcie mi zdrowi i miejcie zawsze szczęśliwy żywot, czego wam z całego serca życzy wasz najlepszy przyjaciel,

Tewje

Tak, o najgłówniejszym zapomniałem. Gdy już skończycie tę książkę i zechcecie mi przesłać trochę pieniędzy, bądźcie tak dobrzy i poślijcie je do Anatewki, na imię tamtejszego rzezaka. Dwa razy obchodzę tam w zimie rocznicę śmierci rodziców. Raz jesienną porą przed Pokrowem, a drugi raz około *nowy-godu*, tak że wtedy — znaczy się — jestem miasteczkowym Żydem. A poza tym to takie zwyczajne sobie liściki możecie przesyłać prosto do Bojarki na moje imię, które brzmi tak oto: *Pieriedat' gospodinu Tewelu Mołocznoho, jewriej.*

Napisane w roku 1905.

Wielka wygrana

Niezwykłe wydarzenie, dzięki któremu Tewje Mleczarz, biedny Żyd obarczony mnóstwem dzieci, naraz uszczęśliwiony został w dziwacznie cudowny sposób, zasługuje na to, by opisać je w księdze. Opowiedział o tym wydarzeniu Tewje, ja zaś przekazuję jego historię słowo w słowo.

*Mejkimi meofor dał
Measzpojs jorim ewjojn.
Który podnosi z ziemi biednego,
A z kurzu wywyższa ubogiego. . .
Psalm CXIII, VII.*

Jeśli komu sądzona jest wielka wygrana, trafia ona prosto do domu, tak jak wy to mawiacie: „grającym na instrumencie getyckim” — czyli jeśli komu zacznie się dziać dobrze, leci mu ze wszystkich stron. Nie ma w tym ani specjalnego rozumu, ani umiejętności. A jeśli dzieje się, broń Boże, na odwrót — wtedy możecie nawet pęknąć wyrzekając, a pomoże to wam jak umarłemu bańki. Jak wy to zwykle mawiacie: „Na nic się nie zda rozum i nie ma żadnej rady przeciw”. . . złemu koniowi. Człowiek tyra, haruje, choć się tu wyciągnij, o wrogach Syjonu niechaj to będzie powiedziane, i zdychaj!

A nagle nie wiadomo skąd, jak to w księgach świętych piszą: „Ulga i ocalenie sprzyjać będą Żydom”. . . nie muszę wam tego chyba tłumaczyć, ale znaczenie tych słów jest takowe: Żyd, „jak długo dusza kołacze się w jego piersiach” — czyli tętni w nim chociażby jedna żyłka — nie powinien tracić ufności w Panu. Doświadczyłem tego i sam przekonałem się o tym, w jaki sposób Najwyższy pokierował mną i moim teraźniejszym zarobkowaniem. No bo skąd ja ni stąd, ni z owąd do sprzedawania masła i sera, skoro babka mojej babki nigdy nie handlowała nabiałem? Doprawdy warto, żebyście wysłuchali tej historii od początku do końca. Usiądę sobie na chwilkę, o tutaj, obok was na trawie, i niechaj konik sobie tymczasem nieco pożuje, jak wy to mawiacie: „dusza wszelkiego, co żyje” — czyli zwierzę też jest tworem boskim.

Słowem, było to w czasie Szawuot, czyli około Zielonych Świąt. Żeby wam nie skłamać, mogło to nawet być jaki tydzień, dwa przed świętami, a może, ha?

A może nawet parę tygodni po Szawuot. Nie zapomnijcie, że od tego czasu minęło już powolutku, ażeby wam to dokładnie powiedzieć, ni mniej, ni więcej niż cały rok i jeszcze jedna środa, czyli akurat lat dziewięć albo dziesięć, a może jeszcze z nawiązką. Byłem wtedy, jak mnie oto widzicie, wcale nie ten Tewje co teraz; to znaczy, że byłem nawet ten sam Tewje, a jednak nie ten sam. Jak wy to zwykliście mawiać: „Ta sama Jenta, tylko w innym czepku”. A co to znaczy? To znaczy, że byłem — oby was Bóg tym nie doświadczył — nędzarzem, jakiego świat nie widział. Chociaż jeśli zechcemy to samo rozważyć z odwrotnej strony, to i dziś jeszcze daleko mi do miana bogacza. To, czego mnie brakuje, ażeby dorównać Brodzkiemu, możemy sobie obaj życzyć zarobić w przeciągu całego lata aż po święto Sukot, ale w porównaniu z tym, jak wiodło mi się kiedyś, to już dzisiaj — znaczy się — jestem zamożnym Żydem. Posiadam własnego konika i furmankę, parę krówek — bez uroku — i prócz tych jeszcze jedną, która się lada dzień ocieli. Jest — oby nie zgrzeszyć — ser, masło i świeża śmietana codziennie, z własnej pracy. Albowiem wszyscy harujemy i nikt nie próżnuje. Moja żona, aby żyła jak najdłużej, doi krowy; dzieci dźwigają bańki, zbijają masło, a ja sam, jak widzicie, wyjeżdżam co dzień rano na targ, zaglądam do każdej daczy w Bojarce, widuję się z tym, z owym, z najbardziej poważnymi gospodarzami Jehupca. Człowiek pogawędzi trochę z takim jegomościem i poczuje, że też jest kimś na tym bożym świecie, a nie — jak wy to mawiacie — kulejącym krawcem. A zwłaszcza gdy nadchodzi sobota — wtedy to ja doprawdy jestem istnym królem. Zaglądam do księgi świętej, odmawiam rozdział *Chumasz*, trochę *Targum*, *Tehilim*, *Perek*, to, tamto, owo, bo ja wiem? . . . Patrzycie na mnie, panie Szotelem Alejchem, i myślicie sobie pewnie: „E, ten oto Tewje to przecież doprawdy Żyd, co to *kotoryj*² nie jest zgoła żaden kiep!” . . .

Słowem, o czym to ja zacząłem opowiadać? Tak, otóż byłem wtedy, znaczy się, z boską pomocą, nie lada biedakiem i umierałem z głodu wraz z żoną i dziećmi trzy razy dziennie prócz wieczerzy — oby się to żadnemu Żydowi nie przytrafiło. Harowałem jak wół, ciągnąłem — niech to wam wstydu nie przyniesie — pełen wóz kłoców z lasu na stację za dwa złociszki dziennie, a w dodatku nie co dzień. I z tego miałem utrzymać taki dom żarłoków — oby zdrowi byli — mając jeszcze, nie przymierzając, konika na wyżywieniu, który nie chce rozumieć tego, co Raszi wyjaśnia, i żąda co dzień świeżego obroku, bez żadnych wykrętów. Cóż czyni Pan Bóg? Jest przecież — jak to wy mówicie — „karmiący i żywiący wszystkich” — czyli rządzi tym światem mądrze i rozumnie; widząc, że ja się tak męczę, by zdobyć ten kęs chleba, powiada do mnie tak: „Ty pewno myślisz, Tewje, że jest już "po zakończeniu wszystkiego" — czyli nastał koniec świata? Niebo się na ciebie zważyło? Fe! Jesteś wielkim głupcem! Zobacysz, że skoro

²*Kotoryj* — (ros. „który”) zaimkowi temu ledwo rozumiejący po rosyjsku Tewje nadaje jakieś specjalne znaczenie bliżej nie określonej zalety (tłum.).

tylko taka będzie wola boska, przeznaczenie odwróci się w mig *na liewo krugom* i blask zajaśnieje we wszystkich zakątkach”. Dzieje się to właśnie tak, jak my to mówimy w *Unetana Tokef* „Kto wywyższony zostanie, a kto pogiębiony” — czyli kto będzie jeździł bryczką, a kto maszerował na piechtę. Najgłówniejsze to ufność — *bitoche*. Każdy Żyd powinien ufać; nie wolno mu tracić ufności w Panu. Tylko że co? Że tymczasem człowiek się męczy? Otóż to właśnie! Przecież dlatego jesteśmy Żydami na tym świecie i jak to wy mówicie: „Ty nas wybrałeś spośród wszystkich narodów” — czyli toż nie darmo cały świat nam zazdrości. . . Względem czego ja to mówię? Względem tego, jak to Pan Bóg niemal cudami i objawieniami pokierował moim losem. Możecie posłuchać.

I nastał dzień, w którym jechałem sobie letnią porą o zmroku, przez las. Wraciałem do domu już bez kłoców, głowa — nachylona ku ziemi, na sercu ponuro i ciężko. Biedna szkapina ledwo płacze nogami, choć ty ją posiekaj. „Wlecz się — powiadam — nieszczęśniku, do grobu wraz ze mną. Wiedz i ty, co znaczy post w długi letni dzień, skoro masz zaszczyt służyć u Tewji w postaci konia!” Dookoła panuje cisza. Każdy świst bata rozbrzmiewa odgłosem po lesie. Słońce zapada, dzień wygasa. Cienie drzew ciągną się — długie jak żydowski gośes. Ściemnia się, na duszy robi się smętnie. Różne myśli i rozważania wążą do głowy, rozmaite postacie ludzi dawno zmarłych zjawiają mi się przed oczami. Wtem przypominam sobie o domu — och i jej! W izbie szaro i ciemno, dzieciaki — oby zdrowe były — gołe i bose, wypatrują — biedactwa — ojca nedorajdy, a nuż przywiezie świeży bochen chleba, a może nawet kawał bułki. A ona, moja stara, zrzędzi pewno, jak to zwykle kobieta: „Trzeba mi było dzieci mu rodzić i jeszcze siedmioro w dodatku! Choć weź, oby mnie Pan Bóg nie ukarał za te słowa, i wrzuc je żywcem do rzeki”. Dobrze to wysłuchiwać wciąż takiej gadaniny? Przecież jest się tylko człowiekiem, jak wy to mawiacie: „zwyczajnym *boser wedogim*” i żołądka słowami napęlić nie można. Skoro weźmie się do ust kawał śledzia, zachciewa się potem herbaty, a do herbaty trzeba cukru, cukier zaś — powiadacie — jest u Brodzkiego. „Już bez tego kęsa chleba — mawia moja żona, oby długo żyła — kiszka jakoś się obejdzie. Nie szkodzi. Ale bez szklanki herbaty z rana — powiada — jestem po prostu trupem; dziecko — skarży się żona — wyciąga ze mnie wszystkie soki!” No, a tymczasem jest się przecież Żydem na tym świecie; Mincha nie jest wprawdzie, jak to wy mawiacie, kozą i nie ucieknie, ale zawsze pomodlić się trzeba. Możecie sobie wyobrazić, co to za piękna modlitwa być może, jeśli właśnie wtedy, gdy trzeba stanąć do Szmone Esrej, konik, jakby za namową szatana, wyczynia niestworzone harce. Trzeba biegać za furą, zaciągać lejce śpiewając jednocześnie: „Boże Abrahama, Boże Izaaka i Boże Jakuba”. Ładnie to ja odmówiłem Szmone Esrej, ha? A tutaj, jak na złość, człek ma ochotę pomodlić się szczerze, z całego serca, może jakoś na duszy lżej będzie. . .

Słowem, gonię za wozem i odmawiam modlitwę na głos, ze śpiewem, jak — nie przymierzając — w bóżnicy przed amboną; „karmiący wszystkich żyjących

w swej łasce” — czyli Ten, który karmi wszystkie swoje stworzenia i „spełnia swe przyrzeczenia wobec drzemiących w prochu” — czyli nawet wobec tych, co to leżą głęboko w ziemi i pieką obwarzanki. Oj, myślę sobie, tośmy to pograżeni głęboko w ziemi! Oj, to się też człowiek namitręży! Nie tak, jak tamci, na przykład ci bogacze z Jehupca (o nich to ja mówię), co to przez całe lato siedzą na letniku w Bojarce, jedzą i piją i opływają we wszystkie dostatki. Oj, Panie Wszechświata, za cóż mi się to należy? Zdaje się, że jestem takim samym Żydem, jak wszyscy inni. Gwałtu! Boże jedyny! „Spójrz na naszą mękę” — patrz, mówię, i zastanów się nad tym, jak to my harujemy, i ujmij krzywdy nieszczęsnych biedaków, albowiem kto się za nimi wstawi prócz Ciebie? „Ulecz nas, iżbyśmy uzdrowieni byli” — czyli ześlij nam lek, albowiem chorób i wrzodów nam nie brak... „Błogosław nas” — czyli pobłogosław nas pomyślnym rokiem; spraw, ażeby był urodzaj na wszystkie rodzaje zbóż: na żyto, pszenicę i jęczmień... chociaż, rozważywszy to samo z drugiej strony, to co mnie, nieszczęśnikowi, przyjdzie z tego? Dajmy na to, na przykład, co mojej szkapinie po tym, czy owies jest drogi, czy tani?

Ale, fe! Panu Bogu nie zadaje się żadnych pytań, a zwłaszcza nie robi tego Żyd, który powinien wszystko przyjąć z miłością mówiąc przy tym: „i to ku dobremu” — czyli pewno taka jest wola boża. „A donosiciele” — czyli a owi „strykraci”, co to twierdzą, że nie ma Boga na świecie, ładnie to oni będą wyglądali, kiedy przyjdą tam! Odchorują to z procentem, albowiem On jest Bogiem „pokonującym wrogów” — czyli jest dobrym płatnikiem i z Nim żartów stroić się nie godzi. Należy z Nim postępować po dobremu, prosić Go, wołać doń: „Wysłuchaj głosu naszego” — czyli usłysz nasze wołanie, „zlituj się nad nami” — czyli miej litość nad moją żoną i dziećmi, ponieważ głodne są! „Racz” — czyli oby taka była wola Twoja, by ukochany Twój lud Izraela — powiadam — teraz jak i ongiś w świątyni, podczas gdy kapłani i lewici...

Wtem — stój! Konik zatrzymał się nagle. W pośpiechu dokończyłem modlitwy, podniosłem oczy i cóż ujrzałem? Dwa cudacznie dziwne stwory niezwykle odziane lub przebrane zbliżają się z przeciwka. „Bandyci!” — przeszło mi przez myśl, ale zmiarkowałem się w porę. Fe, Tewje, jesteś niemądry! Jakże to tak! Jeździsz przez ten las już tyle lat, w dzień i w nocy, i akurat teraz przyszło ci nagle do głowy: „bandyci!” — Wio! — zawołałem i nabrawszy odwagi zdzieliłem konika kilka razy po zadzie, jak gdyby tu nie o mnie chodziło.

— Reb Id! Słuchajcie no, reb Korew! — odzywa się jeden z tych stworów głosem niewieścim i macha do mnie chusteczką. — Zatrzymajcie no się na chwilkę! Poczekajcie minutkę! Nie uciekajcie! Nikt wam, broń Boże, niczego złego nie zrobi!

„Aha! Zły!” — pomyślałem, ale natychmiast rzekłem do samego siebie: „Ty bydlę w postaci konia! Skąd raptem ni stąd, ni zowąd duchy i diabły?” Zatrzymałem konia i zacząłem przyglądać się uważniej tym dwom postaciom. Niewiasty.

Jedna starsza w jedwabnej chusteczce na głowie, druga młodsza w peruce. Obie czerwone jak ćwik i bardzo zziajane.

— Dobry wieczór, *skoł kumt* — powiadam do nich bardzo donośnie i niby to w dobrym nastroju. — Czego sobie życzycie? Jeśli macie zamiar coś kupić, to u mnie nie znajdziecie niczego z wyjątkiem bólów wnętrzości — niechaj to moich wrogów dotknie — lub bólów serdecznych na czczy żołądek, albo zawrotów głowy, suchych utrapień i wilgotnych zmartwień, sypiących się nieszczęść. . .

— Sza! Sza! — zawołały kobiety. — Patrzcie no, jak ten rozpuścił swój język! Jeśli kto zaczepi Żyda bodaj słowem, już nie jest pewien życia! Nie chcemy niczego kupować, chciałyśmy was tylko zapytać, czy wiecie może, jak tu znaleźć drogę do Bojarki?

— Do Bojarki? — mówię niby ze śmiechem. — To tak samo, jak byście mnie zapytały, czy ja wiem, że wołają mnie Tewje?

— Ach tak! Wołają was Tewje? Dobry wieczór wam, reb Tewje. Nie rozumiemy — mówią one — co w tym śmiesznego? Jesteśmy nietutejsze, z Jehupca jesteśmy, i mieszkamy tu w Bojarce na daczycy. Wyszłyśmy na chwilę na spacer i kołujemy już po tym lesie od samiutkiego rana! Błądzimy i błądzimy, i w żaden sposób nie możemy trafić na właściwą drogę. . . Tymczasem — powiadają — usłyszałyśmy, że ktoś śpiewa w lesie. Z początku sądziłyśmy, że to może — broń Boże — bandyta; ale jakżeśmy was z bliska zobaczyły — powiadają — i poznały, żeście, dzięki Bogu, Żyd, zrobiło nam się nieco lżej na duszy. Teraz zrozumieliście?

— Cha, cha, cha — wcale ładny bandyta! — powiadam. — Słyszałyście może — mówię — bajkę o żydowskim bandycie, co to napadł na przechodnia i poprosił go o szczyptę tabaki? Jeśli chcecie — powiadam — mogę wam opowiedzieć o tym.

— Pozostawcie — one mi na to — tę bajkę na kiedy indziej! Wskażcie nam lepiej drogę do Bojarki!

— Do Bojarki? — mówię. — Jakże to tak? Przecież to jest właśnie droga prowadząca do Bojarki. Gdybyście nawet — powiadam — nie chciały, to musicie idąc tą drogą trafić prosto do Bojarki.

— Czemu więc nic nie mówicie? — powiadają do mnie kobiety.

— A cóż mam robić? — odpowiadam. — Krzyżeć?

— Skoro tak — mówią one — to pewno wiecie także, jak daleko stąd do Bojarki?

— Do Bojarki — powiadam — stąd niedaleko. Kilka wiorst zaledwie. To znaczy — mówię — jakieś pięć, sześć albo siedem wiorst, a może nawet całych osiem.

— Osiem wiorst? — zawołały obie naraz, załamały ręce i omal się nie rozpląkały. — Jak to tak, co też wy mówicie? Czy wy wiecie, coście powiedzieli? Bagatelka! Powiedzieć sobie: osiem wiorst?!

— No — rzekłem — cóż ja mogę na to poradzić? Gdyby to ode mnie zależało, tobym trochę skrócił tę drogę. Człowiek — mówię — winien wszystkiego na tym świecie doświadczyć. W podróży zdarza się niekiedy, że trzeba — powiadam — wlec się w błoto pod górę, i to w dodatku w piątek, gdy deszcz chlupie prosto w twarz, ręce grabieją, serce mdleje, a wtem — trrrrach! i oś pęka. . .

— Przecież wy mówicie jak pomyłony — rzekły obie kobiety. — Dalibóg, że jesteście chyba niespełna rozumu! Opowiadacie jakieś banialuki, niestworzone rzeczy, bajki z tysiąca i jednej nocy. . . My już sił nie mamy powłóczyć nogami; przez cały dzień, prócz filiżanki kawy i bułeczki maślanej, niczego nie miałyśmy w ustach, a wy tu zaczynacie opowiadać swoje dzikie historie!

— Skoro tak — ja im na to — to co innego. Uczucie głodu jest mi dobrze znane i, jak to powiadają, nikt w tany nie pójdzie zamiast zasiąść do posiłku! Jest nawet bardzo prawdopodobne i mogło się zdarzyć, że ja kawy i maślanej bułeczki nie widziałem na oczy ładne parę lat. . . — I gdy tak oto mówię, staje mi nagle przed oczami filiżanka gorącej kawy z mlekiem ze świeżą bułką maślaną i jeszcze wiele innych smakowitych rzeczy. . . „Ach, ty niedołęgo! — myślę sobie. — Nie inaczej, tylko na kawie i maślanym pieczywie wychowany zostałeś, co? A kawał chleba ze śledziem nie łaska? Choryś może?” Ale on, jejcer horo, bodajby szczeźł, jak na przekór podsuwa mi myśl o kawie, jak na złość myśl o bułkach! Czuję zapach kawy, czuję smak maślanych bułeczek, świeżych, smacznych, ożywiających duszę!

— Wiecie wy co, reb Tewje? — mówią do mnie obie niewiasty. — A może byśmy tak, jak oto stoimy, wlażyły na waszą furmankę, a wy byście się pofatygowali i zawieźli nas, za pozwoleniem, z powrotem do domu, do Bojarki znaczy? Co wy na to?

— To jest takie porównanie — powiadam — jak „czerep stłuczony”. Ja wracam z Bojarki, a wy chcecie jechać do Bojarki! Jakże tu przejdzie kot przez wodę?

— No to co? — odpowiadają kobiety. — Nie wiecie, co się robi w takim wypadku? Żyd-lamden zawsze sobie jakoś poradzi. Zawraca furmankę i jedzie z powrotem. Nie bójcie się, reb Tewje — powiadają — bądźcie pewni, że jeśli z wolą boską Wiekuisty sprawi, iż wrócimy do domu w pokoju, wtedy życzymy sobie odchorować to, co wy do tego interesu dołożycie.

Jakoś mówią one do mnie targum łoszn! — myślę sobie — jakoś skrycie, nie tak jak zwykli ludzie! — I przychodzą mi na myśl umarli, czarownice, duchy, niestworzone rzeczy. *Szojte ben pikhołc!* — myślę sobie. Czemu tkwisz jak kołek w miejscu? Wleż na furę, pokaż koniowi bata i zmykaj, pókiś cały! Ale jakby za sprawą szatana wyrwało mi się niechcący z ust:

— Właźcie na furę!

Ledwo usłyszały te słowa (nie trzeba było długo prosić), wlażyły do wozu, ja za nimi na kozły, wy kierowałem dyszel nazad, zaciąłem szkapinę, raz, dwa, trzy i *paszo!* Ale gdzie tam! Ale skąd! Ani się zaczyna! Nie chce ruszyć z miejsca,

choć ty go poćwiartuj! „No — myślę — już teraz rozumiem, co to są za niewiasty... Diabli nadali, ażebym zatrzymał się pośród drogi i wszczął pogawędkę z kobietami?”... Czy wy to aby pojmujecie? Z jednej strony las, zmrok zapada, smutek człowieka ogarnia, zbliża się ciemna noc — a tu te dwa stworzenia — niby to niewiasty... Wyobraźnia „pracuje” całą parą. Przypominam sobie bajkę o woźnicy, który sam jeden jechał przez las i zauważył worek owsa na drodze. Widząc owies nie lenił się, zeskoczył z wozu, włożył worek na plecy, omal się przy tym nie podźwignął, ledwo wtaszczył go na furę i „poszedł w swój świat” — czyli pojechał dalej. Odjechał niecałą wiorstę, obejrzał się na worek — ani worka, ani owsa. Jakaś koza leży na furze, koza z bródką; chciał ją dotknąć — a ona wystawiła język długości arsyzna, wybuchła dziwnie dzikim śmiechem i znikła.

— Dlaczego nie ruszacie? — pytają kobiety.

— Dlaczego nie ruszam? — powiadam. — Przecież widzicie, dlaczego. Szkapina nie chce modlić się, nie jest w humorze.

— Dajcie jej batogiem — powiadają. — Przecież macie bat.

— Dziękuję wam — powiadam — za radę. Dobrze, że mi o tym przypomnieliście. Całe nieszczęście tkwi w tym — mówię — że mój młodzieniec nie lęka się zbyt tych rzeczy. Już tak przywykł do bata, jak ja do biedy — powiadam do nich niby żartem, a trzęsę się jednocześnie jakby w ataku febry.

Słowem, co wam tu przewlekać dłużej — całe swe zgorzkniałe serce wylałem na biednego konia. Tak długo się to ciągnęło, póki Pan Bóg nie pomógł, że ruszył z miejsca i „wyjechali z Refidim” — czyli ruszyliśmy przez las prosto naszą drogą. Gdy tak oto jechałem, przeleciała mi przez głowę inna zgoła myśl: „Oj, Tewje, ale z ciebie bydlak! Jak to piszą w świętych księgach: „Skoro zacząłeś padać” — czyli nędzarzem byłeś i biedakiem pozostaniesz. Skoro Pan Bóg zesłał ci taką gratkę, która może się przytrafić raz na sto lat, jakże mogłeś nie umówić się z góry co do ceny, żebyś przynajmniej wiedział, „jak drogo ci się to obejdzie” — czyli co za to będziesz miał? Jeśli rozważymy to pod względem sprawiedliwości, a nawet prawości, czy pod względem ludzkiego postępowania, czy też prawa rabinackiego, czy według zakonu, a nawet nie wiadomo według czego, nie byłoby to wcale krzywdzące, gdybym coś na tym zarobił, a może nawet coś niecoś uszczknął, jeśli już taki traf raz mi się zdarzył? Zatrzymaj, głupcze, konia i powiedz im wyraźnie, *berochet bitcho hanakete*: czyli jeśli otrzymam od was tyle i tyle — dobrze; o ile zaś nie, poprosimy was łaskawie zejść z furmanki!” Ale natychmiast pomyślałem sobie: „Jesteś doprawdy niebywałym głupcem, Tewje! Czy ty nie wiesz, że skóry niedźwiedziej nie należy sprzedawać w lesie? Jak to chłop powiada: *Szcze ne spojman, a wże skube*... czyli jeszcze nie złapał, a już skubie...”

— Czemu nie jedzicie nieco szybciej? — pytają kobiety poszturchując mnie z tyłu.

— A czegoż wam się tak śpieszy? — odpowiadam. — Z pośpiechu nigdy nic dobrego nie wychodzi — mówię i spoglądam z boku na moje pasażerki. Zdawać by się mogło, że to kobiety, jak wszystkie inne; jedna w jedwabnej chustce, druga w peruce, siedzą obok siebie, patrzą na siebie i szepcą coś między sobą.

— Jeszcze daleko? — pytają mnie.

— Na pewno nie bliżej — powiadam — niż stąd do Bojarki. Za chwilę — mówię — będzie góra, potem zjedziemy w dół, następnie pojedziemy znowu w górę, a dopiero potem — prawie — będzie ta właściwa droga w górę, a już stamtąd dopiero szlak prowadzi prosto, prościuteńko do Bojarki. . .

— Jakiś utrapieniec! — rzekła jedna do drugiej.

— Kupa nieszczęścia! — odpowiada tamta.

— A to ci dopiero dodatek do naszych zmartwień! — mówi pierwsza.

— A mnie się wydaje, że to całkiem zwyczajnie wariat! — odpowiada ta druga.

„Naturalnie — myślę sobie — że jestem wariatem, jeśli pozwoliłem się wodzić przez was za nos!”

— Gdzież wy się na przykład, dajmy na to, moje miłe niewiasty, każecie zrzucić? — odzywam się do nich.

— Co to znaczy „zrzucić”? Co to za zrzucanie znowu?

— To się tylko tak mówi w naszym furmańskim języku. Po naszymu znaczy to: dokąd każecie się zawieźć, gdy — powiadam — przybędziemy do Bojarki z woli boskiej i z pomocą Wszechmocnego w zdrowiu i całości, jeśli Pan Bóg nie poskapi żywota? Jak się to mówi: lepiej dwa razy zapytać, niż raz zbłądzić.

— Ach, o to wam chodzi? Zawieziecie nas, z łaski swojej — mówią one — do zielonej daczy tuż przy rzeczce, po tamtej stronie lasu. Wiecie, gdzie to jest?

— A dlaczegoż bym nie miał wiedzieć? — odrzekłem. — Znam Bojarkę jak własny dom. Obym posiadał tyle tysięcy, ile kłoców tam zawlokłem. Dopiero zeszłego roku w lecie dostarczyłem dwie miary drzewa do zielonej daczy. Mieszkał tam wówczas wielki bogacz z Jehupca, milionszczyk, który pewno posiada swoje sto, a może nawet całe dwieście tysięcy rubli.

— On tam teraz także mieszka — odzywają się kobiety, chichoczą, przeglądają się i szepczą ze sobą.

— Sza — powiadam — „skoro bóle i męki ciąży istotnie są tak okropne”, to przecież może się i czasem zdarzyć, że wy macie z nim jakąś styczność, czy też coś wspólnego, i może zechciałybyście czasem przemówić tam za mnie jakieś słówko względem pomocy dla mnie, zarobku, jakiejś pracy czy czegoś innego w tym rodzaju? Znam — rzekłem — jednego młodzieńca, któremu na imię Isroel, a pochodzi z naszych stron i był po prostu niczym; otóż udało mu się jakoś dobić się do tego bogacza, nie wiadomo jak, skąd i gdzie — słowem, dziś jest cały *ja tobi dam*, zarabia może dwadzieścia rubli tygodniowo, a może nawet czterdzieści, czy ja wiem? Ludzie mają szczęście! Czy, powiedzmy, czego brakuje, dla przykładu,

zięciowi naszego rzezaka? Co by z niego wyszło, gdyby się nie udał do Jehupca? Prawda, że w przeciagu pierwszych kilku lat porządnie nałykał się biedy, omal nie umarł z głodu, ale za to teraz? Oby mnie się tak powodziło, bez szkody dla niego! Już przysyła pieniądze do domu. Chce nawet zabrać do siebie żonę i dzieci. Cóż, kiedy nie pozwalają mu tam mieszkać. To wy się pewno zapytacie: jakżeż on tam mieszka? Otóż męczy się i już... Sza — powiadam do nich — jeśli człowiek żyje, to wszystkiego się w końcu doczeka; oto rzeczka, a oto dacza — powiadam i zajeżdżam z fasonem, niczym gospodarz prosto dyszłem w ganek.

Ledwo nas zobaczono, wybuchła radość, uciecha, krzyk, hałas: — Oj, babcia! Mama! Ciotka! Zguba się znalazła! *Mazł tow!*... Gwałtu, gdzieżeście były? Cały dzień chodziliśmy jak bez głowy... Myśleliśmy — wszystko się może zdarzyć — może czasem wilki, bandyci, broń Boże! Co się stało?

— To nawet wcale ładna historia. Nic takiego: zablądziłyśmy w lesie, zaszyłyśmy hen daleko, aż z dziesięć wiorst stąd. Nagle zjawił się jakiś Żyd...

— Jaki Żyd?

— Żyd niedołęga z furmanką... Ledwo żeśmy go uprosiły, ażeby nas zawiódł do domu... Coś podobnego... Jak jakiś potworny sen... Same, bez ochrony... To ci zdarzenie... To ci przygoda... Należy odmówić modły za ocalenie...

Słowem, wyniesiono lampy na ganek, nakryto stoły i zaczęto znosić gorące samowary, tace z zastawą do herbaty, z cukrem, z konfiturami, z dobrymi omletami, ze świeżym pieczywem maślanym; znoszono najrozmaitsze pachnące potrawy, najdroższe specjały; tłuste rosoliki, pieczone, dużo gęsiny, najdroższe wina i nalewki. Ja stałem sobie z daleka i przyglądałem się, jak to — bez uroku — jada się i pije u bogaczy z Jehupca, oby im czyjeś złe spojrzenie nie zaszkodziło. „Wszystko w zastaw oddać — a bogaczem być!” Zdawałoby się... Zresztą, czy ja wiem? Co tu się wszystko poniewiera na ziemi, co tu się wszystko wyrzuca, starczyłoby dla moich dzieci na cały tydzień, aż do samej soboty. Gwałtu, Panie Wszechmocny, szczerze umiłowany! Jesteś przecież Panem pełnym miłosierdzia, jesteś potężnym Bogiem, dobrym Bogiem, Bogiem pełnym łaski i sprawiedliwości, jakżeż Ty możesz obdarzyć jednego wszystkim, a drugiemu nie dać niczego? Jednemu bułeczki maślane, a drugiemu plagi egipskie? A znowu chcąc rozważyć to samo z odwrotnej strony — pomyślałem: „E, tam! Głupiś, Tewje! Dalibóg! Chcesz Jemu doradzać, jak należy rządzić światem?” Pewno, że jeśli On każe tak, powinno być tak. Najlepszy dowód macie, że gdyby miało być inaczej, byłoby z pewnością inaczej. Tylko że co? Dlaczego właśnie nie miałyby być inaczej? Otóż odpowiem wam: „Niewolnikami byliśmy” — czyli właśnie dlatego jesteśmy Żydami na tym świecie. Żyd powinien żyć z wiarą i ufnością; winien wierzyć po pierwsze, że jest Bóg na niebie, i pokładać nadzieję w Tym, który żyje wiecznie, wierzyć, że wszystko się na pewno, z bożej woli, odmieni ku lepszemu...

— Sza, a gdzie jest ten Żyd? — słyszę czyjś głos. — Już pojechał sobie ten safandula?

— Broń Boże! — odzywam się. — Jakżeż mógłbym pojechać ot tak sobie, bez pożegnania. *Szołem alejchem* — powiadam — dobry wieczór wam, błogosławieni niechaj będą ucztujący; jedzcie z Bogiem i niech wam będzie na zdrowie!

— Podejdźcie bliżej — mówią mi — czemu stoicie tam po ciemku? Niech was przynajmniej ogłądniemy; chcemy zobaczyć, jak wyglądacie. Może napijecie się trochę wódki?

— Trochę wódki? Och — mówię — któż by się zrzekł kieliszka? Jak tam powiedziane jest w *Piśmie Świętym*: „które na życie, a które na śmierć” — co Raszi wyjaśnia tak: — Pan Bóg jest Bogiem — a wódka wódką. *Lechaim!* — powiadam i opróżniam kielich. — Daj wam Boże — powiadam — ażebyście zawsze byli bogaci i zaznali wiele radości, wiele zadowolenia i ażeby Żydzi — mówię — zawsze Żydami pozostali; aby im Pan Bóg zesłał zdrowia i siły, by mogli znieść wszelkie troski i zmartwienia.

— Jak was zowią? — zapytał mnie sam bogacz, dostojny Żyd w jarmułce. — Skąd Żyd pochodzi? Gdzie mieszka? Czym się zajmujecie? Jesteście żonaci? Macie może dzieci? Ile ich macie?

— Dzieci — odrzekłem — mam, aby nie zgrzeszyć. Jeśli każde dziecko jest warte, jak mi moja Gołde usiłuje wmówić, milion — to jestem bogatszy od najpotężniejszego magnata w Jehupcu. Tylko jeden jedyny niedostatek, że bieda to nie dostatek, że to, co krzywe, nie jest proste, i że jak tam w *Piśmie Świętym* piszą: „czyniący różnicę pomiędzy dniem świątecznym a powszednim” — czyli kto ma pełną kiesę, nie lęka się biesa. Pieniądze właściwie posiadają Brodcy — ja zaś mam córki. A jeśli ktoś ma córy, powiadacie, to do żartów nieskory. No ale nic, Pan Bóg jest ojcem wszystkich ludzi. Już On potrafi wszystkim rządzić, czyli On siedzi sobie w niebie, a my męczymy się tutaj na ziemi. Harujemy, dźwigamy kloce bo czy mamy inną radę? Jak tam powiedziane jest w *Gemarze*: „W miejscu, gdzie nie ma człowieka”, śledź też jest rybą i nie wolno narzekać. Całe nieszczęście tkwi w jedzeniu. Jak mawiała moja babka, *ołow haszołem*: „Gdyby gęba się nie otwierała, toby głowa w złoto się przybrała”. Nie miejcie mi za złe — powiadam — lecz nie ma nic prostszego od krętej drabiny i nic bardziej krętego od najprostszego przysłowia, zwłaszcza gdy człowiek na czczo odmawia błogosławieństwo: *Szehakoł nihje bidworoj*.

— Niech kto poda temu Żydowi coś do zjedzenia! — zawołał bogacz. I natychmiast zjawiło się na stole wszystko, czego dusza zapagnie: ryba i mięso, pieczone i ćwiartki kury, i żołądki oraz wątróbki bez liku i miary.

— Zjecie coś? — pytają mnie. — Jeśli tak, to idźcie umyć ręce.

— Chorego pytają, zdrowemu bez pytania podają; ale cóż — powiadam — dziękuję wam. Nieco wódki — mówię — i owszem, ale zasiąść tu — prawię — i urządzić sobie prawdziwą ucztę, podczas gdy tam, w domu, moja żona i dziatki, oby zdrowe były... jeśli wasza dobra wola...

Słowem, domyślili się pewno, o co chodzi, i dalejże pakować do wozu każdy z osobna: kto bułkę, kto ryby, kto pieczyste, ćwiartki kury, herbatę i cukier, kto garnek smalcu, a kto słoje z konfiturami.

— To — powiadają — zabierzecie do domu. Będzie to poczęstunek dla waszej żony i dzieci. A teraz powiedzcie, ile też każecie sobie zapłacić za to, coście dla nas zrobili, za fatygę?

— Też mi — powiadam — ważna rzecz. A po cóż bym ja miał mówić? Na ile będzie wasza dobra wola — mówię — i ile będziecie uważali za słuszne, tyle mi zapłacicie. Jakoś się porozumiemy, jak wy to mówicie. O jednego dukata mniej, o jednego więcej. Już szkrab gorszym szkrabem nie będzie. . .

— Nie — oni mi na to — chcemy słyszeć od was, reb Tewje, chcemy, ażebyście powiedzieli, ile wam się należy. Nie bójcie się, nikt was — broń Boże — za to nie zetnie.

„Co tu począć? — myślę sobie. — Źle! Zażądać rubla byłby grzech, bo a nuż mógłbym dostać dwa. Powiedzieć dwa — obawiam się, że mogą mnie wziąć za wariata. Bo za co należy mi się tu aż dwa ruble?”

— Trojaka!!! — wyrwało mi się niechcący, a ich wszystkich ogarnął taki śmiech, że się omal pod ziemię nie zapadłem.

— Nie gniewajcie się — rzekłem — jeśli wysnęło mi się nieodpowiednie słowo. Koń o czterech nogach się potknie, a co dopiero człowiek o jednym języku. . . — jeszcze bardziej się śmiali; trzymano się po prostu za boki.

— Starczy tego chichotania! — odezwał się bogacz, wyjął z zanadru duży pugilares i wyciągnął zeń — ile wam się, na przykład, zdaje? Zgadnijcie, ile? Całą dziesiątkę! Czerwoną jak ogień, żebym tak istotnie był zdrów razem z wami, i powiada do mnie tak:

— To dostajecie ode mnie, a wy, dzieci, dajcie ze swojej kieszeni, ile uważacie za stosowne.

Słowem, co wam tu dużo opowiadać — zaczęły się sypać na stół piątki i trójki, i pojedyncze ruble — aż ręce i nogi pode mną zadrżały; myślałem, że zemdleję z wrażenia.

— No, czego stoicie? — odzywa się bogacz. — Zbierzcie te parę rubli ze stołu i jedźcie z Bogiem do waszej żony i dzieci.

— Oby was Bóg w dwójnasób wynagrodził, obyście posiadali dziesięćkrotnie, stokrotnie. . . Obyście mieli wszelkiego dobra oraz zaznali wiele pociechy i zadowolenia w życiu! — I zgarnąłem obiema rękami pieniądze. Kto tam liczył? Kto był w stanie? Wpychałem je do wszystkich kieszeni.

— Dobrej nocy wam — rzekłem — dobrego roku, bądźcie zdrowi i obyście doczekali wiele radości, wy i wasze dzieci, i dzieci waszych dzieci, i cała wasza rodzina — powiadam i idę do mojej furmanki.

Wtedy odzywa się do mnie gospodyni, ta, która miała jedwabną chusteczkę na głowie:

— Poczekajcie na chwilę, reb Tewje. Ode mnie dostaniecie specjalny podarunek. Jutro, z Bożą pomocą, przyjedziecie do nas, a ja wam dam krowę, która kiedyś była bardzo dobra, dawała aż dwadzieścia cztery szklanki mleka, a teraz — na skutek złego uroku — przestała dawać mleko; to znaczy, że można ją doić, ale mleka nie daje. . .

— Obyście żyli jak najdłużej — powiadam — nie martwcie się o to. U mnie będzie się ją doić i będzie dawała mleko. Moja stara jest, bez uroku, taka gospodarna, że z niczego kraje makaron, z pocierania koniuszkami palców gotuje zacierkę, cudem przyrządza posiłki sobotnie, a szturchańcami zamiast wierzery układa dzieci do snu. . . Nie miejcie mi za złe — mówię — jeśli rzekłem jakieś zbędne słówko. Dobrej nocy, dobrego roku, bądźcie zdrowi — powiadam zmierzając w stronę wózka.

Patrzę, a tu furmanka jest, a konika mego ani śladu. Och i jej! Bieda! Nieszczęście! Co za utrapienie! Rozglądam się, patrzę na wszystkie strony, a „chłopaka nie ma” — czyli szkapina znikła. „No, Tewje — myślę sobie — to ci dopiero historia, a to dopiero wpadłeś!” I przychodzi mi na myśl bajka, którą czytałem ongiś w jakiejś książce o tym, jak to czarcie plemię schwytało gdzieś na obczyźnie pobożnego Żyda, chasyda, zwabiło do podmiejskiego pałacu, tam go nakarmiono i napojono, potem nagle źli się ulotnili pozostawiając go sam na sam z jakąś niewiastą. Niewiasta przeistoczyła się po chwili w drapieżne zwierzę, zwierzę zamieniło się w kota, a kot zamienił się w wilkołaka. . . „Uważaj no, Tewje — rzekłem sobie — czy cię tu aby nie wystrychnęli na dudka?”

— Co wy tam mruzcicie i czego się wiercicie tak długo? — zapytano mnie.

— Czego ja się wiercę? — odpowiadam. — Och i jej! — mówię. — Po co ja w ogóle żyję na tym świecie? Mam szkodę; moja szkapina. . .

— Szkapina — oni mi na to — jest w stajni. Pofatygujcie się do stajni.

Przychodzę do stajni, patrzę: a jakże! Jak jestem Żydem! Mój kawaler stoi sobie ładnie pięknie między końmi bogaczy, mocno zajęty żuciem. Zajada owies, aż się kurzy.

— Słuchaj no — powiadam doń — mój mędrco! Czas wracać do domu; nie wolno się naraz dorwać do żarcia. Powiadają, że zbędny kęs może czasem zaszkodzić. . .

Słowem, ledwo go ubłagałem, zaprząłem — za przeproszeniem — i pojechałem do domu ożywiony, wesoły, śpiewając *Melech Eljon*, niezgorsza podchmielony. Mój konik także się odmienił; jakby się obłókł w nową skórę! Nie czekał już na smagnięcia, gnał że aż miło. Do domu przyszedłem dość późno, rozbudziłem żonę i w radosnym nastroju rzekłem do niej:

— Wesołych świąt ci życzę, *mazł tow* ci, Gołde!

— Co za *mazł tow* nagle? — odrzekła żona. — Czemuś taki wesoły, mój drogi żywicielu? Wracasz z wesela czy z obrządku obrzezania, moje ty źródło złotodajne?

— Z wesela i obrządku obrzezania zarazem! Poczekaj, moja małżonko, a ujrzysz zaraz skarb — powiadam. — Ale najpierw rozbudź dzieci, niech i one skosztują smakołyków bogaczy z Jehupca. . .

— Czyś ty zwariował, czy oszalał, czyś niespełna rozumu, czy po prostu bzika dostałeś? Przecież mówisz — o wrogach Syjonu niechaj to będzie powiedziane — jak pomyłony! — mówi żona klnąc, pomstując i odczytując rozdziały *Tochacha*, jak to zwykle kobieta.

— Baba — powiadam — zawsze zostaje babą; nie darmo rzekł król Salomon, że pośród tysiąca kobiet ani jednej możliwej nie znalazł. Całe szczęście, dalibóg, że nie ma dziś mody na kilka żon — powiadam wychodząc do furmanki; po chwili wnoszę do domu wszystkie smakołyki, które mi zapakowano, i stawiam je na stole. Moja gromadka ujrawszy bułki i zwęszywszy mięso napadła na stół jak stado głodnych wilków. Poczęły chwytać; ręce drżały, zęby żuły i było akurat tak, jak w świętych księgach napisane jest: „I jedli” - co Raszi objaśnia: zmiatali jak ta szarańca. Łzy mi w oczach stanęły.

— No powiedzże już wreszcie — odezwała się moja połowica — gdzież to była uczta dla biedaków czy jakieś inne przyjęcie i czegożeś przyjechał taki dufny?

— Miej cierpliwość — odrzekłem — Gołde, a dowiesz się wszystkiego. Rozdmuchaj — powiadam — samowar, potem zasiądziemy wszyscy do stołu — mówię — napijemy się herbaty, jak się to u ludzi wie, bo człowiek — powiadam — tylko raz na świecie żyje, a nie dwa razy — mówię — zwłaszcza, że posiadamy już w tej chwili własną krowę, która daje dwadzieścia cztery szklanki mleka dziennie. Jutro — prawie — przyprowadzę ją. No, Gołde — powiadam i wyciągam cały plik sygnacji — ciekawe, czy ty potrafisz zgadnąć, ile pieniędzy posiadamy?

Spojrzałem na moją żonę — ślania się, zbladła jak trup i słowa nie może wydobyć.

— Bóg z tobą, Gołde, serce — powiadam — czegoś się tak zlekła? Boisz się, czym tego przypadkiem nie ukradł albo nie zrabował komuś? Fe — mówię — wstydz się! Już tyle czasu jesteś żoną Tewji, a podejrzewasz go o coś takiego? Głuptasku — powiadam — to są koszerne pieniądze, które uczciwie zarobiłem własną pracą i rozumem. Uratowałem — mówię — dwie istoty z wielkiego niebezpieczeństwa — powiadam — i gdyby nie ja, Bóg wie, co by się z nimi stało! . . .

Słowem, opowiedziałem jej o całym zdarzeniu od alef do tof, jak to Pan Bóg pokierował mną; oboje zaczęliśmy liczyć pieniądze, liczyliśmy raz i drugi raz — i okazało się, że było tam dokładnie dwa razy chaj, czyli dwa razy po osiemnaście i jeszcze jedno na dodatek, co razem czyni, znaczy się, trzydzieści siedem rubli! . . . Żona aż się rozplakała.

— Czemu płaczesz, głupia kobieto?

— Jakże nie mam płakać — ona mi na to — skoro łyzy same się leją? Kiedy serce jest przepełnione, oczy zachodzą łzami. Oby mi istotnie tak Pan Bóg dopomógł — mówi żona — jak prawdą jest, że serce mi mówiło, iż wrócisz do domu z dobrą wieścią. Już nie pamiętam — powiada — tej nocy, kiedy babka Cejtł, oby przebywała od nas jak najdalej, ukazała mi się we śnie. A dziś leżę i drzemię, gdy nagle ujrzałam we śnie cały skopek mleka, pełny, pełnusięńki. Babka Cejtł trzyma ów skopek zakrywając go fartuchem, ażeby — broń Boże — ktoś uroku nań nie rzucił, a dzieci wołają: „Mamo, moni”.

— Nie chwytaj — powiadam — moja duszko, makaronu, zanim nadejdzie sobota. Niech babka Cejtł spoczywa sobie w świetlanym raju — mówię — a co do mleka, to jeszcze wcale nie wiadomo, czy coś z tego wyjdzie. Lecz skoro Pan Bóg — powiadam — uczynił taki cud, że mamy własną krowinę, to pewno dopilnuje tego, ażeby to bydłę było prawdziwą krową, a nie nieporozumieniem. . . Poradz ty mi lepiej, Gołde, serce, co mam począć z pieniędzmi?

— No właśnie — odpowiada żony. — Co ty masz zamiar zrobić, Tewje, z taką sumą pieniędzy, bez uroku?

— Właśnie, właśnie — mówię — jak ty uważasz! Co my możemy począć z takim, bez uroku, kapitałem? — I oboje zaczęliśmy medytować, łamać sobie głowy, wyliczać wszystkie interesy, jakie kiedykolwiek były na świecie. Owej nocy handlowaliśmy, czym tylko chcacie: kupowaliśmy parę koni i od razu sprzedawali je z zyskiem; założyliśmy sklepik z bakaliami w Bojarce, wyprzedali cały towar i natychmiast otworzyliśmy sklep tekstylny. Kupiliśmy kawał lasu, wzięli parę rubli odstępnego, próbowaliśmy wydzierzawić takse w Anatewce, wziąć projekt, wypożyczyliśmy pieniądze, część oddaliśmy na procent. . .

— A bodaj moi wrogowie oszaleli — odzywa się nagle żona. — Chcesz zaprzepaścić tych parę rubli i pozostać przy batogu?

— A co — ja jej na to — może handlować zbożem, a potem zbankrutować? Tak będzie ładniej? Mało to ludzi dzisiaj straciło majątki na pszenicy? Idź, posłuchaj — powiadam — co się dzieje w Odessie.

— A na co mi Odessa? — odpowiada żona. — Praojcowie moich ojców nigdy tam nie byli i moje dzieci też tam nie pojadą, póki życia mego i póki moje nogi niosą mnie po świecie.

— Czegóż ty chcesz? — pytam.

— Czego ja chcę? — odpowiada żona. — Chcę, żebyś nie był fajtłapą i nie gadał głupstw.

— Naturalnie — odpowiadam — żeś ty teraz zmańdrzała, jak się to mówi; kto posiada stówy, ten do komenderowania gotowy, i jeśli ktoś może jest bogaty, to już na pewno jest mądry. . . Już zawsze tak bywa. . .

Słowem, kilka razy pohandryczyliśmy się i tuż z miejsca przeprosili; uplanowaliśmy w końcu, ażeby do tej jałowej krowki dokupić jeszcze jedną dojną. . .

To wy pewno zapytacie: czemu kupić krowę, a nie konia? A ja wam na to odpowiem: dlaczego konia, a nie krowę? Bojarka jest przecież miejscowością, do której w lecie zjeżdżają na letnisko wszyscy bogacze z Jehupca, a jako że wszyscy obywatele Jehupca to ludzie bardzo delikatni, którzy przywykli do tego, ażeby podawać im wszystko gotowe do ust, jak na przykład: chleb i mięso, i jaja, kury, cebulę, pieprz, pietruszkę — to czemużby nie miał się znaleźć taki ktoś, który podjąłby się przynosić im do domu ser, masło, śmietanę i podobny towar? Według tego, jak ci z Jehupca lubią napychać swe kałduny, i rubel dla nich tyle znaczy, co — jak wy to powiadacie — bękart, można by było przy takim interesie grubo zarobić. Najważniejsze, ażeby towar był towarem; a takiego towaru jak u mnie nie dostaniecie nawet w Jehupcu. Obym miał tyle błogosławieństwa bożego razem z wami, ile to razy wielcy ludzie, chrześcijanie, proszą mnie, ażebym im przywoził świeży towar.

— Słyszeliśmy — powiadają — Tewel, że jesteś uczciwym człowiekiem, aczkolwiek parchaty z ciebie Żyd. . .

Myślicie pewno, że od Żyda usłyszycie kiedykolwiek taki komplement? Bodaj nasi wrogowie tak długo chorowali, jak długo by trzeba było czekać, ażeby Żyd powiedział wam coś podobnego! Dobrego słowa nie usłyszycie od naszych Żydków. Wiedzą tylko jedno — zaglądać komuś do garnka. Zobaczono u Tewji o jedną krówkę więcej, ujrzano u niego nową bryczkę, zaczęto więc łamać sobie głowy: Skąd? Z czego? Czy aby ten ów Tewje nie handluje fałszywymi sygnacjami? Czy czasem nie warzy cichaczem spirytusu. . . Cha! cha! cha! „Łamcie, bracia — myślę sobie — głowy na zdrowie!”

Nie wiem, czy mi uwierzycie, lecz jesteście prawie pierwszym człowiekiem, któremu opowiedziałem tę całą historię, jak i co, skąd i dlaczego. . . Ale wydaje mi się, że się nieco zagadałem. Nie miejcie mi tego za złe, lecz trzeba dbać — jak wy to mówicie — o interes, jak w *Piśmie Świętym* pisze: „Każda wrona według swego rodzaju” — czyli każdy winien pilnować swoich spraw. Wy — waszych książek, a ja swoich garnków i dzbanów. . . O jedną rzecz chciałbym was tylko prosić, panie; nie opisujcie mnie przynajmniej w książce. A jeśli jednak opiszecie, to nie wstawiajcie tam chociaż mego imienia. . .

Bądźcie zdrowi i niech się wam zawsze dobrze dzieje.

Napisane w roku 1895.

Rozwiane sny

„Wiele jest myśli w sercu człowieka” — tak zdaje się napisane jest w naszej świętej *Torze*? Nie muszę wam chyba tego tłumaczyć, gdyż znane wam jest pewno znaczenie tych słów, panie Szolem Alejchem, i nie trzeba wam też tego objaśniać, lecz używając języka aszkenazyjskiego, czyli mówiąc zwyczajnie po żydowsku, można by było przytoczyć tu takie oto przysłowie: „Najlepszy koń nie obejdzie się bez batoga, a najmądrzejszy człowiek bez rady”. Niby względem czego ja wam to mówię? Względem samego siebie, ponieważ gdybym miał na tyle rozumu, by udać się do jakiegoś przyjaciela i opowiedzieć mu: tak i tak to wygląda, na pewno nie wyszedłbym na tym tak brzydko. Lecz cóż? „Życie i śmierć zależne są od języka” — czyli jeśli Pan Bóg pragnie ukarać człowieka, pozbawia go rozumu. Niejednokrotnie sam sobie powtarzałem: „Pomyśl sam, Tewje, toć jesteś przecież, zdaniem ludzi, wcale niegłupi, jakże mogłeś dopuścić do tego, ażeby cię w taki sposób wykiwano? Czego, dajmy na to, brakowałoby ci teraz, Tewje, przy twoich zarobkach, bez uroku, przy tej odrobinie nabiału, który posiadasz i który słynie na całym świecie, wszędzie, dalibóg, i w Bojarce, i w Jehupcu, i gdzie tylko chcecie?”

Jakże dobrze i słodko byłoby mi teraz, gdyby to trochę grosza, dajmy na to, spoczywało sobie głęboko ukryte w kufrze i żaden człek nie wiedziałby o tym. Bo kogóż to właściwie obchodzi, czy Tewje ma pieniądze, czy nie? Mówię to zupełnie poważnie. Czy świat interesował się nim dużo wtedy, gdy był pogrążony — oby nie o dniu dzisiejszym było to powiedziane — głęboko w ziemi i konał trzy razy dziennie z głodu wraz z żoną i dziećmi? Dopiero potem, kiedy Pan Bóg obejrzał się na Tewje, uszczęśliwił go naraz i pozwolił ledwo, ledwo dobić się czegoś w życiu, gdy doszło do tego, że mógł odłożyć czasem rubla, wtedy cały świat zajął się nim nagle i Tewje stał się już reb Tewje — a nie byle kto! Znalazło się mnóstwo przyjaciół, jak to w *Piśmie Świętym* piszą: „Wszyscy są umiłowani, wszyscy są oświeceni” — czyli jeśli Pan Bóg kogoś żywi łyżką, to śmiertelnicy obdarzają go całą warząchwią. Każdy z osobna przychodzi ze swą radą; ten powiada: otwórz sklep tekstylny, ten — bakaliowy, ów każe budować dom, ojcowiznę, rzecz trwałą na wieki, a inny znów przychodzi i powiada: kup pszenicę, las czy morgi.

— Bracia kochani — ja im na to. — Odczepcie się wreszcie ode mnie! Srodze się — powiadam — mylicie; myślicie zapewne, że ja to Brodzki? Obyśmy to wszyscy razem posiadali, czego mnie brak nie tylko do trzystu, ale do dwustu, a nawet do stu pięćdziesięciu rubli! Bardzo łatwo — mówię — szacować kogoś; każdemu się wydaje, że u innego się błyszczy, a gdy się doń zbliży, okazuje się, że to mosiężny guzik.

Słowem, bodaj bym ich nigdy nie znał, tych naszych Żydków. Rzucono na mnie jakiś zły urok! Pan Bóg zesłał mi krewnego, czy ja zresztą wiem, kogo: jak to powiadają, kijek batoga mojego konia. Zowie się Menachem Mendel. Roztrzępane to, rozlatane, rozhukane — jakiś krętacz, niewydarzony stwór, bodaj noga jego na dobrym miejscu nie powstała! Wkręcił się do mnie i zawrócił głowę jakimś mrzonkami nie z tej ziemi. To wy pewno zapytacie, „czym się różni” — czyli skąd ja, Tewje, do Menachema Mendla? Więc ja wam na to odpowiem: „Albowiem niewolnikami byliśmy” — czyli tak było przeznaczone. Posłuchajcie tylko.

Na początku zimy przyjeżdżam do Jehupca ze swą odrobiną nabiału — masła funtów dwadzieścia kilka, świeżego, jakiego na świecie nie znajdziecie nigdzie, kilka ładnych worków sera — złoto i srebro! Możemy sobie obaj życzyć takiego roku, jaki to był ser! Sami chyba rozumiecie, że ani się spostrzegłem, kiedy wyzbyłem się towaru; rozchwytno go niemal spod ręki, nie zostawili mi nawet okruszynki, choćby na lekarstwo. Nie zdążyłem nawet obejść wszystkich moich odbiorców, letników z dacz w Bojarce, którzy wypatrują mnie niczym Mesjasza. Ponieważ, bodaj ich tak długo chłostano — mam na myśli kupców z Jehupca — jak długo potrwaloby, nimby oni dali komu taki kawał towaru, jaki daje Tewje. Nie muszę wam przecież o tym opowiadać. Jak mówi prorok: „Niechaj cię obcy chwali” — czyli dobry towar mówi sam za siebie. . .

Słowem, sprzedawszy wszystko i podrzuciwszy konikowi nieco siana, wyszedłem sobie trochę na miasto. „Człowiek z prochu powstał” — czyli jest się tylko człowiekiem i ma się czasem ochotę zobaczyć trochę świata, odrobiny tchu zaczerpnąć, oglądnać te wszystkie antyki, jakie w Jehupcu wystawia się w oknach. Jak się to mówi: „Oczami możesz patrzeć, ale rękami — zasię! . . .” Stojąc tak przy dużym oknie, w którym leży pełno półprialów i mnóstwo srebrnych rublówek, biletów bankowych oraz zwykłych sygnacji bez liku i miary, pomyślałem sobie: „Panie Wszechświata! Gdybym to ja tak posiadał chociażby dziesiątą część tego, co to wszystko razem jest warte, czego bym ja wówczas jeszcze żądał od Pana Boga i kto by się wtedy mógł ze mną równać! Przede wszystkim i po pierwsze wydałbym za mąż starszą córkę, dał jej pięćset rubli posagu, prócz prezentów ślubnych, prócz odzieży i kosztów wesela; furmankę z koniem oraz krówki swoje sprzedałbym, przeprowadziłbym się od razu do miasta, kupiłbym sobie miejsce w bóżnicy, tuż przy wschodniej ścianie, żonie — oby żyła jak najdłużej — kupiłbym trochę pereł, rozdałbym nieco grosza na cele dobroczynne, jak najbardziej poważni gospodarze. Baczyłbym, by bóżnica była kryta blachą, a nie stała, jak

teraz, bez dachu, gotowa lada chwila runąć. Założyłbym też w mieście Talmud Torę, Bikur Cholim, jak we wszystkich porządnym, ludzkich miastach, i niech biedacy nie poniewierają się jak teraz na gołej podłodze w bóżnicy. U mnie Jankł Szejgiec natychmiast przestałby pełnić funkcję gabaja w Chewra Kadisza. Dość już picia wódki i zajadania żołądków i wątróbek z drobiu na koszt kahału!...

— *Szołem alejchem*, reb Tewje! — słyszę czyjś głos. — Co Żyd porabia? — odwracam się, patrzę — mógłbym przysiąc, że to jakiś znajomy!

— *Alejchem szołem* — odpowiadam. — A skąd Żyd pochodzi?

— Skąd? Z Kasrylewki³ — on mi na to. — Nawet wasz krewniak jestem, to znaczy się, że jestem waszym powinowatym, gdyż żona wasza, Gołde, jest moją stryjeczno-cioteczną z trzeciego pokolenia.

— Sza — powiadam doń — czy nie jesteście przypadkiem zięciem Borucha Hersza Lei Dwosi?

— Prawie zgadliście — on mi na to. — Teść mój to istotnie Boruch Hersz Lei Dwosi, a moja żona to Szejne Szejndł Borucha Hersza Lei Dwosi, zrozumieliście teraz?

— To w takim razie — ja mu na to — babka mojej teściowej, Sore Jente, i ciotka mojej żony, Frume Złate, były, o ile się nie mylę, rodzonymi ciotecznymi siostrami i jeśli się tym razem też nie mylę, to wy jesteście średnim zięciem u Borucha Hersza Lei Dwosi, zapomniałem tylko — powiadam — jak was wołają. Wasze imię — mówię — wyfrunęło mi z pamięci. Jak was zowią? Jakie jest wasze właściwe imię?

— Wołają mnie — odpowiada — Menachem Mendel Borucha Hersza Lei Dwosi. Tak mnie wołają w domu, w Kasrylewce.

— Skoro tak, mój miły Menachemie Mendlu — powiadam doń — należy ci się inny zgoła *szołem alejchem*, Powiedz mi, mój drogi Menachemie Mendlu, co ty tu porabiasz? Co porabia twoja teściowa i twój teść, oby żyli jak najdłużej? Jak ci się powodzi — pytam — jak zdrowie, jak się miewają twoje interesy?

— E, tam — odparł. — Na zdrowie, dzięki Bogu, nie narzekam; jakoś się tam żyje. Ale interesy dziś nie bardzo. . .

— Pan Bóg pomoże — powiadam i patrzę na jego odzież: pozał się Boże, postrzępiona okrutnie, a buty — za pozwoleniem — wydeptane, że aż strach. . .

— Nie martw się — pocieszam go — Pan Bóg pomoże, wszystko się na pewno odmieni na lepsze, jak w świętych księgach piszą: „wszystko marność” — czyli pieniądz jest okrągły; dziś tak, jutro znów inaczej, byle człowiek jakoś żył. Najważniejsze — powiadam — to *bitoche*n, ufność. Żyd powinien ufać Panu Bogu. A że tymczasem człowiek — mówię — morduje się? Przecież dlatego właśnie jesteśmy Żydami na tym świecie, jak się to mówi: „Jesteś żołnierzem — wachaj

³Kasrylewka — nazwa nadana przez Szolemę Alejchema Woronce, rodzinnemu miasteczku pisarza (tłum.).

proch”. Porównanie „jak czerep stłuczony”, czyli całe życie — powiadam — to nie więcej niż sen. . . Ty mi lepiej powiedz, Menachemie Mendlu, serce, skąd się tu wzięłeś raptem, znienacka, ni stąd, ni zowąd w Jehupcu?

— Co znaczy — on mi na to — skąd ja do Jehupca? Jestem już tu — powiada — szmat czasu. Już minęło powolutku półtora roku, odkąd tu przybyłem.

— A więc to tak? To ty znaczy się jesteś już tutejszy — pytam — to już jesteś mieszkańcem Jehupca?

— Sz-sz-sz! — zasyczał mój krewniak rozglądając się dookoła. — Nie krzyczcie tak głośno, reb Tewje! Jestem wprawdzie — mówi — tutejszy, ale to musi pozostać między nami. . . — Stoję i patrzę na niego jak na wariata.

— Jesteś uciekinierem — odzywam się — i ukrywasz się w śródmieściu Jehupca?

— Nie pytajcie — powiada — reb Tewje, nie ma o co. Nie jesteście, widać, obznajomieni ze zwyczajami i prawami Jehupca. . . Chodźcie — mówi — opowiem wam wszystko, a wtedy zrozumiecie, co znaczy, że jest się tutejszym nie będąc nim zarazem. . .

I zaczął mi opowiadać historię, jakby czytał z książki, o tym, jak to człowiek męczy się tutaj i poniewiera. . .

— Posłuchaj lepiej mnie, Menachemie Mendlu, i zajedź na wieś do mnie na jeden dzień przynajmniej. Odpoczniesz trochę. Będiesz — mówię — gościem i w dodatku bardzo pożądanym. Moja stara ucieszy się tobą prawdziwie.

Słowem, dał się namówić i pojechaliśmy razem do mnie do domu. Przyjechaliśmy — co za radość! Co za gość! Własny, rodzony stryjeczno-cioteczny z drugiego pokolenia! Bagatelka! Jak wy to mawiacie: „Krew nie woda”. I zaczęło się: co słyhać w Kasrylewce? Co porabia wuj Boruch Hersz? Co porabia ciotka Lea Dwosie? Wuj Josł Menasze? Ciotka Dobrisz? Co porabiają ich dziatki? Kto umarł? Kto się ożenił? Kto się rozwiódł? Kto jest po porodzie, a kto przed rozwiązaniem?

— Na cóż ci się zdały — powiadam — moja małżonko, obce weseliska i cudze obrządki obrzezania? Ty bacz lepiej, żeby było co do ust włożyć. „Kto głodny, niechaj przyjdzie i spożywa” — czyli nikt — powiadam — nie pójdzie w tany, zamiast zasiąść do posiłku. Jeśli będzie barszcz, to i owszem, a jeśli nie, to nie zaszkodzi wcale — powiadam — gdy będą pierożki, uszka albo kopytka, knedle, a może by tak podać bliny, wertliki czy wertuty. Może być — mówię — nawet więcej o jedno danie, byle szybciej.

Słowem, umyliśmy ręce, jak tego wymaga rytuał, zakąsiliśmy niezgorsza, jak to wy powiadacie: „I jedli” — a na to powiada Raszi: „Tak jak Pan Bóg przykazał”.

— Posil się, Menachemie Mendlu — mówię doń. — Tak czy owak wszystko jest marnością, jak rzekł król Dawid, czyli świat jest głupi i fałszywy, a zdrowia —

mawiała moja babka Nechome, *ołow haszołem*, mądra to była niewiasta — zdrowia i zadowolenia należy szukać w misce. . .

Ręce mojego gościa aż się trzęsły, pożał się Boże; nie mógł się dość nachwalić potraw mojej żony. Zaklinał się na wszystko, co święte, że już sobie nie przypomina tych czasów, gdy jadł takie mleczne potrawy, takie udane pierożki i smakowite wertuty.

— Głupstwo — powiadam doń. — Gdybyś skosztował kiedyś ciasto lub majonez, który ona przyrządza, dopiero wtedy zrozumiałbyś, co to jest raj na ziemi!

Słowem, gdy zjedliśmy i odmówili modlitwę dziękczynną, rozgadaliśmy się każdy o swoich sprawach, jak to zwykle bywa. Ja o tym, owym, tym, tamtym i jeszcze czymś innym, on zaś o swoich interesach. Opowiadał bajki o Odessie i Jehupcu, o tym, jak to on już z dziesięć razy był, jak się to mówi, „na koniu i pod koniem”, dzisiaj bogacz — nazajutrz nędzarz i znów bogaty, i z powrotem biedę klepał. Handlował jakimiś takimi towarami, o jakich w życiu nie słyszałem, a miały takie cudaczno-dziwaczne nazwy: hos i bes i akcjeszmaczke, Potiwiłem, Malcew Szmalcew; diabli go tam wiedzą, co to jest takiego. A cyfry jakieś zwańowane: dziesięć tysięcy, dwadzieścia tysięcy — pieniądze jak błoto!

— Powiem ci prawdę, Menachemie Mendlu — powiadam doń — że to, co ty tu opowiadasz o tych twoich wyczynach, wymaga wielkiego sprytu i nie każdy to potrafi. Tylko jednej rzeczy nie mogę pojąć: z tego, co ja wiem i tak jak ja znam twoją połowicę — powiadam — dziwi mnie tylko bardzo jedno; a mianowicie że pozwala ci ona tak fruwać i nie przyjeżdża do ciebie konno na miotle.

— E — odpowiada z westchnieniem. — O tym mi, reb Tewje, wcale nie wspominajcie. Mam z nią i tak dość utrapienia. Gdybyście słyszeli — mówi — co ona mi pisze, powiedzielibyście, że jestem cadykiem, iż wytrzymuję to wszystko. Ale to — powiada — należy do błahostek. Na to ona jest żoną, ażeby mnie chciała żywcem pogrzebać. Istnieje natomiast rzecz o wiele gorsza: posiadam, zrozumcie mnie, na własność w dorobku teściową! Nie muszę wam o niej opowiadać. Znać ją przecież. . .

— U ciebie — powiadam — wychodzi tak, jak w *Piśmie Świętym* jest napisane: „prążkowate, kropkowane i pstrokate” - czyli czyrak na czyraku, a na czyraku pęcherz?

— Tak — on mi na to — reb Tewje, macie słuszną rację. Czyrak jest wprawdzie czyrakiem, ale pęcherz, pęcherz jest jeszcze gorszy od czyraka. . .

Słowem, paplaliśmy tak aż do późnej nocy. We łbie mąciło mi się od jego opowiadania i dzikich interesów; od tych tysięcy wznoszących się w górę i padających w dół, i od majątków, które posiada Brodzki. . . Przez całą noc plątały mi się we śnie: półpriały. . . Jehupce. . . Brodzki. . . Menachem Mendel i jego teściowa. Dopiero nazajutrz z rana wydusił: że co?

— Jako że teraz u nas w Jehupcu — mówi — taki czas, że pieniądz ceni się bardzo, a towar na odwrót, za nic się liczy, dlatego — powiada do mnie — macie

teraz możność, reb Tewje, zagarnąć trochę grosza, a mnie — mówi — po prostu utrzymacie przy życiu, całkiem zwyczajnie ożywiecie, uczynicie z martwego żywym.

— Mówisz jak dziecko — ja mu na to. — Myślisz widocznie, że ja mam tyle pieniędzy, jak poniektórzy w Jehupcu? Półpriały? Głuptasie — powiadam — to czego mnie brakuje, ażeby równać się z Brodzkim, możemy sobie obaj życzyć zarobić do Świąt Wielkanocnych.

— No tak — odpowiada — sam wiem o tym. Ale czy wy myślicie, że na to potrzeba dużo pieniędzy? Jedną setkę — mówi — gdybyście mi teraz dali, to po trzech, czterech dniach zrobiłbym z niej dwieście, trzysta, sześćset, siedemset, a dlaczegoż by nie całe tysiąc rubli?

— Może się czasem zdarzyć — powiadam — i to bardzo nawet ładnie, żeby się stało tak, jak w świętych księgach piszą: „Blisko nagrody, a daleko od”... kieszeni... Ale cóż? Kiedy można by było mówić o takich sprawach? Gdyby się miało co włożyć do interesu. Lecz skoro nie ma nawet tej setki także, wtedy wychodzi — powiadam — że *begape jowoj*, *bgape jejce* — na co Raszi powiada: „Jeśli kto wkłada chorobę — wyjmuje boleści”.

— E, tam — on mi na to — setka jeszcze u was, reb Tewje, się znajdzie. Przy waszym zarobku — mówi — i waszym imieniu, bez uroku... .

— Cóż mi — mówię — z mego imienia? Imię jest istotnie nie lada rzeczą, ale co z tego? Ja pozostaję przy imieniu, a Brodzczy, jak zwykle, przy pieniądzach... . Jeśli chcesz — ciągnę dalej — dokładnie wiedzieć, więc mogę ci oznajmić, iż posiadam w całym moim majątku wszystkiego razem akurat zaledwie jedną stówkę, którą powinienem z jakiejś osiemnaście dziur załatać. Przede wszystkim wydać córkę za męża... .

— Słyszał kto coś podobnego? — on mi na to. — O to właśnie chodzi! Albowiem — powiada — kiedy może wam się, reb Tewje, nadarzyć jeszcze druga taka sposobność, dzięki której włożywszy jedną setkę — mówi — możecie wyjąć, bez uroku, z bożej woli tyle — powiada — żeby starczyło na wydanie za męża dzieci i na wiele innych rzeczy?

I zaczęła się nowa śpiewka, która trwała ze trzy godziny, w przeciągu których on usiłował mi wyjaśnić, jakim sposobem potrafi zrobić z rubla trzy, a z trzech dziesięć.

— Przede wszystkim — prawi — trzeba wziąć setkę, wnieść ją i poprosić — mówi — o dziesięć kawałków (już zapomniałem, jak on to je nazwał). — Następnie należy odczekać parę dni, póki się to nie podniesie w górę. Wtedy nadaje się gdzieś tam depeszę każąc sprzedać, a potem kupuje się za te pieniądze dwa razy tyle kawałków. Potem ono znowu idzie w górę, więc znowu wysyła się depeszę. Trwa to tak długo, dopóki z jednej setki nie zrobią się dwie, z dwóch cztery, a z czterech osiem, z ośmiu szesnaście, no, istne cuda! Są tacy — powiada — w Jehupcu, którzy jeszcze całkiem niedawno temu chodzili bez butów, byli ma-

klerami, pomocnikami, sługusami, a dziś posiadają własne murowane kamienice, ich żony mają do czynienia z żołądkami, jadą się leczyć za granicę. . . A oni sami rozbijają się po Jehupcu na gumilastikowych kółkach i już nawet nie poznawają człowieka.

Słowem, co wam tu długo przewlekać? Dostałem chętkę, ale to nie na żarty, do tego interesu. A kto tam może wiedzieć, mówię sam do siebie, może to właśnie on jest moim dobrym duchem? Przecież słyszę, że jednak ludzie wzbogacają się w Jehupcu ze swoich pięciu palców, czymże ja jestem gorszy od nich? Zdaje się, że on nie jest blagierem, ażeby wyszał z palca te wszystkie historie. Może rzeczywiście, myślę sobie, koło przeznaczenia odwróci się trochę w prawo i Tewje przynajmniej na stare lata stanie się kawałkiem człowieka? Jak długo, dalibóg, człek ma się tak męczyć i harować? W dzień i w noc furmanka, i jeszcze raz furmanka, i nabiał, i jeszcze raz ten nabiał. Już czas najwyższy — mówię — Tewje, odpocząć, stać się gospodarzem na równi z innymi gospodarzami, wstąpić codziennie do bóżnicy, zaglądać od czasu do czasu do księgi świętej. Że co? Że może, uchowaj Boże, „i nie wzejdzie, i nie dojdzie”? — czyli wszystko by wzięło w łeb? A dlaczegoż bym nie miał pomyśleć, że na odwrót, że wszystko obróci się ku dobremu? Ha!

— I co ty na to powiesz — odzywam się do mojej starej. — Jak ci się, dajmy na to, podoba jego plan?

A ona na to:

— Cóż ja mogę powiedzieć? Ja wiem — mówi — że Menachem Mendel nie jest, broń Boże, byle kim, ażeby miał u ciebie wyłudzić pieniądze. Nie wywodzi się, uchowaj Boże, z jakichś tam szewców czy krawców! Ma — powiada — bardzo przyzwoitego ojca, a już dziadka miał istne cacko! Nawet będąc ślepym siedział dzień i noc nad *Tora*. A babka Cejtł, oby jak najdalej była oddalona od nas, też nie była — powiada — taką sobie zwykłą kobietą. . .

— Też mi dowód, który można przytoczyć podczas zapalania świeczek chanukowych — odzywam się do niej. — Ludzie mówią o interesach, a ta zaczyna rozmowy o swojej babce, która piekła miodowniki, i dziadku, który „wyzionął ducha przy”. . . kieliszku. . . Baba zawsze zostanie babą. Nie darmo król Salomon objechał cały świat i nie znalazł ani jednej z odpowiednią ilością klepek w głowie. . .

Słowem, stanęło na tym, że zawieramy spółkę. Ja wkładam pieniądze, Menachem Mendel — rozum, a co Pan Bóg da, podzieli się na dwie równe części.

— Wierzajcie mi — rzekł Menachem Mendel — że będę z wami, reb Tewje, postępował uczciwie, co się zowie. To znaczy, że wam z boską pomocą będę dawał pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze!

— *Omejn!* — powiadam — nawzajem! Bodaj te słowa trafiły prosto z twoich ust do pańskich uszu. Tylko że — mówię — jednej rzeczy w tej całej sprawie nie rozumiem: jak tu przejdzie kot przez wodę? Ja jestem tu, ty tam; pieniądze po-

wiadam — to rzecz delikatna, zrozum, delikatna materia. Nie miej mi tego za złe, nie myślę tu wcale o żadnych chytrościach, lecz całkiem po prostu, tak jak powiedziane jest u praojca Abrahama: „Siejący we łzach, z pieśnią zbierać będą” — czyli lepiej przestrzec z góry, niż potem płakać. . .

— Ach, tak! — on mi na to. — Może macie na myśli, ażeby to spisać na papierze? Z największym dla was szacunkiem. . .

— Sza! — przerywam mu. — Chcąc tę rzecz rozważyć z drugiej strony, na odwrót, to przecież na nic się to nie zda. Jeśli zechcesz mnie zarznąć, co mi wtedy po twoim papierku? „Nie myszy złodziejami są” — czyli nie weksel płaci, tylko człowiek. A skoro wiszę już na jednej nodze — mówię — to mi już wszystko jedno, czy zawisnę na drugiej także, czy nie.

— Możecie mi wierzyć, reb Tewje — powiada Menachem Mendel — przysięgam wam na moje czyste sumienie, oby mi tak Pan Bóg we wszystkim dopomógł, że nie mam tu na myśli żadnej chytrości ani nie mam zamiaru wyłudzić u was tych pieniędzy, tylko pragnę, ażeby wszystko odbyło się przyzwoicie i uczciwie. Będziemy się dzielili: „mnie połowa, tobie połowa” — czyli mnie sto, wam sto, mnie dwieście — wam dwieście, mnie trzysta — wam trzysta, mnie czterysta — wam czterysta, mnie tysiąc — wam tysiąc. . .

Słowem, wyjąłem te kilka rubli, trzykrotnie je przeliczyłem, a ręce porządnie mi drżały podczas liczenia, starą swoją zavezwałem na świadka, wyjaśniłem mu raz jeszcze, że to krwawe pieniądze, i oddałem mu je. Zaszyłem mu je w zanadrze, ażeby mu tego nikt, broń Boże, nie zwędził, i umówiłem się z nim, że z bożej woli nie później niż po następnej sobocie nie omieszka mi, broń Boże, napisać, i to dokładnie, szczegółowo o wszystkim. Pożegnaliśmy się, jak przystoi, wyciąłowali się bardzo serdecznie, jak to zwykle krewniacy.

Gdyśmy po jego wyjeździe pozostali sami, najrozmaitsze myśli i marzenia zaczęły mi się przedstawiać na jawie. A takie to były słodkie marzenia, iż zapragnąłem, ażeby ciągnęły się wiecznie i nigdy się nie skończyły. Przedstawiał mi się duży dom w samym środku miasta, dom kryty blachą, ze stajniami, dużym obejściem, komorami i komórkami, ze spiżarniami po brzegi wypełnionymi wszystkim, co najlepsze. A po tej posiadłości przechadza się gospodyni z pękiem kluczy — to moja żona Gołde — zmieniona nie do poznania; dalibóg dostała inną zgoła twarz. Twarz bogaczki z podbródkiem i sznurami pereł na szyi; puszy się i pomstuje na służące, klnąc je przeraźliwie. Wszystkie moje dzieci odziane w szaty sobotnie przechadzają się beczynnie; ani to palcem o palec stukną. Podwórko roi się od ptactwa. Kur, kaczek, gęsi kręci się po nim co niemiara. Wewnątrz w domu jasno, w piecu płonie ogień, gotują wieczerzę, a samowar kipi i wrze jak bandyta! Na honorowym miejscu przy stole siedzi gospodarz we własnej osobie, czyli Tewje, w chałacie i jarmułce, a wokół niego zasiadają najzamożniejsi gospodarze miasta i schlebiają mu przy każdym słowie: — Pozwólcie, reb Tewje. . .

Nie miejcie za złe, reb Tewje... „Aj — myślę sobie w tym momencie — bodaj diabli porwali pieniądze i bodaj piorun w nie trzasł!...”

— Kogo tak klniesz na czym świat stoi? — pyta moja Gołde.

— Nikogo — powiadam. — Zadumałem się nieco... Jakieś myśli, marzenia, zeszlóroczny śnieg... czy ja wiem zresztą... Powiedz mi no, Gołde, serce, czy ty czasem — odzywam się — nie wiesz, czym on handluje, ten twój krewniak, Menachem Mendel?

— Co mi się przyśniło — ona mi na to — tej nocy, ubiegłej nocy i w ciągu wszystkich nocy całego roku, bodaj padło na głowy moich wrogów! Jakże to tak — mówi — przesiedziałeś z człowiekiem całą dobę, gadałeś i gadałeś, i jeszcze raz gadałeś, a w końcu przychodzisz do mnie i pytasz, czym on handluje? Przecież — powiada — zrobiliście razem interes, do licha!

— Tak, tak — ja jej na to — zrobić — mówię — to się zrobiło, ale co się zrobiło, tego ani rusz nie wiem, choćby mi kto głowę ściał! Tu nie ma, zrozum, za co chwycić, o co zahaczyć; lecz mimo wszystko — powiadam — jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Nie martw się, moja małżonko, serce mi wróży, że wszystko będzie dobrze. I zdaje mi się, że z boską pomocą zarobimy pieniądze, i to dużo pieniędzy — wobec tego powiedz *omejn* i idź, gotuj wieczerzę!

Słowem, mija tydzień, i dwa, i trzy — nie ma listu od mego współnika! Jestem jak trup. Chodzę jak bez głowy i nie wiem już, co myśleć o tym! Nie może być, żeby po prostu zapomniał napisać. On wie bardzo dobrze, jak my tutaj wyglądamy wiadomości od niego. Ale po chwili przechodzi mi inna myśl przez głowę: „A co ja mu, dajmy na to, zrobię, jeśli on sobie tam zdejmie całą śmietankę, a mnie powie: „Jeszcześmy niczego nie zarobili?” Wyzwę go od nicponi? Nazwę knaknisł? Przecież to być nie może” — uspokajam samego siebie. Jakże to tak? Czy to możliwe?... Postępuję z człowiekiem jak ze swym najbliższym, jak z krewnym, oby mnie spotkało to, co jemu życzę, a on miałby mnie takiego figła spłatać?! Ale wtem przychodzi mi na myśl coś innego: „Niech tam — tu już nie o zarobek chodzi, nie o zysk, już nie żądam tego od niego — ale niechby Pan Bóg pomógł, żeby przynajmniej te sto rubli ocalało”. Aż mnie zimny pot oblał. „Stary głupcze! — wymyślam sobie. — Już sobie szyłeś dużą kabzę, ty durniu jeden! Ty bydlę w postaci konia! Byłbyś lepiej za tę setkę kupił parę koni takich, o jakich się i naszym przodkom nie śniło, a furmankę wymienił na nataczankę na resorach”.

— Tewje, czemu ty o niczym nie myślisz? — odzywa się do mnie moja stara.

— Co to znaczy, że ja nie myślę? — odpowiadam. — Toż głowa mi omal od rozmyślania nie pęknie, a ona powiada „czemu nie myślisz”.

— Nie inaczej — mówi — tylko coś mu się w drodze przytrafiło; albo bandyci — powiada — napadli nań i ogołocili od stóp do głów, albo zaniemógł, broń Boże, albo — oby nie wypowiedzieć tego w złą godzinę — zmarł biedaczysko.

— Co ty jeszcze wymyślisz — ja jej na to — moja duszko? Co za bandyci — powiadam — ni stąd, ni zowąd!

A sam medytuję: alboż to wiadomo, co się wszystko człowiekowi może w drodze przydarzyć?

— Ty — powiadam — moja żono, masz zwyczaj tłumaczyć wszystko jak najgorzej!

— Już on z takiej rodziny pochodzi — ona mi na to. — Jego matka — prawi — oby była orędowniczką naszą — niedawno zmarła, i to w kwiecie wieku. A trzy siostry — oby jak najdalej oddalone od nas były — miał, to jedna — ciągnie dalej — zmarła jeszcze będąc dziewczyną, druga nawet za mąż wyszła — mówi — ale przeiębiła się w łaźni i zmarła, a trzecia — powiada — tuż po pierwszym porodzie oszalała, męczyła się i męczyła, i też zmarła. . .

— Niech żyje „zmarła” — mówię — Gołde! Wszyscy — powiadam — umrzemy. Człowiek — prawię — to tak jak ten stolarz: stolarz żyje, żyje i umiera, a człowiek tak samo: żyje, żyje i w końcu umiera.

Słowem, postanowiliśmy, że przejadę się do Jehupca. Tymczasem nazbierało się trochę towaru. Miałem już dość duży kramik z masłem, serem i śmietaną, prima sort! Zaprzęgnąłem furmankę i „wyjechali z Sukot” — na co Raszi powiada: „Marsz do Jehupca!” Gdy tak jadę pogrążony w melancholii, ze zgorzkniałym sercem, co sobie chyba możecie wyobrazić, samiuteńki w lesie, krew zaczyna się we mnie burzyć i przychodzą mi na myśl najrozmaitsze myśli i przypuszczenia. „Ładnie to ja będę wyglądał — myślę sobie — gdy przyjadę, zacznę się dopytywać o mego współnika, a wtem ktoś mi powie: — Menachem Mendel? Te, te, te! Porządnie obrósł w piórka. Przewraca świat do góry nogami! Ma własną kamienicę, rozjeżdża karetami, anibyście go poznali! — A ja — myślę sobie — nabieram odwagi i udaję się do niego do domu.

— Tprrru! — mówią mi przy drzwiach, częstując szturchańcem w pierś. — Nie pchaj się tak wujaszku, tu pchać się nie wolno i na nic się to nie zda. — Przecież jestem swój — powiadam — toż on jest mojej żony rodzony cioteczno-stryjeczny z drugiego pokolenia. — *Mazł tow* wam — odpowiadają mi — bardzo nam miło, ale nic wam nie zaszkodzi, jeśli poczekacie trochę o tutaj, przy drzwiach. Doprawdy, że nic wam to, broń Boże, nie zaszkodzi. . . Domyślam się więc, że trzeba im coś wsunąć w łapę, jak wy to powiadacie: "Wznoszą się wzwyż i schodzą w dół", czyli — jeśli nie posmarujesz, nie pojedziesz, i idę prosto do niego samego. — Dzień dobry wam — powiadam doń — reb Menachem Mendel! — Ale skąd? Ale gdzie tam! "Ani nikt nic nie mówi, ani słów nie ma" — czyli nie poznaje mnie wcale! — Czegoście chcieli? — powiada do mnie. Omal nie mdleję z przerażenia. — Co to znaczy, panie — mówię — nie poznajecie mnie? Nie poznajecie krewniaka? Nazywam się Tewje. — A — odpowiada Menachem Mendel — Tewje? Jakieś znajome imię. . . — Znajome? — pytam. — A może znane wam też są bliny mojej żony? Przypomnijcie sobie. A może — pytam znowu — przypominacie sobie też jej knedle, pierożki, wertuty? . . .”

Albo inna znów myśl, i to całkiem odwrotna, przechodzi mi przez głowę: „Przychodzę do niego, a on wita mnie serdecznym *szołem ałejchem*. — Co za gość! Jaki gość! Siadajcie, reb Tewje. Co porabiacie? Jak się miewa wasza żona? Już was dawno oczekuję. Chciałem się z wami rozliczyć. — I to mówiąc wyjmuję kupę półpriałów i sypie mi pełną czapkę pieniędzy. — To — powiada — zarobek, a wkład — mówi — zostaje w interesie. Ile zarobimy, podzielimy między siebie pół na pół, na jednakowe części. Mnie sto — wam sto, mnie dwieście — wam dwieście, mnie trzysta — wam trzysta, mnie czterysta — wam czterysta. . .” Zatoniony w takich oto dumaniach zdrzemnąłem się i nie zauważyłem, że koń zjechał z szlaku w bok, wóz zaczepił o jakieś drzewo i nagle podrzuciło mną i trzasnęło w głowę, że aż mi się iskry z oczu posypały. „I to ku dobremu — mówię sobie — chwwała Bogu, że osie przynajmniej zostały całe. . .”

Słowem, przybyłem do Jehupca, pozbyłem się przede wszystkim towaru raz dwa, jak zwykle, i poszedłem szukać mojego współnika. Kręcę się godzinę, dwie i trzy „a dziecka nie ma” — czyli nie widzę go wcale! Zaczynam wypytywać ludzi, dopytywać się:

— Czyście czasem nie widzieli lub słyszeli o pewnym Żydzie, którego czcigodne imię brzmi Menachem Mendel?

A Żydzi na to, że skoro na imię mu Menachem Mendel, to nawet ładnie i z jego ręki jeść można snadnie, ale tego — powiadają — jeszcze bardzo niewiele. Menachemów Mendłów jest bardzo dużo na tym świecie.

— Macie pewno na myśli — pytam — jego farmelię? Bodajbym tak nie wiedział o zmartwieniach — powiadam — wraz z wami, jak nie wiem o nim niczego więcej. Kiedy — mówię — jeśli już pragniecie wiedzieć całą prawdę, to mogę wam tylko rzec, że w domu, w Kasrylewce znaczy się, to go też wołają imieniem jego teściowej: czyli Menachem Mendel Borucha Hersza Lei Dwosi. A jeśli wam i tego za mało, to wam mogę jeszcze dodać, że jego teścia — powiadam — już leciwego Żyda Borucha Hersza, też wołają jej imieniem: Boruch Hersz Lei Dwosi, a nawet ją samą, Lee Dwosię, również wołają Lea Dwosia Borucha Hersza Lei Dwosi. Teraz to już rozumiecie?

— Rozumieć to my rozumiemy — odpowiadają mi Żydzi — ale to wszystko jednak nie wystarczy. Czym on się zajmuje — pytają — jaki on ma interes, ten wasz Menachem Mendel?

A ja na to, że on handluje półpriałami, jakimiś bes-mes i Potiwiłowami: — Nadaje — powiadam — dokądś tam depesze, do jakiegoś Petersburga, do Warszawy. . .

— A! — oni na to i pokładają się ze śmiechu. — Czy nie chodzi wam czasem o tego Menachema Mendla, co to handluje jaknehozem? Pofatygujcie się zatem z łaski swej — mówią mi — i przejdźcie na tamtą stronę. Tam ugania się dużo takich hozów, a wasz między nimi. . .

— „Im więcej człowiek żyje, tym więcej chleba zjada” — myślę sobie. — Co to za hozy jakieś? Przechodzę na przeciwną stronę, na tretar, i widzę tam tylu Żydów, bez uroku, jak na jarmarku. Tłok, że nie sposób się przedostać. Biegają jak wariaci. Ten tędy, drugi owędy, jeden przez drugiego, jakiś pomyłony świat. Gadają, krzyczą, wymachują rękami: — Potiwiłow! Mocny, mocny!... Łapię cię za słowo!... Będzie się drapał... Wsunąłem zadek... Należy mi się kartasz... Jesteś niebywałym parchem... Głowę ci rozwałę... Napluj mu w twarz... Patrzcie no, kapotę mi zerznął... Też mi szpiegelant... Bankrucie!... Parobku!... A bodajbyś szczeł... — Omal się nie pobiją. — I uciekł Jaakow — mówię do siebie — czyli zmykaj stąd, Tewje, zanim nie oberwałes po gębie! „No, no — myślę sobie. — Pan Bóg jest naszym ojcem, Szmuel Szmelke jego wiernym sługą, największe miasto to Jehupiec — a Menachem Mendel to największy kupiec. O, tu właśnie — myślę sobie — łowi się to wielkie szczęście półpriały. I to właśnie nazywa się u nich "robić interesy"? Och i jej, Tewje! Ładnie wyglądasz z twoimi geszeftami!”

Słowem, zatrzymałem się przy dużym oknie, w którym wystawiono mnóstwo spodni, i nagle spostrzegłem w szybie mojego Szmaje baal parnose. Aż mi się serce ścisnęło, gdy go zobaczyłem. Dusza mi w pięty uciekła! Jeśli miałem kiedykolwiek gdziekolwiek wroga i jeśli wyście go mieli — możecie sobie życzyć doczekać chwili, w której zobaczymy go w takim odzieniu, jakie miał na sobie Menachem Mendel. Gdzie mi tam kapota? Jakie znowu buty? A twarz jego — Ojciez litościwy — już ładniejszego chyba kładą do grobu. — No, Tewje, „jako przepadłem — przepadłem” — czyli teraz dopiero jesteś pogrążony głęboko w ziemi. Możesz się pożegnać z twą krwawicą, albowiem jest tak, jak to wy powiadacie: „ani niedźwiedzi, ani lasu” — czyli ni towaru, ni pieniędzy, tylko całym zwyczajnie i po prostu zgryzoty i nieszczęście... .

On widocznie również bardzo się zmieszał, stanęliśmy obaj jak przygwożdżeni w miejscu. Nie byliśmy w stanie słowa przemówić. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy jak te koguty, a spojrzenia zdawały się mówić: „Biada nam obu, nieszczęśnikom! Możemy sobie wspólnie uszyć torby i wyruszyć w świat na żebry!”

— Reb Tewje — mówi cicho, ledwo go słyszę, a łzy go dławią. — Reb Tewje! Jeśli ktoś nie ma szczęścia, wiecie, to bodaj byłby w ogóle — powiada — na świat nie przyszedł! Zamiast tak — mówi — się męczyć... . Wart jestem, ażeby mnie powieszono — prawi. — Zasłużyłem na chłostę! — Więcej nie był w stanie mówić.

— Pewno — odrzekłem — że zasłużyłeś, Menachemie Mendlu na to, ażeby za taką historię położyć cię w tym oto miejscu — mówię — w samym środku Jehupca i wsypać ci szcudrze tyle cięgów, ażebyś ujrzał twą babkę Cejtł z tamtego świata. No, pomyśl — powiadam — tak sam, coś ty najlepszego zrobił! Wziąłeś — mówię — pełen dom ludzi, toż to męka żywych stworzeń, ludzi Bogu ducha winnych, i zarznąłeś ich bez noża! Gwałtu — zawołałem — z czymże ja teraz

wrócę do domu, do żony i dzieci? No powiedz tak sam, ty bandyto, morderco, zbójcu jeden!

— Prawda — odpowiada stojąc wsparty o ścianę — prawda, reb Tewje, aby mi tak Pan Bóg dopomógł. . .

— Przecież piekło — mówię — głupcze jeden, piekło to zbyt mała kara dla ciebie!

— Prawda — on znowu — prawda, reb Tewje, oby mi tak Pan Bóg dopomógł. . . Zamiast takiego życia — mówi — zamiast takiego życia, reb Tewje. . . — i opuścił głowę. Stoję tak i przyglądam mu się, temu nieszczęśnikowi, jak to on głowę spuścił, czapka mu na bok zjechała, o ścianę się oparł, a każdy jego jęk i westchnienie wyrwają kawał serca.

— Jeśli — powiadam — zechcemy to samo rozważyć z drugiej strony, to przecież rozumiem bardzo dobrze, że ty może jesteś Bogu ducha winien; rozpatrzmy no dokładnie tę całą sprawę tak i siak i wyciągnijmy z tego wniosek: ażeby miał przypuszczać — ciągnę dalej — że zrobiłeś to na skutek złej woli, byłoby to przecież głupie, gdyż byłeś takim samym współnikiem jak i ja, do połowy zysku. Toż ja włożyłem pieniądze, a ty, pożał się Boże, rozum — och i jej! Przecież myślałeś, jak się to mówi, „na życie, nie na śmierć”. A że z tego wszystkiego wyszły nici? Pewno nie było przeznaczone. . . Jak to wy powiadacie: „Nie przechwalaj się dniem jutrzejszym” — czyli człowiek plany roi, a Pan Bóg się śmieje. Weź dla przykładu — powiadam doń — ty głupcze jeden, chociażby mój interes, który zda się już być całkiem pewny, a jednak jeśli było przeznaczone, aby ubiegłej jesieni położyła się u mnie krowina — nie o tobie niech to będzie powiedziane — która na trefne mięso i to wartała pięćdziesiątkę, a tuż po niej druga, ryża, za którą i dwudziestu rubli nie wziąłbym — to czy mi coś pomogło? Jeśli człowiekowi nie wiedzie się — mówię — to i kamec bejt też będzie me! Już cię nawet nie chcę pytać o moje pieniądze. Wiem bez pytania, gdzie tkwią moje krwawo zarobione grosiki, och i jej! Wpakowałeś je w jakąś świętą sprawę — powiadam — w jakiś jaknehoz, w jakiś wczorajszy dzień! A kto temu winien, jeśli nie ja sam? Dałem sobie wmówić jakieś pieczone gołąbki, jakiś szmendryk, jakieś niestworzone rzeczy? Pieniądze, bracie, trzeba — mówię — zapracować, trzeba na nie harować i tyrać w pocie czoła! Razów — powiadam — Tewje, razów zasłużyłeś, ale takich, żeby się kurzyło! Lecz na cóż zda się teraz mój lament? Jak tam piszą w świętych księgach? „Krzyczała dziewczyna” — czyli krzycz, choćbyś nawet miał pęknać z krzyku. Rozum i skrucha to dwie rzeczy, które zjawiają się zawsze zbyt późno. Nie jest ci przeznaczone, Tewje, być bogaczem. . . Jak powiada Iwan: *Ne buło u Mikity hroszej i ne bude*. Pewno taka jest — mówię — wola boża. Pan Bóg dał, Pan Bóg wziął — na co Raszi powiada: „Chodź, bracie, wypijmy — powiadam — po kieliszku! . . .”

* * *

Tak oto, panie Szolem Alejchem, nici wyszły z moich snów i marzeń! A myślicie może, że się tak bardzo zmartwiłem i nadto przejmowałem tym, iż straciłem pieniądze? Obym tak nigdy zła nie zaznał, że wcale nie! Toż my obaj wiemy dokładnie, jak tam napisane jest: „Do mnie należy srebro i złoto” — czyli pieniądze to błoto! Najważniejsze to sam człowiek, znaczy się, żeby człowiek był człowiekiem. Ale co mnie jednak mimo wszystko bolało? Bolało mnie to, że sen się rozwiął. Bardzo mi się chciało, o, jakże mi się okropnie chciało bodaj przez chwilkę być bogatym! Lecz czy to coś pomoże? Jak to my mówimy w *Pereku*: „Wbrew swej woli żyjesz” — i wbrew swej woli buty zdzierasz! Ty, Tewje, powiada Stwórca, musisz dbać o ser i masło, a nie śnić o niebieskich migdałach. A że co? Ufność? Nadzieja? Na odwrót, im więcej zmartwień, tym więcej ufności, im większy biedak, tym większą ma nadzieję, a na dowód tego muszę wam powiedzieć...

Lecz zdaje mi się, że się dziś zbyt zagadałem. Czas jechać, pomyśleć o interesach, jak to wy mawiacie: „Każdy człowiek kłamie” — czyli każdy ma swoje własne bolączki. Bądźcie mi zdrowi i niech się wam zawsze dobrze wiedzie!

Napisane w 1899 roku.

Dzisiejsze dzieci

— Względem tego, co wy powiadacie: „Synów wychowałem i wywyższyłem” — czyli ródź je, męcz się z nimi, poświęć się dla nich, haruj w dzień i w nocy, bo co? Człek myśli może tak, a może siak; każdy wedle swego imienia i wedle swego dążenia. Do Brodzkiego ja się naturalnie nie będę dobijał, ale żeby już całkiem zejść na psy — też nie ma musu, ponieważ ja sam też nie jestem byle kim dalibóg! I wywodzę się, jak moja żona, oby żyła jak najdłużej, powiada, też nie z szewców i nie z krawców. Myślałem więc, że ja ze swymi córkami pewno wygram nie lada jaki los. A dlaczego? Po pierwsze, Pan Bóg pobłogosławił mnie urodziwymi córkami, a ładna buźka — jak wy powiadacie — to połowa posagu. Po wtóre, to ja przecież teraz jestem, z bożej woli, nie ten sam Tewje co ongiś i mogę nawet dopiąć najlepszej partii w Jehupcu — ha, co wy na to? Cóż, kiedy mamy Wszechmocnego Bóga na świecie, który jest pełen litości i miłosierdzia, dokonuje niezwykłych cudów i robi ze mną, co Mu się żywnie podoba; „wznosi wzwyż i pograża w dół”, toteż powiada do mnie tak: „Tewje, nie wmawiaj sobie głupstw! Niech świat się wiedzie tak jak zawsze!” Słuchajcie, co się może zdarzyć na tym świecie; a u kogo dzieją się wszystkie cuda? U nieszczęśnika Tewji!

Słowem, po co wam długo przewlekać tę historię. Pamiętacie z pewnością, co mi się przydarzyło, oby mnie Pan Bóg przed tym teraz uchronił, wówczas z moim współnikiem, to jest tę historię z krewniakiem moim z Menachemem Mendlem, oby imię i pamięć po nim wyklęte zostały, i jakżeśmy to ładnie wyhandlowali w Jehupcu z tymi półpriałami i potiwilowskimi akcjami — tak rok na naszych wrogów! Jak ja to wówczas poruszyłem świat cały; co za nieszczęście! Myślałem, że nastał kres, nastąpił koniec Tewji Mleczarza!

— Głupcze! — mówi do mnie pewnego razu moja stara. — Dość zamartwiania się; niczego tym nie dopniesz! Tylko sobie krwi napsujesz i nic więcej! Niech się nam zdaje, że rozbójnicy napadli i ograbili nas doszczętnie. . . Przejdź się lepiej — powiada żona — do Anatewki, do Lejzera Wołfa, tego rzeźnika; powiada, że potrzebuje cię bardzo.

— A co się tam stało? Czegóż on mnie tak koniecznie potrzebuje? O ile ma na myśli — mówię — naszą niedojoną krowę, może od razu wziąć kija i wybić to sobie z głowy.

— Bo co? — powiada żona. — Żal ci mleka, które nam daje, czy masła i sera, które dzięki niej mamy?

— Nie dlatego — powiadam — ale tak sobie; po pierwsze — grzech po prostu oddać to bydłę na rzeź. Żal boskiego stworu! W naszej świętej *Torze* napisane jest...

— Dość już tego, Tewje! — żona mi na to. — Cały świat wie bardzo dobrze o tym, że ty jesteś Żydem biegłym w nauce *Tory*. Posłuchaj lepiej mnie, swojej żony, i przejdź się do Lejzera Wołfa. Każdego czwartku — powiada żona — gdy nasza Cejtł przychodzi do jatki po mięso, nie daje jej spokoju; powiesz, mówi, ojcu, żeby przyszedł. Potrzebuję go bardzo...

Słowem, trzeba kiedyś — jak wy to mówicie — żony też posłuchać. Dałem się więc namówić i poszedłem do Lejzera Wołfa, do Anatewki, która jest oddalona od nas o jakie trzy wiorsty, i nie zastałem go oczywiście w domu.

— Gdzież on się podziewa? — zapytałem kurnosą Żydówkę kręcącą się tam po domu.

— W projekcie — odrzekła kurnosa. — Od samego rana zabijają tam wołu i nie mogą go zarżnąć; powinien lada chwila nadejść!...

Kręcę się sam po domu i przyglądam się gospodarce Lejzera Wołfa. Bez uroku! Dobrobyt — oby wszystkim moim przyjaciółom Pan Bóg zesłał taki dostatek. Szafa z mosiężnym naczyniem stoi w kącie, nie kupi się jej nawet za sto pięćdziesiąt rubli. Samowar i obok jeszcze jeden samowar, miedziane tace i jeszcze warszawskie też, para srebrnych lichtarzy, kieliszki i kieliszeczki pozłacane, lampka chanukowa lana i jeszcze wiele rozmaitych rzeczy. Pełno fidrygałków bez liku i miary. „Panie Wszechświata! — myślę sobie. — Pozwólże mi doczekać takiego dostatku u moich dzieci, oby zdrowe były!... Co za szczęściarz z tego rzeźnika! Nie dość, że jest taki bogaty, to posiada w majątku wszystkiego dwoje dzieci, które już są wydane, i w dodatku jeszcze owdowiał!...”

Słowem, Pan Bóg dopomógł, otworzyły się drzwi i wszedł Lejzer Wolf wściekły, jak nie wiem kto, na rzezaka! Unieszczęśliwił go, nie dobił mu wołu ogromnego jak ten dąb, a bodajby zdechł! Przez drobnostkę orzekł, że jest trefny; znalazł jakiś mały defekcik w płucach, wielkości główki od szpilki — bodajby się pod ziemię zapadł!

— Szczęść Boże, reb Tewje — powiada do mnie. — Co to takiego, że nie można się was doprosić, ażebyście raczyli przyjść? Co Żyd porabia?

— Cóż mam robić — odpowiadam mu — robi się i robi — mówię — wciąż się dopiero robotę zaczyna, jak w świętych księgach piszą: „ni twego żądła, ni twego miodu” — czyli ani pieniędzy, ani zdrowia, ani życia, ani niczego.

— Grzeszycie, reb Tewje — oni mi na to. — W porównaniu z tym, jak wiodło wam się kiedyś, jesteście przecież teraz, bez uroku, magnatem.

— Czego mnie brak, aby być tym, za kogo mnie uważacie — powiadam — możemy sobie obaj życzyć zarobić... ale nic. Chwała Bogu i za to. Jest — po-

wiadam — taka *Gemara*: „Askakurdo dymaskanto dykarnoso dyfarsmachto”⁴ — a sam sobie myślę: „Bodajbyś tak z nosem był, hyclu jeden, czy w ogóle jest taka *Gemara* na świecie”.

— Zawsze — powiada on do mnie — macie jakąś *Gemarę*; dobrze wam, reb Tewje, że znacie się na drobnych literkach. Ale na co nam mędrkowanie, ściganie się w uczoności; pomówmy lepiej o naszym interesie. Siadajcie, reb Tewje — powiada do mnie i woła: — Podać herbatę! — Jakby spod ziemi wyrosła kurnosa Żydówka, chwyciła samowar jak czart mełameda i umknęła z nim do kuchni.

— A teraz — mówi rzeźnik — skoro już jesteśmy sami, możemy porozmawiać w cztery oczy o najważniejszej sprawie. Rzecz się tak ma — zaczyna. — Już dawno chciałem z wami porozmawiać, reb Tewje. Przekazałem wam przez córkę i prosiłem kilka razy, ażebyście przyszli do mnie. Rozumiecie, wpadła mi w oko...

— Wiem, wiem — powiadam — że wam wpadła w oko. Lecz daremny — mówię — wasz trud; nic z tego nie wyjdzie, reb Lejzer Wolf, ani, ani...

— A to dlaczego? — pyta i patrzy na mnie wystraszonym wzrokiem.

— A dlatego — odpowiadam. — Mogę życzyć sobie, ażeby to jeszcze nieco trwało. Staw się nie pali.

— Na cóż — mówi Lejzer Wolf — macie czekać, skoro możecie tego już dokonać?

— Po pierwsze — mówię — toż to litość bierze, po wtóre — powiadam — toż to męka żywego stworzenia...

— Popatrzcie no na niego, jak to potrafi udawać! — Lejzer Wolf na to z uśmiechem. — Gdyby był ktoś przy tym, przysięgłby, że jest u was jedy-naczką! Wydaje mi się, że macie ich bez uroku, pod dostatkiem, reb Tewje?...

— Skoro je już mam — odpowiadam — niech się więc mnie trzymają, a kto mnie zazdrości, niech sam niczego nie posiada...

— Zazdrości? A któż — on mi na to — mówi o zazdrości? Na odwrót — po-wiada — dlatego, że są one, bez uroku, urodziwe i udane, dlatego właśnie chcia-łem... zrozumieliście czy nie? Nie zapomnijcie tylko, reb Tewje, o wygodzie, którą z tego będziecie mieli...

— A jakże, a jakże — mówię — od waszej wygody i dobroci, reb Lejzer Wolf, może głowa pęknąć; zimną kawałka lodu człek się u was doprosić nie może. Wiemy to nie od dziś — powiadam — jeszcze pamiętamy z dawnych czasów...

— E! — powiada on do mnie ze słodkawą miną. — Co wy porównujecie, reb Tewje, dzisiejsze czasy do tamtych? Kiedyś było inaczej, a dziś jest znowu co innego; toż będziemy, jak to się mówi, powinowatymi, ha?

— A co to za powinowactwo? — pytam.

⁴Zestawienie nic nie znaczących wyrazów, przypominających nieco język aramejski, w którym napisany jest *Talmud* (tłum.).

— Zwyczajnie! — powiada — jak to powinowaci!

— Co wy macie — mówię — na myśli, reb Lejzer Wołf? O czym my tu właściwie rozmawiamy?

— Owszem — on mi na to — powiedzcie wy, reb Tewje, o czym my tu mówimy?

— Jak to o czym! O mojej niedojnej krowie, którą wy chcecie kupić!

— Cha! cha! cha! — śmieje się on do rozpuku. — Niczego sobie krówka i niedojna w dodatku — cha! cha! cha!

— A co wyście mieli na myśli, reb Lejzer Wołf? Powiedzcie proszę, może i ja się pośmieję?

— O waszej córce — powiada — o waszej Cejtl mówimy przez cały czas! Przecież wiecie, reb Tewje, że jestem — oby was Bóg tym nie doświadczył — wdowcem, więc postanowiłem sobie tak: po co szukać szczęścia wśród obcych, mieć do czynienia ze swatami, diabłami i czartami. Czy to nie lepiej tak, jako że my jesteśmy obaj na miejscu, ja znam was, wy znacie mnie, towar sam też mi się podoba. . . Widzę ją każdego czwartku u siebie w jatce, kilka razy ją zagadnałem, owszem, nie można powiedzieć. . . spokojna. Sam też jestem, bez uroku, jak widzicie, nie najpośledniejszy z gospodarzy. Jest dom własny i kilka kramików, oby nie zgrzeszyć, trochę skóry na strychu też jest i nieco grosza w kufrze znajdzie się również. Po cóż nam, reb Tewji, cygańskie sztuczki, mądrzenie się i chytrostki? Czy to nie lepiej podać sobie ręce i raz — dwa — trzy, zrozumieliście czy nie? . . .

Słowem, gdy usłyszałem to wszystko, odjęło mi po prostu dar mowy, jak zwykle, gdy komuś zwiastują nagle radosną nowinę. Na początku przeszła mi nawet przez głowę taka oto myśl: „Lejzer Wołf. . . Cejtl. . . on już ma takie dzieci jak ona”. . . Ale po chwili sam sobie to wyperswadowałem. Takie szczęście, takie szczęście! Toż jej będzie tak dobrze, tak dobrze, jak nigdzie na świecie! A że on nie jest takim udanym mężczyzną. . . W dzisiejszych czasach to nawet zaleta; jak się to mówi: „Człek jest bliższy sam sobie” — czyli jak się jest dobrym dla kogoś, jest się złym dla siebie. Jedna wada, że jest nieco zbyt prostacki. . . No cóż, czy to każdy może być znawcą nauki świętej? Małoż to bogaczy, poważnych obywateli Anatewki, Mazepewki, a nawet Jehupca, którzy nie rozróżniają nawet liter, nie odróżniają krzyża od alef, a mimo to, jeśli komu zostało przeznaczone szczęście, to taki rok na mnie, jakim oni poważaniem się cieszą na tym świecie, tak jak to piszą w *Pereku*: „Jeśli nie ma mąki, nie ma też *Tory*” — czyli *Tora* spoczywa w skrzyni, a rozum w kieszeni. . .

— No, reb Tewje — powiada Lejzer Wołf. — Czemu milczycie?

— Czy mam krzyczeć? — mówię niby ociągając się. — To jest sprawa tego rodzaju, reb Lejzer Wołf, o której trzeba, zrozumcie, dokładnie pomyśleć i nad którą należy zastanowić się porządnie. To nie bagatelka jakaś — prawie — to moje pierwsze dziecko!

— Właśnie — oni mi na to — dlatego, że pierwsze dziecko; a już potem — ciągnie dalej — będziecie mogli, z woli bożej, wydać za mąż drugą córkę też, a później, z czasem i trzecią. Rozumiecie czy nie?

— *Omejn* — powiadam — nawzajem! — mówię. — Za mąż wydać to nie żadna sztuka. Żeby tylko — powiadam — Pan Bóg zesłał każdemu to, co zostało mu przeznaczone...

— Nie — on mi na to — nie to miałem na myśli, reb Tewje. Myślałem o czym innym zgoła. Posagu, chwała Bogu, dla waszej Cejtł wam nie potrzebna, a przyodziać ją do ślubu we wszystko, co dziewczyna potrzebuje, też będzie moją rzeczą. Wam — mówi — także coś pewno kapnie przy tym do kiesy...

— Fe — powiadam doń — mówicie przecież, wy babcie, doprawdy jak w jacie! Co to znaczy „do kiesy”? Fe! Moja Cejtł nie należy, broń Boże, do takich dziewcząt, które trzeba sprzedawać za pieniądze. Fe, fe!

— Fe to fe — on mi na to. — Myślałem, że owszem... ale skoro wy powiadacie fe — niech będzie i tak! Jeśli wam odpowiada, to i mnie to dogadza! Najważniejsze — powiada — żeby było jak najszybciej, nawet zaraz, nawet już, jak się to mówi, ponieważ potrzebna mi jest gospodyni w domu. Rozumiecie czy nie?

— Proszę bardzo, jeśli o mnie chodzi, nie będę się sprzeciwiał; ale trzeba przecież porozmawiać z moją połowicą — mówię. — W takich sprawach ona postanawia. To nie przelewki. Raszi powiada: „Rachel opłakuje swoje dzieci” — czyli matka jest opiekunką. No a Cejtł — powiadam — również należałoby zapytać. Jak się to mówi: „Wszystkich gości na wesele zabrano, a narzeczonego zostawiono w domu...”

— Głupstwo — powiada Lejzer Wołf — a któż by tu się pytał? Należy ją powiadomić o tym, reb Tewje. Przyjść do domu, oznajmić tak i tak i postawić chupę. Słowo, drugie i mohorycz!

— Nie mówcie tak — powiadam — reb Lejzer Wołf. Dziewczyna nie jest, broń Boże, wdową.

— Naturalnie — on mi na to — że dziewczyna jest dziewczyną, a nie wdową i właśnie dlatego — mówi — należy zawczasu z nią pogadać o odzieży, rozumiecie, o tym, tamtym, owym i jeszcze czym innym. A tymczasem — powiada — reb Tewje, weźmy odrobinę wódki, *lechaim*, ha? Czy może nie?

— Owszem — mówię — dlaczego nie? Co ma wspólnego pokój ze zwałą? Jak się to mówi: człowiek jest człowiekiem, a wódka wódką. Jest — powiadam — u nas *Gemara*... — I rąbnąłem mu *Gemare* jedną i drugą nie z tej ziemi, z *Pieśni nad Pieśniami* i z *Chad Gadja*...

Słowem, tyknęliśmy trochę gorzały, „jak napisane jest” — czyli jak Pan Bóg przykazał! Tymczasem kurnosa przyniosła samowar. Wypiliśmy po szklance ponczu, czas spędziliśmy bardzo przyjaźnie. Życzyliśmy sobie nawzajem wszystk-

go dobrego, gawędziliśmy, paplaliśmy wciąż o przyszłym weselisku. Mówiło się trochę o tym i owym, a potem znów o weselu.

— Czy wy aby wiecie, reb Lejzer Wołf, jaki to barliant?

— Wiem — on mi na to — wiercie mi, że wiem bardzo dobrze. Gdybym tego nie wiedział — mówi — tobym przecież wcale nie gadał!

Mówiliśmy obaj jednocześnie. Ja krzychałem: „Diament, barliant! Żebyście tylko wiedzieli, jak ją szanować, żeby jatka z was nie wyłaziła”... A on: „Nie bójcie się, reb Tewje, to co będzie jadła u mnie w dzień powszedni, nie jadła u was w święta”... .

— E, tam — powiadam — jedzenie, też mi ważna rzecz! Bogacz — mówię — nie połyka dukatów, a biedak nie gryzie kamieni. Jesteście prostakiem — powiadam — i dlatego nie potraficie ocenić jej zalet ani tego, jak to ona potrafi chałę upiec, rybę przygotować... Reb Lejzer Wołf — powiadam wam, jej ryby... świat tego nie znał! Trzeba — powiadam — zasłużyć sobie na coś takiego...

A on znowu:

— Reb Tewje, wybaczone mi, ale rozum wasz zaczął już chyba na starość szwankować. Reb Tewje, nie znacie się na ludziach, reb Tewje! Nie znacie mnie wcale!

A ja jeszcze raz:

— Na jedną szalę złoto, a na drugą Cejtł! Słyszycie, reb Lejzer Wołf, gdybyście nawet posiadali swoich pięćset tysięcy, to i wówczas nie dorobiłobyście jej do pięty!...

A on znowu:

— Uwierzcie mi, reb Tewje, że jesteście niemądrzy, mimo żeście starsi ode mnie!

Słowem, pokrzyczeliśmy sobie widocznie niejedną godzinkę. We łbie mąciło mi się porządnie. Gdy wróciłem do domu, była już późna noc i wydawało mi się, że moje nogi są jak gdyby spękane... Moja żona, oby zdrowa była, od razu poznała, że mam porządnie w czubie, i zgotowała mi odpowiednie przyjęcie, takie, na jakie zasłużyłem.

— Sza, nie złość się, Gołde! — powiadam do niej przymilnie, a sam mam ochotę puścić się w tany. — Nie krzycz, moja duszko! Należy nam się *mazł tow!*

— *Mazł tow?* — powiada żona. — A bodaj cię lichy wzięło wraz takim *mazł tow!* Już się pozbyłeś niedojnej krowy? — mówi. — Już ją oddałeś rzeźnikowi?

— Jeszcze gorzej! — ja jej na to.

— Zamieniłeś ją — pyta żona — na inną? Nabrałeś Lejzera Wołfa? Żal mi go! Toż to grzech!

— Jeszcze gorzej! — mówię.

— Gadajże już wreszcie! Popatrz no, jak to go trzeba ciągnąć za język i niemal kupować u niego każde słówko!

— *Mazł tow* ci, Gołde — mówię znowu. — *Mazł tow* nam obojgu, nasza Cejtł jest zaręczona!

— Skoro tak — powiada żona — to się nie byle jak urzynałeś! Jesteś nie na żarty pijany! Przecież gadasz od rzeczy! Nie inaczej, tylko porządnie sobie musiałeś tam łyknąć!

— Kieliszek tośmy u Lejzera Wofła wychylili — powiadam. — Po szklaneczce ponczu tośmy z nim wypróżnili, ale jestem — mówię — jeszcze przy zdrowych zmysłach. . . Otóż, niechaj ci będzie wiadomo, Gołde, bracie, że nasza Cejtł została w dobrą i szczęśliwą godzinę zaręczona z nim właśnie, czyli z samym Lejzerem Woflem! — I opowiedziałem jej o wszystkim od początku do końca, jak i co, i kiedy się to odbyło, jako też powtórzyłem jej wszystko, o czym mówiliśmy, nie pominawszy ani jednej drobnostki.

— Słyszysz, Tewje — powiada do mnie żona. — Oby nam tak istotnie Pan Bóg dopomógł we wszystkim, co uczynić zamierzamy — prawi — że serce mi mówiło, iż to, że Lejzer Wofł ciebie wołał, to nie prosta rzecz. Tylko że co? Bałam się nawet pomyśleć o tym, żeby broń Boże nie zepsuć czegoś, bo mogło czasem nic z tego nie być. Dzięki Ci, panie Boże litościwy — mówi żona. — Dzięki Ci, Ojczy Miłosierny w niebiosach! Oby to istotnie stało się w szczęśliwej i odpowiedniej minucie i oby doczekała z nim starości w szczęściu i dobrobycie, albowiem Frume Sore, oby przebywała jak najdalej ode mnie i oddzieloną od nas była, nie miała u niego zbyt słodkiego życia. Ona — niechaj mi wybaczy — nie należy o tym wspominać przed nocą, była kobietą zaciekłą, z nikim nie mogła żyć w zgodzie. Zupełnie inny człowiek niż nasza Cejtł, oby ją Pan Bóg dłuższymi latami życia obdarzył. Dziękuję Ci, dziękuję, Panie Wszechświata! No, Tewje — powiada żona — a co ja ci mówiłam, ty nicponiu jeden? Czy człowiek powinien zamartwiać się wciąż? To co przeznaczone, samo przychodzi do domu. . .

— Chyba że tak — powiadam. — Jest takie twierdzenie w naszych świętych księgach. . .

— A na cóż mi twoje twierdzenia — żona mi na to — kiedy trzeba się szykować do wesela; przede wszystkim należy — powiada — zestawić spis tego, co Cejtł potrzebuje do ślubu, i wręczyć go narzeczonemu. O tym, że potrzebuje bielizny, mówić nie trzeba; to jasne bez słów. . . Przecież ona nawet niteczki nie posiada, nie tylko bielizny. . . nawet pary pończoch nie ma. No, a odzież? — ciągnie dalej żona. — Potrzeba jej jednej sukni jedwabnej do ślubu, wełnianej na lato, drugiej na zimę; kilku zwykłych kiecek i kilku spodnich halek. A płaszczy — mówi — chcę, ażeby miała dwa: jeden burnus koci na co dzień, a jeden ze szlamami na sobotę. No, a teraz trzewiczki, parasolkę, szaliczek, gorset, rękawiczki, chusteczki do nosa i jeszcze inne rzeczy, których dziewczyna w dzisiejszych czasach potrzebuje. . .

— Skąd u ciebie — pytam — Gołde, serce, tak dokładne wiadomości o tych wszystkich fatałaszkiach?

— Bo co? — żona mi na to. — Nie byłam to ja może wśród ludzi? Czy może nie widziałam u nas w Kasrylewce, jak to się ludzie ubierają? Ty lepiej — powiada — pozwól mnie, już ja z nim o wszystkim pogadam. Lejzer Wół — mówi — to niczego sobie bogaty Żyd i pewno sam nie zechce, ażeby cały świat wziął go na języki. Skoro się już jada wieprzowinę, to niech przynajmniej tłuszcz ścieka aż na brodę...

Słowem, przegadaliśmy tak aż do świtu.

— Zbierz — powiadam - moja żono, trochę nabiału, ażebym mógł tymczasem pojechać do Bojarki. Wszystko wprawdzie ładne, piękne, przyzwoite i dogodne, ale interesu też nie wolno — mówię — zaniedbywać. Jak tam piszą w księgach świętych: „Dusza do Ciebie należy” — czyli ten świat też jest światem.

I o świecie *kilchoch haszor*, czyli zanim się jeszcze rozwidniło, zaprzęgnąłem szkapinę i pojechałem do Bojarki. Ledwo zjawiłem się w mieście, aha! (alboż to istnieje sekret u Żydów) już wszyscy wszystko wiedzą, winszują mi, życzą *mazł tow*.

— *Mazł tow* wam, reb Tewje! Kiedy będzie, z boską pomocą, wesele?

— Daj Boże szczęścia — powiadam. — To niby tak, jak się to zwykle mówi: „Jeszcze się ojciec nie urodził, a syn już po dachu chodzi...”

— Wszystko na nic — oni mi na to — nic wam nie pomoże, reb Tewje! Będziecie musieli postawić jakiś napitek! Takie szczęście, bez uroku, taka fortuna! Toż to dół — jak się to mówi — pełen smalcu!

— Smalec — powiadam — wycieknie, a dół pozostanie. Lecz mimo wszystko człowiek nie jest świnią i nie będzie się sprzeciwiał kompanom. Załatwię tylko swoich gospodarzy z Jehupca, a wtedy znajdzie się kieliszeczek i coś do zagryzienia także. Raz się żyje i koniec — czyli „radosna i wesoła” — co znaczy: hulaj, kapcanie!...

Słowem, załatwiłem swoje interesy w pośpiechu, jaki zwykle. Potem poszedłem z kompanami wychylić kieliszek. Jedni drugim winszowali jak najserdeczniej, jak się to wiedzie między znajomymi, a następnie siadłem sobie na frumankę i w wesołym, podniosłym nastroju, niezgorzej podchmielony pojechałem do domu. Jadę sobie lasem, letnią porą, słońko praży, po obu stronach drogi kładą się cienie drzew, unosi się zapach sosen, aż dusza się raduje. Wyciągam się więc na wozie jak graf, popuszczam lejce szkapinie mówiąc przy tym: „Idź sobie, z łaski swej, bez cugli, powinnaś już znać drogę na pamięć”. A sam zaczynam podśpiewywać sobie śpiewkę, ale tak na cały głos. Na duszy jakoś radośnie, nastrój świąteczny, toteż chce mi się śpiewać świąteczne śpiewki, „kawałki” z modlitw w Jamim Noraim: *Wajejsojen*, *Wechoł maaminim shehu* i urywki z *Halelu*.

Patrzę sobie w górę, w niebo, a myśli moje pętają się tu, po ziemi. „Niebiosą są niebem dla Pana”, czyli — niebiosą są dla Pana Boga, „a ziemią” — czyli ziemię — tak sobie myślę — oddał On „ludziom” — czyli śmiertelnikom, ażeby tłukli łbami o ścianę, darli się między sobą z wielkiej „rozkoszy”, bili się o funkcję

gabaja, o sziszi, o maftir. . . „Nie umarli wielbić będą Pana” — czyli guzik wiedzą oni, jak należy chwalić Boga za wszystko dobre, co z nimi czyni: „lecz my” — czyli my biedacy, gdy wydarzy nam się tylko jeden dobry dzionek, dziękujemy i chwalimy Pana mówiąc: „Kocham” — czyli kocham Go, albowiem przysłuchuje się głosowi mojemu i moim modłom, skłania ku mnie swe ucho, podczas gdy „okrażyli mnie” — czyli osaczyły mnie nędza, zmartwienia, ciosy i nieszczęścia; to krówka pada w jasny dzień, to lichy przyniesie jakiegoś krewniaka niedorajdę, jakiegoś Menachema Mendla z Jehupca, który zabierze ci ostatnią krwawicę, tak że człek już myśli: „Każdy człowiek kłamie” — czyli nie ma prawdy na świecie. Cóż wówczas czyni Pan Bóg? Sprawia, że Lejzera Wołfa nawiedza taka myśl, by wziąć swoją Cejtł bez grosza posagu, po prostu w tym, w czym stoi. Dlatego też dwukrotnie powiadam „złożę ci dziękczynienia” — czyli będę Cię słauił, Boże Jedyny, za to, żeś się obejrzał na Tewję i przyszedł mi z pomocą; za to, iż sprawiłeś, ażebym przynajmniej zznał pociechy od mojego dziecięcia, gdy z bożej woli Przyjdę do niej w odwiedzin i zastanę ją gospodarującą w takim dobrobycie; przy szafach pełnych bielizny, spiżarniach pełnych pejsachowego smalcu i rozmaitych konfitur, kłatkach pełnych kur, kaczek i gęsi. . .

Nagle mój koń się rozbrykał z górkę w dół i zanim jeszcze zdążyłem podnieść głowę, by zobaczyć, co się tu ze mną dzieje, już leżałem na ziemi, a wszystkie różne gary, bańki i cała furmanka na mnie! Ledwo udało mi się z trudem i bólem wykaraskać spod tych gratów. Wstałem potłuczony, rozbity i całą złość, oczywiście, oraz zgorzkniałe serce wylałem na konika.

— Bodajbyś się pod ziemię zapadł! Kto cię prosił, głodomorze jeden, ażebyś się popisował swoją umiejętnością galopowania z górkę? Przecież żeś mnie — powiadam — omal nie unieszczęśliwił na całe życie, ty Belzebubie! — No i zdzieliłem go batem, ile wlało. Mój rumak sam widać zrozumiał, że dopuścił się tu szkaradnego czynu, toteż stał ze spuszczoną mordą, choć ty go wydoj. — A bodaj cię lichy porwało! — powiadam poprawiając wózek. Zebrałem statki i „poszedłem w swój świat” — czyli pojechałem dalej. Zły znak, pomyślałem w duchu. Boję się, czy się aby czasem w domu nie stało jakieś nowe nieszczęście.

I tak też było. Odjechawszy może ze dwie wiorsty, będąc już niedaleko domu, ujrzałem zbliżającego się człowieka w postaci niewiasty. Podjeżdżam bliżej, wpatruję się: Cejtł! . . . Nie wiem dlaczego, ale coś mi się jakby urwało w sercu. Zeskoczyłem z wozu.

— Cejtł, to ty? Co ty tu robisz?

Jak ta mi nie padnie z płaczem na szyję:

— Bóg z tobą, córko moja — powiadam — czemu płaczesz?

— Oj — szlocha — tato, tato! — i zalewa się łzami. W oczach mi pociemniało, serce ścisnęło się w piersi.

— Co ci jest, córko? Powiedz mi, co ci się stało? — I obejmuję ją, ściskam, całuję, a ona nic, tylko:

— Tato, tato ukochany mój, najdroższy! Raczej raz na trzy dni — błaga — zjeść kęs chleba... Zlituj się — prosi — nad moim młodym życiem! — I tak się rozchlipała, że więcej słowa wydobyć nie była w stanie. „Och i jej” — myślę sobie. Już ja się domyślam, o co chodzi. Czarci ponieśli mnie do Bojarki!

— Po cóż płakać — mówię gładząc jej włosy — głuptasku! Po co szlochać? Nie to nie. Nikt ci, broń Boże, przemocą nie zawiesi, jak się to mawia, bydlęcych podróbków na nosie. Myśmy — powiadam — myśleli tylko o tobie... Chcieliśmy, żeby tobie było jak najlepiej, pragnęliśmy tylko twego dobra, ale skoro ci to nie przypada do serca, cóż można zrobić? Widocznie — mówię — nie jest przeznaczone...

— Dziękuję ci — ona mi na to — ojczy, obyś żył jak najdłużej! — I znów mi pada na pierś, znowu zaczyna mnie całować, płacząc przy tym i zalewając się łzami.

— Starczy już tego płakania — mówię. — „Wszystko marność” — czyli pierożki z mięsem też w końcu mogą zbrzydnąć. Właż — powiadam — na wóz i jedźmy lepiej do domu, bo matka tam, broń Boże, Bóg wie, co pomyśli!

Słowem, wsiedliśmy na furę, zacząłem ją uspokajać i tak, i siak.

— Przecież na czym ta cała historia właściwie polega: myśmy tu żadnej złej myśli nie mieli. Bogu wiadoma cała prawda. Chcieliśmy, jak się to mówi, zabezpieczyć dziecko na czarną godzinę. A że się nie da tego zrobić, widocznie — powiadam — taka jest wola boska.

— Nie jest ci przeznaczone — mówię — moja córko, przyjść na wszystko gotowe, gospodarować w takim dobrobycie, a nam też nie sążone jest zaznać — powiadam — trochę radości na stare lata za naszą mordęgę — mówię. — Dzień i noc człowiek jest wprzęgnięty do tej taczki, ani jednej dobrej minuty nie miał, a tylko wciąż bieda, nędza i utrapienia, gdziekolwiek tylko na krok się ruszy...

— Oj tato! — ona mi na to z płaczem. — Pójdę — powiada — służyć, będę glinę miesiła, ziemię kopała!...

— Czego płaczesz, głupia dziewczyno — mówię do niej. — Czy ja ci, głuptasku, coś zarzucam? Czy mam do ciebie pretensje? Tylko tak sobie... — mówię. — Gorzko mi i ponuro na duszy, więc wylewam swe żale przed Nim, przed Panem Wszechświata. To z Nim chciałbym się rozmówić i zapytać, dlaczego w ten sposób mną kieruje. On jest — powiadam — Ojcem Miłosiernym, lituje się nade mną, chce się przede mną wykazać ze strony jak najlepszej, oby mnie nie ukarał za te słowa, rozlicza się — powiadam — ze mną po bratersku, choć krzycz człowieku *chaj wekajom!* Ale widocznie — mówię — tak być powinno. On jest tam wysoko w górze — powiadam — a my jesteśmy tutaj, pograżeni głęboko w ziemi, dlatego też musimy twierdzić, iż On jest sprawiedliwy i sprawiedliwe są wyroki Jego. Jeśli zaś zechcemy to samo rozważyć z innej strony, to czy nie okaże się czasem, że ja jestem wielkim durniem? Czego ja się właściwie tak rozbijam? Czego ja tak pomstuję? Co znaczy — mówię — że ja, nędzny robaczek

pełzający po ziemi, którego najłżejszy wiaterek, jeśli taka będzie wola Stwórcy, w mgnieniu oka w proch zetrze, pragnę swoim głupim rozumem dawać rady Jemu i uczyć Go, jak należy światem rządzić? Pewno, jeśli On każe tak — powinno być tak, a nie inaczej, i nic tu żadne wyrzekania nie pomogą. Czterdzieści dni przedtem — prawie — zanim dziecko zostanie stworzone w łonie matki, zjawia się anioł i obwieszcza: „Córka owego — onemu przeznaczona jest” — czyli niechaj córka Tewji poślubi Gecla ben Zoracha, a rzeźnik Lejzer Wołf pofatyguje się i uda gdzie indziej szukać równego sobie, albowiem co do niego należy, nie ucieknij mu, a tobie — powiadam — niech Najwyższy ześle twego przeznaczonego, ale przynajmniej porządnego człowieka, i oby jak najrychlej. *Omejn*, taka niechaj będzie wola Wszehmocnego! — powiadam. — Żeby mama przynajmniej nie krzyczała. . . Już ja od niej pewno oberwę porządną porcję! . . .

Słowem, przyjechaliśmy z córką do domu, wyprzągłem konika i usiadłem koło chaty, na murawie, usiłując wymyślić dla mojej żony jakąś bajkę z tysiąca i jednej nocy, ażeby wybrnąć z tego nieszczęścia. Wieczór zapada, słońce zachodzi; lato, żaby kumkają z daleka. Konik ze spętanymi nogami szczypie trawkę, krówki dopiero co wróciły z pastwiska i stoją nad cebkami czekając, by je wydojono. Dookoła trawka pachnie — istny raj! Siedzę sobie tak przyglądając się wszystkiemu i myślę jednocześnie o tym, jak to mądrze Pan Bóg swój świat stworzył. Każde stworzenie, od człowieka do bydła — nie przymierzając — musi na swój kawałek chleba zapracować; za darmo nie ma niczego! Ty, krówko, chcesz paszy — musisz zatem dawać mleko, wyżywić tego oto Żyda wraz z żoną i dziećmi! Ty, koniku, chcesz żuć — goń codziennie tam i z powrotem do Bojarki. Tak samo — nie przymierzając — ty, człowieku! Chcesz mieć kawałek chleba — haruj, dój krowy, dźwigaj bańki, zbijaj masło, rób ser, wlecz się każdego poranku do Bojarki, obejdz wszystkie dacje, kłaniaj się w pas bogaczom z Jehupca, schlebiaj im, każdemu jednemu włącz w duszę, bacz, żeby byli zadowoleni i, broń Boże, nie dotknij ich czymkolwiek, nie uchybiaj ich godności! . . . Że co? Że nasuwa się pytanie: „Czym się różni” — czyli jaka różnica zachodzi, to jest, gdzie jest napisane, że Tewje powinien mordować się dla nich, wstawać o świecie, kiedy sam Pan Bóg jeszcze śpi, bo co? Bo oni muszą mieć akurat do porannej kawy świeże masło i serek? Gdzie jest napisane, że ja muszę zrywać boki, by móc zjeść rzadki krupnik czy kuleszę, a oni, bogacze z Jehupca, mają wylegiwać się na daczach, ręki do zimnej wody nie wsadzić, wałkonić się i zajadać przy tym właśnie pieczone kacuszki i właśnie smaczne pierożki, bliny i wertuty? Czyż nie jestem takim samym Żydem jak oni? Czy nie byłoby dalibóg sprawiedliwiej, gdyby tak Tewje, na jedno bodaj lato, osiadł na daczce? Ale że co? Kto będzie wtedy robił ser i masło? Kto będzie doił krowy? „No oni, właśnie oni, stykraci z Jehupca” — pomyślałem i już sam się roześmiałem z tej zwariowanej myśli. . . Jak powiada przysłowie: „Gdyby Pan Bóg posłuchał głupców, świat wyglądałby całkiem inaczej. . .”

— Dobry wieczór, reb Tewje! — zwraca się ktoś do mnie po imieniu. Patrząc, znajomy: Motł Kamzojł, krawczyk z Anatewki.

— Błogosławiony niechaj będzie przybywający — mówię — *skoł kumt*, gdyby tak ktoś wspomniał Mesjasza, też by się pewno zjawił. Siadaj, Motł, gdzie stoisz, czyli na boskiej ziemi — powiadam. — Skąd się tu nagle wzięłeś? Jak przyszedłeś?

— Jak przyszedłem? Nogami — odpowiada, siada obok mnie na trawie i patrzy w tę stronę, gdzie moje dziewczęta uwijają się przy garnkach i konewkach. — Wybieram się już do was od dawna, reb Tewje — powiada — ale wciąż mi czasu brakło. Jeden kawał roboty wykańczam, drugi do rąk biorę. Dziś jestem sam dla siebie gospodarzem, pracuję samodzielnie. Roboty starczy, wszyscy krawcy zawaleni są pracą. Tegoroczne lato obfituje w wesela. Wesela odbywają się jednym ciągiem. Berł Fonfacz sprawia wesele, Josł Szejgiec — sprawia wesele, Mendł Zaike — sprawia wesele, Jankł Pyskacz — sprawia wesele, Meir Krapawe — sprawia wesele, Chaim Loszek — sprawia wesele i nawet wdowa Trubeche też sprawia wesele!

— Cały świat — mówię — sprawia wesela, tylko ja jeden jestem daleki od tego. Pewno nie zasłużyłem sobie na to u Pana Boga. . .

— Nie — powiada Motł i spogląda w stronę moich dziewcząt — mylicie się, reb Tewje. Gdybyście tylko chcieli, moglibyście również pomyśleć o jakimś weselisku. Wszystko od was zależy. . .

— Jakże to tak? — pytam. — W jaki sposób? Może masz na myśli jakąś partię dla mojej Cejtł. . .

— W sam raz na jej miarę! — on mi na to.

— Przynajmniej jakaś przyzwoita partia? — pytam myśląc przy tym: „A to ci dopiero będzie heca, jeśli powie, że ma na myśli Lajzera Wołfa!”

— *Czakendik un knakendik* — odpowiada krawieckim językiem i ciągle patrzy w stronę dziewcząt.

— Skąd, dajmy na to, jest ta partia? Z jakiej okolicy? Jeśli zalatuje od niej jatką, nie chcę o tym słyszeć ani wiedzieć!

— Boże uchwaj — on mi na to — to nie ma nic wspólnego z jatką. Wy go bardzo dobrze znacie, reb Tewje, bardzo dobrze!

— Czy to przynajmniej jakaś „równa rzecz”?

— Jeszcze jak! — odpowiada Motł. — Nic trafniejszego być nie może. To jest, jak jak my to mówimy, *ogil weesmach* — czyli skrojone i uszyte akurat w samą porę!

— Któż to jest? Powiedz no, niechaj wreszcie usłyszę!

— Któż to jest? — powiada i wciąż patrzy w wiadomym kierunku. — To jestem, rozumiecie, reb Tewje, właśnie ja!

Gdy mi to tylko powiedział, podskoczyłem jak oparzony, on również, i obaj stanęliśmy jeden naprzeciw drugiego, nastroszeni jak dwa koguty.

— Czyś ty zwariował, czy całkiem zwyczajnie zbzikowałeś? Sam jesteś za kuma, sam za swata i sam za narzeczonego, czyli, jak się to mawia: „Własne wesele z własnymi grajkami!” Jeszczem nigdy i nigdzie — mówię — nie słyszał, ażeby chłopak sam sobie swatał dziewczynę!

— To, co wy powiadacie, reb Tewje — on mi na to — żem zwariował — to fraszki. Niech już raczej nasi wrogowie wariują. Ja jestem jeszcze — możecie mi wierzyć — przy zdrowych zmysłach. Czy trzeba być szalonym, ażeby chcieć się ożenić z waszą Cejtł? Najlepszy dowód macie, że Lejzer Wołf, który jest najbogatszym gospodarzem u nas w Anatewce, też ją chciał wziąć i w dodatku bez grosza. . . Myślicie pewno, że to tajemnica? Całe miasteczko wie już o tym! A to, co wy powiadacie, że ja niby chcę się obejść bez swata — mówi — to mnie do prawdy dziwi. Toż wy, reb Tewje, jesteście Żydem, co to *kotoryj*, czyli że wam palca do ust nie należy wkładać, albowiem gotowicie go odgryźć. . . Lecz po co nam te długie rozmowy? Historia tej całej bajki jest taka oto: ja i wasza córka Cejtł już dawno, rok temu, daliśmy sobie słowo, że się pobierzemy. . .

Gdyby mi ktoś wsadził nóż w serce, byłoby mi o wiele milej, niż usłyszeć od niego te słowa. Po pierwsze, skąd on, krawiec Motł, jako zięć dla Tewji? A po wtóre, co to za gadanie takie: Oni sobie dali słowo, że się Pobiorą?

— No, a gdzie ja jestem? — odzywam się doń. — Może ja też mam coś do powiedzenia, gdy chodzi o moje dziecko, czy mnie już nikt o zdanie nie raczy zapytać?

— Broń Boże! — on mi na to. — Właśnie po to Przeszedłem, ponieważ chciałem z wami porozmawiać. Gdy tylko posłyszałem, że Lejzer Wołf swata waszą córkę, którą ja już od roku kocham. . .

— Też mi — powiadam — niezły przykład. . . — mówię — skoro Tewje ma córkę Cejtł, a tobie na imię Motł Kamzojł i jesteś krawcem, to cóż ty możesz mieć do niej, ażebyś ją nienawidził?

— Nie — on mi odpowiada — nie o to mi chodzi. Co innego mam na myśli. Chciałem was zawiadomić o tym, że ja kocham waszą córkę, a wasza córka kocha mnie już ponad rok czasu i daliśmy sobie słowo, że się pobierzemy. Toteż ja — mówię — kilka razy chciałem z wami porozmawiać o tym, ale wciąż odkładałem to na później, póki nie nazbieram parę groszy, ażeby kupić sobie maszynę, następnie przyodziać się jak należy, gdyż lada chłopaczek w dzisiejszych czasach posiada dwa kostiumy i kilka par kamzołów. . .

— A bodaj was. . . — powiadam — z waszym dzieciennym rozumem! A co będziecie robili po ślubie? Złożycie zęby na banty? Czy będziesz może karmił żonę kamzołami? . . .

— E — on mi na to — że wy, reb Tewje, tak mówicie, to mnie bardzo dziwi! I to wy tak mówicie? Mnie się wydaje, że kiedyście się wy żenili, też nie posiadaliście własnej kamienicy. . . tak mi się przynajmniej wydaje, a mimo to. . . no

cóż, co ma spotkać cały lud Izraela, to spotka też i reb Izraela... ponadto jestem przecież, jak by to nie było, rzemieślnikiem...

Słowem, po co wam zbyt długo przewlekać tę historię? Przegadał mnie. Albowiem na co się zda oszukiwać samego siebie? W jaki sposób pobierają się żydowskie dzieci? Gdyby człowiek chciał patrzeć na te wszystkie rzeczy, nikt by się nie ożenił... Tylko jednego nie mogłem przeboleć i zrozumieć w żaden sposób: co to ma znaczyć, że oni sami dali sobie słowo? Co to za świat dziś nastał! Chłopak spotyka dziewczynę i powiada do niej: „Dajmy sobie słowo, że się pobierzemy”... To tak, jakby już wszystko było bezpańskie i cebula także!? A gdy spojrzałem na Motła, jak to on stoi ze spuszczoną głową, jak grzeszny człowiek, bierze to całkiem poważnie, bez żadnych chytrostek, postanowiłem sobie: rozważmy no tę sprawę z odwrotnej strony również. Czego ja się tu tak bardzo certuję i w jakim celu urządzam te wszystkie hece? Że co? Ten sławny ród, z którego się wywodzę? Reb Cocele był moim dziadkiem, lecz ten ogromny posąg, który dają córce, tę wyprawę i stroje, które posiada, pożał się Boże?... Motł Kamzojł jest wprawdzie tylko krawcem, lecz porządnym młodzieńcem; pracowity, potrafi żonę wyżywić, a przy tym uczciwy z niego chłopak, więc cóż ja mogę mieć przeciw niemu? Tewje — powiadam sobie w duchu — nie rób głupich kawałów i przytaknij. Jak to piszą w księgach świętych: „Przebaczyłem według słów Twoich” — czyli niech Bóg da szczęście!... No tak, ale co zrobić z moją starą? Przecież oberwę od niej, jak wy to mawiacie, „końmi i wielbłędami” — czyli ile wlezie!

— Wiesz ty co, Motł? — odzywam się do narzeczonego. — Ty idź sobie do domu, a już ja tu wszystko urządzę jak należy. Porozmawiam z tym i owym, jak w *Megile* napisane jest: „I picie odbyło się według przepisów” — czyli wszystko należy dobrze obmyślić, a jutro, z woli bożej, jeśli naturalnie nie rozmyślisz się do tego czasu, to się chyba zobaczymy...

— Ja bym się miał rozmyślić i wycofać? — on mi na to. — Bodajbym nie mógł ruszyć z tego oto miejsca, bodaj bym się zamienił w głąz, w...

— Na co komu twoje zaklęcia — powiadam — którymi ty tu sypiesz, skoro ja ci i bez tego wierzę? Bywaj zdrow, dobrej nocy, i niech ci się słodkie sny przyśnią...

Położyłem się również, ale zasnąć nie mogłem. Omal mi głowa nie pękła od rozmaitych myśli i taki plan wpadł mi na myśl, i inny, aż wreszcie wpadłem na ten najlepszy pomysł. Jaki to był pomysł? Zaraz usłyszycie, co Tewje Potrafi trafnego wymyślić!

Słowem, około północy, cały dom pogrążony jest we śnie, ten chrapie, tamten świzzcze, a ja zaczynam nagle krzyczeć nieswoim głosem: gwałtu! gwałtu! gwałtu!... Ma się rozumieć, że mój krzyk wszystkich rozbudził, a najwcześniej Gołdę.

— Bóg z tobą, Tewje — woła tarmosząc mną — wstańże! Co ci jest takiego, czemu tak wrzeszczysz?

Otwieram oczy, rozglądam się wokół i powiadam drżącym głosem:

— Gdzie ona się podziała?

— Kto? Kogo szukasz?

— Frume Sore — mówię — żona Lejzera Wołfa, była tu przed chwilą, stała obok mnie. . .

— Mówisz jak w gorączce — powiada żona. — Bóg z tobą, Tewje! Frume Sore, żona Lejzera Wołfa, oby jak najdalej oddaloną od nas była, znajduje się dawno na świecie prawdy.

— Wiem — powiadam — o tym, że umarła, a jednak była tu, stała obok mego łóżka, mówiła ze mną, a potem chwyciła za grdykę chcąc mnie udławić! . .

— Bóg z tobą, Tewje, co ty w ogóle wygadujesz? — mówi żona. — Pewno ci się coś przyśniło; wypłuj trzy razy i opowiedz mi swój sen, a ja ci to ku dobremu wytłumaczę.

— Obyś żyła jak najdłużej, Gołde — powiada — za to, że mnie obudziłaś, bo w przeciwnym razie byłbym ze strachu skonał na miejscu. Daj mi — poprosiłem — łyk wody, a opowiem ci wszystko. Tylko o jedno cię proszę, Gołde, ażebyś się nie lękała i nie pomyślała, broń Boże, Bóg wie co. W naszych świętych księgach napisane jest, że tylko trzy części snów ziścić się mogą, reszta zaś to błoto, kłamstwo, banialuki i niestworzone rzeczy. . . Przede wszystkim — zaczynam — śniło mi się, że w naszym domu jest jakaś uroczystość. Nie wiem, czy zręko-winy, czy wesele. Dużo ludzi, mnóstwo Żydów i kobiet, rabin i rzezak rytualny, no i grajkowie. . . Wtem otwierają się drzwi i wchodzi twoja babka Cejtł, *ołow haszolem*. . .

Moja żona, posłyszawszy imię babki, zbladła jak śmierć i odezwała się do mnie tak oto:

— Jaką miała twarz i w co była ubrana?

— Twarz — powiadam — miała taką, że daj Boże, by nasi wrogowie tak wyglądali, a ubrana była naturalnie na biało. . . w szatach śmiertelnych. . . „*Mazł tow!* — mówi do mnie babka Cejtł — jestem zadowolona, że wybraliście dla waszej córki, która nosi moje imię, tak przyzwoitego i porządnego narzeczonego jak Motł Kamzojł, którego zowią Mordechaj po moim wuju i który, choć jest krawcem, jest mimo to uczciwym dzieckiem. . .”

— Skąd — przerywa mi Gołde — wziął się do nas krawiec? W naszej rodzinie — powiada — są mełamedzi, kantorzy, śludzy bóżniczni, grabarze i zwykli biedacy, tylko, broń Boże, nie krawcy ani szewcy. . .

— Nie przerywajże mi, Gołde — powiadam — widocznie twoja babka wie lepiej od ciebie. . . Gdy usłyszałem od twej babki to oto *mazł tow*, rzekłem do niej tak: „Dlaczego mówicie, babuniu, że narzeczoney Cejtł ma na imię Motł i jest krawcem, skoro na imię mu Lejzer Wołf i jest rzeźnikiem? . . .”

„Nie — odrzekła babka — po raz drugi nie, Tewje! Narzeczony twojej Cejtł nazywa się Motł i jest krawcem i właśnie z nim doczeka ona, z woli bożej, starości w szczęściu i dobrobycie. . .”

„Niech będzie tak — powiadam — babuniu, lecz co zrobić z rzeźnikiem? Jakże tak? Dopiero wczoraj dałem mu słowo! . . .” Ledwo to powiedziałem, gdy babka znikła i zamiast niej wyrosła mi przed oczami Frume Sore, żona Lejzera Wołfa, i odezwała się do mnie tymi słowy: „Reb Tewje! Uważałam was zawsze za człowieka uczciwego, za Żyda biegłego w nauce *Tory*, jakżeż się stać mogło, że zrobiliście taką rzecz? Chcielibyście, by córka wasza zajęła moje miejsce, mieszkała w moim domu, przejęła po mnie wszystkie klucze, nosiła moje płaszcze, moje kosztowności, moje perły? . . .”

„A cóż ja zawiniłem — rzekłem — skoro wasz Lejzer Wołf życzył sobie tego. . .”

„Lejzer Wołf? — ona mi na to. — Czeka go okropny, straszny koniec, a wasza Cejtł. . . żal mi tego biedactwa, reb Tewje! Szkoda mi waszej córki! Więcej niż trzy tygodnie nie będzie z nim żyła. Po trzech tygodniach przyjdę do niej nocą, chwycę za szyję, o tak. . .” I mówiąc te słowa Frume Sore chwyciła mnie za szyję i zaczęła dusić. . . Gdybyś mnie nie rozbudziła, byłbym już teraz nie wiadomo gdzie! . . .

— Tfu, tfu, tfu! — i żona splunęła trzy razy. — Bodaj to w błocie ugrzęzło, w ziemię wsiąkło, po pustych strychach się poniewierało, w lasach odpoczywało, tylko nam i naszym dzieciom oby nigdy nie zaszkodziło! Bodaj ten straszny, okropny sen padł na głowę rzeźnika, na jego ręce i nogi! Niech on będzie kaporą za najmniejszy paznokietek Motła Kamzojła, który choć jest krawcem, to skoro nosi imię mojego wuja, nie jest pewno krawcem z urodzenia, a skoro babka Cejtł, *ołow haszołem*, pofatygowwała się z tamtego świata tu do nas, by życzyć nam *mazł tow*, winniśmy rzec: „Oby stało się to w dobrą i szczęśliwą godzinę, *omejn seło!*”

Słowem, po co wam dłużej przewlekać to opowiadanie? Byłem silniejszy od żelaza, jeśli owej nocy wytrzymałem i nie pękłem ze śmiechu pod kołdrą. . . „Błogosławiony niechaj będzie Pan, iż nie stworzył mnie niewiastą” — czyli baba zawsze jest babą. . . Ma się rozumieć, że nazajutrz odbyły się u nas zrękowiny i niedługo potem weselisko, jak się to mówi językiem *Gemary*: „Ho gawro weho trasko”⁵ — a młodożeńcy żyją sobie, chwalić Boga, w wielkiej zgodzie. On jest krawcem i chodzi po Bojarce, od jednej daczy do drugiej, w poszukiwaniu pracy, a ona dzień i noc w kieracie: gotuje i piecze, pierze, bieli i wodę nosi — i ledwo kawał chleba w domu się znajdzie. . . Gdybym jej czasem nie zawiózł trochę nabiału, a niekiedy też parę groszy, byłoby z nimi rzeczywiście bardzo krucho. Gdy zaś będziecie mówili z nią, to wam powie, że jest jej, bez uroku — tak dobrze, jak

⁵Zmyślony, nic nie znaczący cytat, rzekomo z *Talmudu*. Tu w znaczeniu: „jedno po drugim” (tłum.).

nikomu na świecie. Byle tylko — powiada — jej Motł był zdrów! No, idźcie tu i gadajcie z dzisiejszymi dziećmi! Wychodzi tak, jak wam na początku powiedziałem: „Synów wychowałem i wywyższyłem” — czyli pracuj dla dzieci, bij głowę o ścianę, „a oni mną wzgardzili” — czyli: a oni powiadają, że rozumieją więcej od was. Nie, mówcie sobie, co chcecie, ale dzisiejsze dzieci są zanadto mądre! Lecz zdaje mi się, że wam dziś więcej niż zwykle głowę zawracam. Nie miejcie mi tego za złe, bądźcie zdrowi i miejcie się zawsze dobrze!

Napisane w 1899 roku.

Hołd

— Dziwicie się, panie Szolem Alejchem, dlaczego nie widać Tewji? Powiadacie, że się nagle postarzał, posiwiał? Ech — ech — ech! Gdybyście wiedzieli, z jakimi zmartwieniami, z jakimi boleściami nosi się ten Tewje! Jak tam piszą w naszych księgach: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” — czyli człowiek jest silniejszy od żelaza i słabszy od muchy... O mnie to doprawdy tylko bajki pisać! Gdzie tylko istnieje na świecie jakieś nieszczęście, dopust Boży czy jakieś zmartwienie, nie minie mnie ono. Nie wiecie czasem, skąd to się bierze? Może dlatego, że jestem z natury łatwowierny i wierzę każdemu na słowo? Tewje zapomina o tym, co setki razy zalecali nam nasi mędrzy i uczeni: „Szanuj go, lecz mu nie dowierzaj”, co w zwykłym naszym języku oznacza: *sobakie nie wier'*. A cóż ja pocznę, pytam was, skoro mam już taką naturę? Jestem stale, jak wiecie, pełen ufności do Stwórcy i nie mam nigdy żadnych pretensji do Tego, który żyje wiecznie, albowiem tak jak On czyni, tak jest dobrze. No, bo spróbujcie na odwrót i miejcie doń pretensje, pomoże to wam? Jeśli mówimy w Selichot: „Dusza jest Twoja i ciało jest Twoje”, to cóż człowiek może wiedzieć i jakie on już w ogóle ma znaczenie? Ale zawsze mówię z nią, z moją żoną znaczy się:

— Gołde — mówię — grzeszysz. Jest — powiadam — u nas *Midrasz*.

— Co mi tam *Midrasz* — powiada żona — mamy — mówi — córkę na wydaniu; a po tej córce jeszcze, bez uroku, dwie córki. A po tych dwóch — jeszcze trzy — oby im czyjeś złe spojrzenie nie zaszkodziło.

— E — powiadam — to nic, Gołde. Nasi uczeni to także przewidzieli. Na to — mówię — też jest *Midrasz*...

A ona nie daje sobie nic powiedzieć.

— Córki — mówi — i dorosłe w dodatku są najlepszym *Midraszem*... no i gadaj tu z babą.

Słowem, z tego widzicie, że mam i posiadam, bez uroku, towaru do wyboru i koloru, i to towar doskonały, oby nie zgrzeszyć. Jedna ładniejsza od drugiej. Nie wypada chwalić własnych dzieci, ale słyszę przecież, co świat twierdzi: krasawice. No, a już najbardziej udaną jest ta starsza, Hołd, druga po najstarszej, tej co to zadurzyła się, jeśli przypominacie sobie, w tym krawcu; to ona jest piękna, mówię wam, ta druga córka moja, ta Hołd, co tu dużo gadać. Akurat jak w świętej *Megile*

napisane jest: „Albowiem piękną jest” — czyli promienieje jak bryła złota. A na domiar wszystkiego musi jeszcze mieć dobrą głowę także: pisze i czyta po żydowsku i po rosyjsku, a książki połyka jak kluchy. To wy mi pewnie zadacie pytanie: co ma wspólnego córka Tewji z książkami, skoro ojciec jej handluje czym innym zgoła, czyli nabiąłem? Otóż to właśnie. O to samo i ja ich ciągle pytam, tych udanych młodzików znaczy się, co to — przepraszam za wyrażenie — pary portek na sobie nie mają, a na studia się pchają. Jak my to mawiamy w *Hagadzie*: „Wszyscyśmy mądrzy” — czyli wszyscy chcemy się uczyć, „wszyscyśmy rozumni” — czyli wszyscy chcemy studiować.

Zapytajcie ich, proszę: co studiować? Kto będzie studiować? Bodaj tak kozy wiedziały, jak do obcych ogrodów w szkodę włączyć. Kiedy w dodatku nie dopuszczają ich tam wcale. Jak to mówi *Pismo Święte*: „Nie wyciągaj dłoni” — czyli fora ze dwora... Ale żebyście wy tak mimo to zobaczyli, jak to się uczy! I kto? Dzieci rzemieślników, co to z krawców i szewców, tak mi Panie Boże dopomóż we wszystkim, co uczynić zamierzam. Wybiera się toto do Jehupca lub Odessy, poniewiera się po wszystkich strychach, karmi się zgryzotą, zagryza chorobą, miesiącami nie widzi kawałka mięsa na oczy, sześciu gołców składa się na jedną bułkę ze śledziem i „raduj się swym świętem” — czyli hulaj, kapcanie!

Słowem, jeden z takiej oto paczki zabrął w nasze strony. Jakiś urwipoleć. Pochodzi z bliska, znałem nawet Jego ojca; był papierośnikiem i — niechaj mi wybaczy — biedakiem, nędzarzem, jakiego świat nie widział. Ale mniejsza z tym. Nie o to chodzi. Bo jeśli naszemu mędrcomi Jochananowi wypadło szyć buty, to zdaje się, że i jemu wcale nie może zaszkodzić to, iż ma ojca, który kręci papierosy. Złościć to mnie złości jedna rzecz: że też zachciewa się takiemu chłystkowi uczyć, studiować. Diabli go wprawdzie nie wzięli, bo łeb na karku to on ma, i jeszcze jaki... Nazywa się ten niedobrego Perczyk, co w przetłumaczeniu na nasz język znaczy: Pieprzyk. No i też wygląda jak pieprzyk. Gdybyście go zobaczyli: małe toto, czarne, pokraczne, ale nabite, natłoczone wiedzą, że aż trzeszczy. A gębę ma — ogniem, smołą i siarką ziejącą.

I zdarzył się dzień, że wracam kiedyś z Bojarki. Zbyłem tę trochę towaru, co miałem; cały transport sera, masła, śmietany i inną zieleniznę. Siedzę i, jak to zwykle ze mną bywa, jestem zatopiony w doniosłych dumaniach o tym, o owym, o bogaczach z Jehupca, jak to im się, bez uroku, dobrzeż powodzi, jak bardzo dobrze, i o nieszczęśniku Tewji, o jego szkapinie, o tym, jak to on przez caluteńkie życie męczy się i haruje i o jeszcze takich podobnych sprawach. Lato, słońce praży, muchy gryzą, a świat dookoła jest taki wspaniały, taki wielki, otwarty, że tylko wznieść się i latać albo wyciągnąć się i pływać.

Tymczasem oglądam się i widzę — młodzieniec maszeruje sobie po piachu na własnej parze bez zaprzęgu; tobołek trzyma sobie pod pachą i poci się, sapie, że aż strach.

— Zbliż się — powiadam — młodzieńcze, Jokł ben Flekł! Siadaj obok mnie, a podwożę cię kawał, bo i tak jadę próżnym wozem. Jak to tam — mówię — napisane jest w naszych księgach: „Gdy spotkasz osła, który należy do przyjaciela twojego, zostaw-pozostaw”, czyli nie powinienes go porzucić, tym bardziej gdy spotkasz człowieka. . .

Roześmiał się, utrapieniec, nie dał się zbyt długo prosić i wlażł na furę.

— Skąd to, na przykład — powiadam — maszeruje taki młodzieniec jak ty?

— Z Jehupca.

— A co taki młodzieniec jak ty — mówię — ma do roboty w Jehupcu?

— Taki młodzieniec jak ja zdaje „egzament”.

— A na kogo — powiadam — studiuje taki młodzieniec jak ty?

— Taki młodzieniec jak ja jeszcze sam nie wie, na kogo studiuje.

— Wobec tego — mówię — po co sobie taki młodzieniec zawraca tym głowę?

— Nie martwcie się, reb Tewje, taki młodzieniec jak ja — mówi — już wie, co ma robić.

— Powiedz mi no — mówię — skoro jestem ci już znany, kim, dajmy na to, ty jesteś?

— Kim ja jestem? — powiada. — Jestem człowiekiem.

— Widzę, że nie koniem — odpowiadam. — Mam na myśli, czym jesteś?

— Czym mam być? Jestem tworem boskim.

— Wiem — mówię — że boskim. Napisane jest w *Piśmie Świętym*: „Wszystkie zwierzęta i całe bydło itd.” Chciałbym jednak, żebyś mi powiedział, skąd się wywodzisz; czy jesteś jednym z naszych, czy może przybywasz z Litwy?

— Wywodzić — odpowiada — wywodzę się od Adama, a sam jestem tutejszy i wy mnie znacie.

— Niechaj więc usłyszę, kto jest twoim ojcem.

— Ojciec mój nazywał się Perczyk.

— A bodajbyś szczęł. I po to tak długo trzeba się było męczyć? A więc ty jesteś synem papierośnika Perczyka?

— Ja jestem synem papierośnika Perczyka.

— I studiujesz — mówię — w klasach?

— Tak, i studiuję w klasach.

— No, no — powiadam. — A jakże, naturalnie. Bez ciebie się tam nie obejdzie. Powiedzże mi no, klejnocie, z czego, powiedzmy dla przykładu, ty żyjesz?

— Z tego, co zjem.

— Aha — mówię — to nawet nieźle. Ale co ty jadasz?

— Wszystko, co mi dają.

— Rozumiem — powiadam — że nie jesteś zbyt wybredny. Byle tylko było co do zucia — zjadasz, a jak nie ma niczego, no to chyba zagryzasz wargę i kładziesz się na czczo. Ale cóż — powiadam — wszystko się opłaci, byle tylko studiować

w klasach. Równasz się do bogaczy z Jehupca, jak tam w *Piśmie Świętym* napisane jest: „Wszyscy są ukochani, wszyscy świątli. . .”

Tak doń powiadam z cytatem i przysłowiem, jak to Tewje potrafi. A wam się może zdaje, że on milczał?

— A niedoczekanie — mówi — bogaczy z Jehupca, żebym ja się miał do nich równać. A bodaj ich lichy porwało!

— Coś ty mi — powiadam — zanadto się unosisz na bogaczy. Boję się, czy się czasem aby nie podzielili spadkiem po twoim ojcu?

— Żebyście właśnie wiedzieli, że ja i wy, i my wszyscy mamy spory udział w ich spadkach.

— Wiesz ty co — powiadam — niech już lepiej twoi wrogowie mówią zamiast ciebie. Z tego wszystkiego widzę tylko, żeś nie kiep, nie przepadniesz marnie i języka w gębie też nie masz zwyczaju zapominać. Jeśli — powiadam — czas ci pozwoli, możesz wpaść do mnie dzisiaj wieczorem. Pogadamy sobie trochę i zarazem zjemy wspólnie wieczerzę. . .

Naturalnie, że nie trzeba mu było tego powtarzać dwa razy, bo zjawił się akurat w porę, czyli wtedy, gdy gorący barszcz dymił na stole, a mleczne pierożki smażyły się w piecu.

— Teściowa twoja — mówię — cieszy się widocznie jak najlepszym zdrowiem, skoro trafiłeś na wieczerzę. Możesz iść myć ręce, jak tego wymaga rytuał, a jeśli nie chcesz, też nie musisz. Ani ja nie jestem pokątnym radcą prawnym Pana Boga, ani ja różę za twoje grzechy na tamtym świecie nie dostanę.

Tak sobie z nim gawędzę i czuję, że coś mnie w tym człowieczku pociąga. Co — tego nie wiem sam, ale pociąga. Lubię, wiecie, człowieka, żeby można z nim było słowo zamienić. Czy to wspomnieć jakiś cytat, czy wyjątek z *Pisma Świętego*, czasem włączyć się w sprawy niebios, o tym, tamtym, owym; o markaronie, cebuli, niestworzonych rzeczach. . . Takim człowiekiem jest Tewje. Od tego czasu młodzieniec zjawiał się u nas prawie codziennie. Gdy kończył dawać swoje lekcje, przychodził do mnie odpocząć i rozerwać się trochę. Niech się wam zdaje, że te lekcje — za przeproszeniem — wyłaziły mu bokiem. Bo musicie wiedzieć, że u nas największy bogacz płaci za lekcję całych osiemnaście groszaków miesięcznie, a za to nauczyciel musi prócz udzielania lekcji pomagać w czytaniu depesz, pisaniu adresów oraz załatwianiu sprawunków również. A dlaczego by nie? Wyraźnie napisane jest: „całym twoim sercem i całą twoją duszą” — czyli jeśli jadasz chleb, to wiedz, za co! Całe szczęście, że jadał właściwie u mnie i dlatego zajmował się trochę moimi córkami; jak tam powiedziane jest: „oko za oko” — czyli smagnięcie za smagnięcie. Tak oto stał się w naszym domu swoim człowiekiem. Dzieci podawały mu czasem szklankę mleka, a moja stara patrzyła, by miał na sobie czystą koszulę i całe skarpety. Właśnie wtedy nadaliśmy mu miano Pieprzyk. To znaczy, że przerobiliśmy z rosyjskiego jego nazwisko Perczyk i można rzec, żeśmy go wszyscy polubili jak członka rodziny. Bo z usposobienia,

musicie wiedzieć, jest on wcale niezłym człowiekiem. Prosty, taki zwykły sobie śmiertelnik, co to twoje — moje, moje — twoje, wszystko bezpieczne i cebula także. Jednej tylko rzeczy w nim nie cierpiałem. Miał zwyczaj znikać ni stąd, ni z owąd. Nagle podnosił się, odchodził i jakby się pod ziemię zapadł. „Gdzieżeś ty był, mój mały kanarku?” Milczy jak ryba. . . Nie wiem jak wy, ale ja nie lubię ludzi z sekretami. Ja lubię, jak to się mówi, ażeby było co na myśli, to i na języku. Ale za to ma tę zaletę, że jak się już rozgada, to gada, jak tam powiedziane jest: „od ognia i od wody” — czyli za dziesięciu. Pyskaty, że niech Bóg broni. Psioczy na Boga, na Mesjasza, na wszystko, co święte. . . A już najbardziej na to, co święte. . . Przy tym roi takie jakieś dzikie plany, ma takie kręte, zwariowane pomysły. . . Wszystko jest u niego na odwrót, wszystko do góry nogami. Na przykład: według jego przekręconego, zwariowanego rozumowania bogacz jest najgorszym człowiekiem pod słońcem, a biedak na odwrót, sam cymes, a już rzemieślnik nie ma w ogóle równego sobie, bo to przecież „z pracy swoich rąk żyje”, a to jest najważniejsze.

— A jednak — powiadam — porównać tego z pieniędzmi jeszcze długo się nie da.

Wtedy on się rozplomienia i usiłuje udowodnić mi wszelkimi sposobami, że pieniądz jest zgubą dla świata. — Wszelki fałsz i zakłamanie na świecie biorą się właśnie z pieniędzy i wszystko — mówi — co się na świecie dzieje, dzieje się niewłaściwie, niesprawiedliwie. — I daje mi na to dziesiątki tysięcy przykładów i dowodów, które objają się — oczywiście — o mnie jak groch o ścianę. . .

— Czyli — powiadam — według twojego zwariowanego rozumowania należy przypuszczać, iż to, że moja krowa daje mleko i mój koń ciągnie wóz, jest także niesprawiedliwością?

Takie i temu podobne, z głupia frant pytania zadaje mu i zbijam jego każde słowo, jak to Tewje potrafi! Ale mój Pieprzyk też potrafi, i to jeszcze jak! To ci dopiero znaczy potrafić. Oby tak nie potrafił, jak właśnie potrafi. A jak ma coś na wątrobie, zaraz z miejsca wyłoży. Pewnego razu siedzimy obaj o zmroku na przyzbie i wgłębiamy się w te wszystkie doniosłe sprawy, to znaczy w całą filozofię, gdy odzywa się do mnie Pieprzyk tymi oto słowami:

— Wiecie co, reb Tewje? Macie, reb Tewje, bardzo udane córki.

— Doprawdy? — mówię. — Dziękuję ci za radosną nowinę. Miały — powiadam — w kogo się wdać.

— Jedna — ciągnie dalej Pieprzyk — ta starsza, jest w ogóle bardzo rozgarnięta. Wspaniały z niej człowiek.

— Wiem to i bez ciebie — mówię — jabłko nie pada daleko od jabłoni.

W ten oto sposób odpowiadam mu, a serce rośnie we mnie z zadowolenia, bo któryż to ojciec, proszę ja kogo, nie jest zadowolony, gdy chwałą jego dzieci? Idź, wiedz, człowieku, że z tych pochwał wyrośnie taka straszna miłość, że niech Bóg uchwata i obroni. Możecie posłuchać:

Słowem, „i był wieczór, i był ranek” — czyli działo się to zmroku, właśnie w Bojarce. Jadę sobie swoją furmanką od jednej daczy do drugiej, gdy zatrzymuje mnie nagle jakiś Żyd. Patrzę — Efroim. Efroim, musicie wiedzieć, to Żyd, który zajmuje się, jak wielu innych, swataniem. Zobaczył mnie, Efroim znaczy się, w Bojarce i zatrzymał.

— Pozwólcie, reb Tewje, chciałem wam coś powiedzieć.

— Byle coś pomyślnego, owszem, proszę bardzo — mówię i zatrzymuję szkapinę.

— Wy — powiada — macie córkę.

— Mam siedem, oby zdrowe były.

— Wiem — mówi Efroim — że macie siedem. Ja też mam tyle.

— No to wobec tego mamy obaj czternaście — mówię.

— Słowem, żarty na bok — powiada Efroim. — Sprawa jest tego rodzaju: jak wam wiadomo, zajmuję się swataniem i mam dla was narzeczonego. Ale narzeczonego — pierwsza klasa. Najprzedniejszy z przednich.

— Jeśli — mówię — ma to być krawiec albo szewc, albo nawet mełamed, to może on sobie siedzieć, a ja — mówię — „niechaj ulga i ocalenie będą ostoją” — czyli ja równego sobie znajdę w innym miejscu. Jak to *Midrasz* głosi. . .

— E — powiada Efroim — reb Tewje! Już zaczynacie swoimi midraszami? Żeby z wami mówić, trzeba się uprzednio dobrze najeść. Zasypujecie — mówi — cały świat midraszami. Posłuchajcie lepiej, jaką partię Efroim pozwolił sobie wam zaproponować. Milczcie i słuchajcie.

Tak mówi do mnie Efroim i zaczyna wyliczać, jak według spisu. Co wam tu powiedzieć? Rzeczywiście, jakiś rajski owoc. Po pierwsze pochodzenie pierwszorządne, syn przyzwoitych rodziców — a nie tam tałatajstwa jakiegoś. A to, musicie wiedzieć, jest dla mnie najważniejsze. Albowiem sam też nie jestem byle kto. W mojej rodzinie znajdziecie, jak się to mówi, rozmaitych ludzi: „prązkowatych, kropkowanych i pstrokatych” — czyli są prości ludzie, są rzemieślnicy i są gospodarze. No, a poza tym zna się na muzyce — to znaczy jest obeznany z nauką świętą, co z pewnością nie jest dla mnie rzeczą pośledniej wagi, bo nie cierpię nieuka jak wieprzowiny! U mnie nieuk jest tysiackroć gorszy od hultaja. Możecie sobie chodzić z obnażoną głową, a nawet z głową na dół, byleście wiedzieli, co Raszi twierdzi; to jedno wystarczy, byście byli moim bliskim człowiekiem. Właśnie takim Żydem jest Tewje. . .

— No, a ponadto — mówi Efroim — to ten narzeczonej jest bogaty, nabity pieniędzmi; wyjeżdża kareta zaprzęgniętą w ogniste rumaki, aż iskry lecą. . .

„No — myślę sobie — też jeszcze nie najgorsza wada Miał być biedak — niech już będzie bogacz”. Jak się tam mówi: „Ubóstwo przystoi Izraelowi” — czyli Bóg sam też nie lubi biedaków, bo gdyby Pan Bóg lubił biedaka, toby biedak biedakiem nie był.

— No, niech już usłyszę — powiadam — co dalej?

— A dalej — mówi Efroim — to on chce tej partii, on umiera, on mdleje, to znaczy, że nie o was mu chodzi, ale o waszą córkę. Chce ładną, chce. . .

— Tak? — mówię. — Chce ładną? A bodaj go pokręciło! Któż on jest, ten wasz antyk? Kawaler? Wdowiec? Rozwiedziony? Porzucony? Kupa nieszczęścia?

— Jest kawalerem — odpowiada Efroim. — Trochę nawet starszym, ale zawsze to kawaler.

— Jakże — pytam — brzmi błogosławione imię jego? Tego on nie chce powiedzieć, choćby go nawet zabić.

— Przywieźcie ją najpierw do Bojarki, a potem wam powiem jego imię.

— Co to znaczy — powiadam — przywieźć? Przywozi się konia na jarmark, krowę na sprzedaż. . .

Słowem, przecież wiecie dobrze, że swat potrafi nawet ścianę przegadać, więc stanęło na tym, że po sobocie przywiozę ją, z wolą boską, do Bojarki. I już mi na myśl przychodzą różne dobre, słodkie marzenia. Wyobrażam sobie swoją Hodł, jak to ona rozjeżdża się kareta zaprzęzoną w ogniste rumaki, jak to cały świat mi zazdrości nie tyle koni i karety, co dobrych uczynków, które spełniam za pośrednictwem swej bogatej córki. . . Wspomagam ubogich, wpieram podupadłych kupców. . . Temu daję dwadzieścia pięć, owemu pięćdziesiąt, a innemu sto rubli; jak wy to powiadacie: inni też mają duszę. . .

Tak sobie myślę wracając przed wieczorem do domu. Podcinam szkapinę i mówię do niej końskim językiem, do mej klaczy mówię: — A no wio, poruszaj — powiadam — trochę szybciej nogami, a dostaniesz swą porcję owsa, bo gdy „nie ma mąki — nie ma też *Tory*” — napisane jest w *Piśmie Świętym*, czyli jak się nie posmaruje, to się nie pojedzie. . .

Rozmawiając tak ze swą szkapiną dostrzegłem, że wyłania się z lasu jakaś parka, czyli dwoje ludzi. Widać mężczyzna i kobieta. Chodzić to oni chodzą blisko siebie, jedno przy drugim, i rozprawiają o czymś z wielkim przejęciem. „Kto by to mógł być nagle o tej porze? — myślę sobie i wpatruję się poprzez ogniste, słoneczne różgi. — Mógłbym przysiąc, że to Pieprzyk. Z kimże to on idzie, ten drapichrust, o tak późnej porze?” Ręką zasłaniam przed słońcem oczy i wpatruję się jeszcze baczniej; co to za kobietka? Oj! Zdaje się, że to Hodł! Tak, to ona! Jak jestem Żydem, że to ona. . . A więc to tak? A więc to dlatego tak zawzięcie uczono się gramatyki i czytano książki. „Oj, Tewje, ależ z ciebie stary głupiec!” — myślę sobie. Zatrzymuję konia i odzywam się do mojej pary tymi oto słowy:

— Dobry wieczór wam — powiadam. — Nie słyszeliście czasem czegoś odnośnie wybuchu wojny? Skądżeście się tu nagle wzięli? Czego szukacie? Wczorajszego dnia?

Usłyszawszy takie powitanie, moja para stanęła, jak się tam mówi: „Nie na niebie i nie na ziemi” — czyli ni w przód, ni w tył, za przeproszeniem, zbaranieli oboje i zarumienili się mocno. Po paru minutach milczenia spuszczaają oczy, następnie podnoszą je na mnie, ja patrzę na nich, a oni oboje jedno na drugie. . .

— No — mówię. — Przyglądacie mi się, jak gdybyście mnie już dawno nie widzieli. Zdaje się — powiadam — że jestem ten sam Tewje, co i zwykle. Ani o włos się nie zmieniłem.

Tak się do nich zwracam na wpół żartem i na wpół gniewnie. Na to odzywa się do mnie córka moja, Hodł znaczy się, rumieniąc się jeszcze mocniej:

— Tato, nam się należy *mazł tow*...

— *Mazł tow* wam — powiadam — niech wam Bóg da zdrowie. Co jest? Znaleźliście — powiadam — skarb w lesie? Czyście może tylko co uniknęli jakiegoś okropnego nieszczęścia?

Na to on:

— Należy nam się *mazł tow* — powiada — bo jesteśmy zaręczeni.

— Co to znaczy — pytam — zaręczeni?

— Zaręczeni znaczy, że ja jestem jej narzeczonym, a ona jest moją narzeczoną.

Takimi słowami odpowiada mi on, Pieprzyk znaczy się, i patrzy mi, jak na złość, prosto w oczy. Ale ja mu też patrzę prosto w oczy i mówię:

— Kiedyż to się odbyły wasze zrękowiny? I dlaczego nie zaprosiliście mnie także na nie? Zdaje się, że ja mam coś wspólnego z tą sprawą, tak czy nie?

Rozumiecie, co tu się dzieje? Ja się śmieję, ale jednocześnie robaki żywcem toczą moje wnętrze. Ale nic! Tewje nie jest babą, Tewje lubi wszystko wysłuchać do końca. Odzywam się więc znowu:

— Nie rozumiem, co za narzeczeństwo bez swatów bez zaręczyn?

— Po co nam — powiada on — swaci? Jesteśmy mówi — już dawno zaręczeni.

— Tak? — mówię. — Cud boski! Czego żeście — powiadam — dotychczas milczeli?

— A co mieliśmy — mówi — krzyczeć? My byśmy wam i teraz nie powiedzieli, ale ze względu na to, że się wkrótce rozstajemy, postanowiliśmy wziąć ślub...

To mnie już rozłościło do reszty. Jak wy to mówicie: „Woda dotarła aż do samej duszy” — czyli to mi już w końcu dało w kość. To, że on powiada — „narczeczeni”, można jeszcze jako tako wytrzymać. Jak tam powiedziane jest: „Pokochałem” — to jest on chce ją, ona chce jego... Ale ślub? Co to za słowa takie „wziąć ślub?” *Targum!*... Wyglądało nawet na to, że ten ów narzeczony zrozumiał, iż jestem nieco oszołomiony jego słowami, gdyż odezwał się do mnie tak:

— Rozumiecie, reb Tewje, szykuję się właśnie do wyjazdu. Opuszczam te strony...

— Kiedy jedziesz?

— Wkrótce.

— A dokąd, na przykład?

— Tego — powiada — nie mogę wam powiedzieć — mówi — bo to tajemnica...

Słyszycie? Tajemnica! Jak się wam to, dajmy na to, podoba? Przychodzi taki Pieprzyk, takie małe, czarne, pokraczne stworzenie, odstawia narzeczonego, chce wziąć ślub, jest na wyjeździe i nie chce powiedzieć, dokąd! No, czy żółć w człowieku nie może pęknąć?

— Cóż, tajemnica — powiadam — to tajemnica. U ciebie przecież wszystko się robi w tajemnicy... Ty mi tylko wytłumacz taką rzecz: przecież ty — mówię — jesteś człowiekiem na wskroś sprawiedliwym i jesteś przesiąknięty uczciwością od stóp do głów, jakże więc mogło stać się — powiadam — że właśnie ty ni stąd, ni z owąd zabierasz Tewji córkę, by zrobić z niej agunę? I według ciebie nazywa się to sprawiedliwością, ludzkim postępowaniem? Całe szczęście — powiadam — żeś mnie jeszcze dotychczas nie okradł albo zwyczajnie nie podpałił...

— Tato — powiada do mnie ona, Hodł znaczy się. — Nawet nie możesz sobie wyobrazić, jak szczęśliwi jesteśmy oboje, żeśmy ci powierzyli naszą tajemnicę. Kamień nam z serca spadł. Chodź, niech cię uściskam.

I nie namyślając się wiele chwycili mnie oboje, on z jednej strony, ona z drugiej, i nuże ściskać mnie i całować. Oni mnie, ja ich, i z wielkiego zapewne przejęcia oni jedno drugie — dalejże całować. Powiadam wam, istny teatr z nimi.

— Może byłoby już wreszcie dość tego cmokania się — mówię. — Czas pomówić o najważniejszym!

— O czym? — pytają mnie.

— O posagu — mówię — wyprawie, kosztach wesela, o tym, tamtym, owym, o jakichś makaronach, cebulach, niestworzonych rzeczach...

— Niczego nam nie trzeba. Ani tego, ani tamtego, ani żadnych makaronów, cebuli i niestworzonych rzeczy...

— A czego — pytam — wam potrzeba?

— Nam potrzeba tylko ślubu! Słyszeliście już coś takiego?...

Słowem, nie będę przewlekał tej historii. Pomogło mi, jak umarłemu bańki, bo ślub się jednak odbył. To się tylko tak mówi „ślub”. Możecie sobie wyobrazić, że był to nie taki ślub, jaki przystoi Tewji! Też mi ślub!.. Ciche wesele, pozał się Boże... A na domiar wszystkiego człowiek posiada jeszcze żonę. Jak to wy powiadacie: „Czyrak, a na czyraku jeszcze wrzód”. Męczy mnie, żebym jej tylko powiedział, dlaczego tak nagle, w pośpiechu, łapu-capu? No, idź tu wytłumacz kobiecie, żeby ta zrozumiała, że pali się, że gore! Co wam tu powiedzieć? Musiałem spokojowi rodzinnemu gwoli wymyślić dla niej ogromne, potężne i okrutne łągarstwo. Jakaś bajkę ze spadkiem, bogatą ciotką z Jehupca, niestworzone rzeczy, byleby mi dała spokój. I jeszcze w tym samym dniu, czyli w parę godzin po tym pięknym, pozał się Boże, weselu, zaprzęgnąłem konia, wsiedliśmy we troje na furę; to znaczy ja, ona i ten mój zięć — za przeproszeniem — i „jazda Mojsze Mordche”, czyli marsz na stację do Bojarki.

Siedząc tak z moimi młodożencami na furze spoglądam na nich od czasu do czasu i myślę sobie, jakiegoż to my potężnego Boga mamy i jak ładnie On swoim światem rządzi. Jakiego różnego rodzaju cudaczne stworzenia i dzikie istoty kręcą się po tym Jego padole! Oto macie przed sobą stadło małżeńskie, tylko co wyklute z jajka, to on wyjeżdża, diabli go wiedzą dokąd, a ona zostaje tu i — żeby to choć łezkę jedno z drugim uroniło... no, chociażby dla przyzwoitości. Ale nic! Tewje to nie baba, Tewje ma czas. On milczy i przygląda się, co tu z tego będzie... Widzę, że nagle zjawia się kilku młodzieniaszków (jacyś oberwańcy w wydeptanych butach), przyszli na stację pożegnać się z moim kanarkiem. Jeden z nich wyglądał jak zwykły chłop ze wsi. Koszulę, za przeproszeniem, wypuścił na spodnie i o czymś tam z moim zięciem po cichutku szepce.

„Uważaj no, Tewje — myślę sobie — czyś tu przypadkiem nie wpadł w ręce bandy koniokradów, włamywaczy czy fałszerzy monet?”

Wracając z córką do domu nie mogę się powstrzymać i głośno wypowiadam jej te swoje podejrzenia. Roześmiała się i usiłuje wmówić we mnie, że są to arcyporządni, uczciwi, ale to arcyuczciwi ludzie; że całe ich życie poświęcone jest innym, a o sobie wcale nie myślą...

— A ten — powiada — z koszulą, to w ogóle niebywale porządny człowiek; porzucił — mówi — bogatych rodziców w Jehupcu i nie chce korzystać z ich majątku. Nie wziął nawet u nich złamanego szeląga.

— Tak? Cud boski! — mówię. — Rzeczywiście, bardzo porządny młodzieniec! Do tej koszuli, którą na spodnie wypuścił, i do tych długich włosów, które sobie zapuścił, gdyby go Pan Bóg obdarzył jeszcze jakąś harmonią albo psem, który by włókł się za nim z tyłu, miałoby to w ogóle wszystkie siedem uroków!

W ten oto sposób odbijam sobie na niej wszystko, co wezbrało we mnie przez cały czas. Całą swoją złość wylewam na biedną córkę... A ona? Nic! „Estera nie odpowiada” — czyli udaje głupią, znaczy się. Ja do niej „Pieprzyk”, a ona do mnie „dobro ogólu”, robotnicy, słowem banialuki...

— Po co mi — mówię — wasze dobro ogólu i cała wasza robota, jeśli to wszystko dzieje się w tajemnicy? Jest — powiadam — takie przysłowie: „Gdzie sekret, tam złodziej”. Ty mi lepiej powiedz od razu, po co on pojechał i dokąd?...

— Wszystko — mówi córka — mogę ci powiedzieć, ale o to lepiej nie pytaj. Wierz mi, że z czasem sam się o wszystkim dowiesz. Da Bóg, usłyszysz wkrótce wiele dobrych wieści.

— Amen! — powiadam. — Oby słowa z ust twych dotarły prosto do boskich uszu. Ale bodaj tak nasi wrogowie wiedzieli, co się z nimi dzieje, czy ja choć w części rozumiem, o co wam idzie i na czym ta gra polega!

— Właśnie w tym całe nieszczęście — mówi ona — że ty tego nie potrafisz zrozumieć...

— Bo co? Aż takie to niepojęte? Zdaje mi się, iż pojmuję, z boską pomocą, poważniejsze sprawy...

— Tego — mówi córka — nie da się pojąć tylko rozumem. Trzeba to jeszcze odczuć, odczuć sercem. . .

Tak mówi do mnie, moja Hodł znaczy się, a twarz jej promienieje przy tym, oczy błyszczą. . . Oby im się dobrze działo, tym moim córkom. Jak się już w czymś lub w kimś zadurzą, to całym sercem i całym życiem, całą duszą i całym ciałem!

Powiem wam pokrótce, że minął tydzień i dwa, trzy i cztery, pięć, sześć i siedem i — „ani głosu, ani pieniędzy” — czyli ani listu, ani wiadomości.

— Przepadł — mówię — Pieprzyk — i patrzę przy tym na moją Hodł.

Biedactwo! Ani kropli krwi w twarzy; wyszukuje sobie co chwila inną pracę w domu, chce, zapewne, zapomnieć dzięki temu o swym wielkim nieszczęściu. Ale żeby to — mówię wam — choć słówkiem go wspomniała! Cicho, sza, jak gdyby nigdy żadnego Pieprzyka na świecie nie było! Pewnego razu trafiła się taka historia. Przyjeżdżam do domu i zastaję Hodł zapłakaną. Chodzi ze spuchniętymi oczami. Zaczynam się dopytywać i dowiaduję się, że przed paroma minutami był tu jakiś nicpoń o długich włosach i szeptał z nią o czymś.

„Aha! — myślę sobie. — To pewno ten nicdobrego, co to porzucił bogatych rodziców i wypuścił koszulę na spodnie. . .”

Nie zwlekając długo wołam moją Hodł na podwórko i pytam prosto z mostu:

— Powiedz mi no, córko, masz już o nim jakąś wiadomość?

— Tak.

— Gdzież on teraz przebywa, twój oblubieniec?

— Daleko — powiada.

— A co robi?

— Siedzi.

— Siedzi?

— Siedzi.

— Gdzie siedzi? Za co siedzi?

Milczy. Patrzy mi prosto w oczy i milczy.

— Powiedz mi no, córko moja — mówię — według mego głupiego rozumu siedzi on nie za kradzież. No, a skoro tak, to nie pojmuje. Jeśli nie złodziej, oszust też nie, za cóż on siedzi? Za jakie to bohaterskie wyczyny?

Znowu milczy. Powiedziałem więc sobie: nie chcesz — nie trzeba. Przecież to twój utrapieniec, nie mój, no i pał go diabli. Ale ból w sercu jątrzy. Jestem przecież ojcem i jak my to mówimy w modlitwie: „Jak lituje się ojciec nad dziećmi” — czyli ojciec to zawsze ojciec.

Słowem, było to w Hoszana Raba wieczór. Mam zwyczaj w święta samemu odpocząć i dać odpocząć swej szkapinie, tak jak napisane jest w *Torze*: „Ty” — czyli ja, „i twój wół” — czyli twoja żona, „i twój osioł” — czyli twoja szkapina. . . A właściwie nie ma już co robić w tym czasie w Bojarce. Z chwilą, gdy zabrzmie róg barani, wszyscy letnicy uciekają do domu, jak myszy w czasie głodu, i Bojarka

pustoszeje. Wówczas lubię siedzieć na przyzbie, koło mojej chaty. Jest to dla mnie najlepszy okres roku. Dni są jakby podarowane. Słońce już nie praży jak piec ognisty, lecz łagodnie muska twarz, że aż miło. Las jest jeszcze wciąż zielony, sosny nie przestają pachnieć żywicą i wydaje mi się wtedy, że las wygląda tak odświętnie, jak szafas Pana Boga, szafas samego Pana Wszechświata. „Właśnie tu — myślę — Pan Bóg obchodzi święto Sukot i tu jest jego szafas. Tu, a nie w mieście, gdzie panuje wieczny zgiełk i hałas, gdzie ludzie gonią z pianą na ustach, by zdobyć kawałek chleba, i gdzie słyszy się tylko: pieniądze, pieniądze i pieniądze. . .”

A już wieczorem, w Hoszana Raba na przykład, wtedy to doprawdy istny raj. Niebo jest błękitne, gwiazdy migocą, błyszczą, mienia się i mrugają, jak nie przywierając oczy człowieka. A czasem zdarza się, że gwiazda szybko spada w dół pozostawiając na chwilę po sobie zieloną smugę. Spadła gwiazda — spadło czyjeś przeznaczenie. Bo ile gwiazd — tyle przeznaczeń. . . żydowskich przeznaczeń. . . „Żeby to czasem nie było moje nieszczęsne przeznaczenie” — myślę sobie i od razu przechodzi mi przez myśl Hodł. Już od paru dni jest jakby ożywiona. Poweselała i wygląda zupełnie inaczej niż zwykle. Ktoś jej przyniósł list, zdaje się, że od niego, od tego jej włóczykija. Chciałbym wprawdzie bardzo wiedzieć, co on tam pisze, ale zapytać — za nic. Ona milczy, to i ja będę milczał. Tewje nie jest babą, Tewje ma czas. . . A gdy tak myślę o niej, o Hodł znaczy się, przychodzi ona i siada obok mnie na przyzbie, ogląda się dookoła i szepce:

— Słyszysz, tato? Chcę ci coś powiedzieć. Dzisiaj pożegniam się z tobą. . . na zawsze. . .

Mówi to tak po cichutku, że ledwo słyszę jej słowa i patrzy na mnie przy tym takim jakimś dziwnym wzrokiem; takim wzrokiem, którego nigdy nie zapomnę. Nagle wpada mi do głowy straszna myśl: utopi się. . . Dlaczego, zapytacie, utopi się? Bo zdarzyło się, nie o nas niech to będzie powiedziane, takie coś: żydowska dziewczyna z sąsiedztwa zadurzyła się we wsiowym chłopaku. . . no i domyślacie się już chyba, co było dalej. Matka ze zmartwienia zachorowała i zmarła, a ojciec wykosztował się do ostatniego grosza i został nędzarzem. A ten chłopak rozmyślił się nagle i ożenił z inną. Więc dziewczyna poszła do stawu, rzuciła się do wody i utonęła. . .

— Co znaczy — powiadam — że żegnasz się ze mną na zawsze? — zapytuje niby od niechcienia i patrzę w ziemię, ażeby nie zauważyła, iż zbladłem śmiertelnie.

— To znaczy — odpowiada mi — że wyjeżdżam jutro z rana i już się więcej nie zobaczymy nigdy. . . nigdy. . .

Usłyszawszy te słowa lżej mi się zrobiło na sercu. Bogu niechaj będą dzięki i za to, jak tam powiedziane jest: „i to ku dobremu” — czyli mogłoby być gorzej, bo „lepiej” nie ma w ogóle granic. . .

— Dokąd, na przykład, jedziesz? — pytam. — O ile w ogóle jestem godny dostąpić tej łaski, byś mówiła ze mną o tym?

— Jadę — mówi — do niego.

— Do niego? — pytam. — A gdzież on teraz przebywa?

— Na razie — powiada — siedzi; ale już go wkrótce wysyłają.

— Aha! Więc jedziesz się z nim pożegnać? — zapytuję naiwnie.

— Nie — odpowiada — jadę wprost za nim, aż tam.

— Tam? — mówię. — Co to za „tam” znowu? Jak się ta miejscowość nazywa?

— Jeszcze na razie nie wiadomo dokładnie, jaka jest nazwa tej miejscowości, ale że to bardzo daleko — to pewne. . . tak daleko, że aż strach pomyśleć. . .

Tak mówi do mnie Hodł i wydaje mi się, że mówi to jakby z dumą, z przechwałką; tak jakby on dokonał tu czegoś takiego, za co należy mu się medal z całego pudu żelaza co najmniej. . . I co jej, dajmy na to, odpowiedzieć na takie coś? Za takie coś ojciec winien rozzłościć się na dziecko, zdzielić parę razy po buzi lub zwymyślać od najgorszych. Ale Tewje nie jest babą i trzyma się tej zasady, że gniew jest w księgach świętych porównany do bałwochwalstwa. Odzywam się więc do niej przytaczając taki oto przykład z *Pisma Świętego*:

— Widzę, moja córko, że święcie spełniasz, co napisane jest w *Torze*: „A zatem porzucisz” — czyli pozostawisz — mówię — dla jakiegoś Pieprzyka ojca i matkę — mówię — i wybierzesz się do miejscowości, o której nie wiadomo, gdzie się znajduje, gdzieś chyba w pustyni, na morzu lodowatym, tam dokąd wybrał się ongiś okrętem Aleksander Macedoński i zabłądził na odległej wyspie — mówię — wśród dzikich ludzi, jak to kiedyś czytałem o tym w jakiejś bajce. . .

Tak do niej mówię pół żartem, pół serio, a serce jednocześnie płacze we mnie. Ale Tewje to nie żadna baba; Tewje potrafi się opanować. A ona, Hodł, nie poddaje się wcale. Odpowiada „na pierwsze — pierwsze, na ostatnie — ostatnie”, czyli spokojnie, bez pośpiechu, z rozważą. Córki Tewji umieją mówić. . .

A chociaż mam głowę opuszczoną w dół i oczy przymknięte, zdaje mi się, że widzę dokładnie jej twarz, która jest tak samo jak ten księżyc na niebie błada i wygasła; a głos wydaje mi się jakby przytłumiony i drżący. . . A gdybym tak na przykład zaczął ją tulić i całować, prosić i błagać, żeby nie pojechała? Wiem, że to na nic się nie zda. Cóż to za niewydarzone stworzenia, te moje córki! Jak się to w kim zadurzy, to i duszą, i ciałem, i całym sercem, i całym jestestwem!

Słowem, przesiadzieliśmy spory kawał czasu na przyzbie; niech się wam здаje, że prawie całą noc. Więcej się milczało, niż mówiło, a to co się mówiło — to też jakby się milczało, ot takie sobie półsłówka. . . Mówiła ona, mówiłem ja. . . Pytam ją tylko o jedno: kto to słyszał, ażeby dziewczyna wyszła za mąż za chłopca tylko po to, by móc włóczyć się za nim, gdzie diabeł dobranoc mówi? . . . Na to ona, że „byle z nim, to mi wszystko jedno; niech będzie nawet tam, gdzie diabeł dobranoc mówi”. Więc ja jej naturalnie udowadniam, jakie to jest głupie. No, a ona mi tłumaczy, według jej rozumu znowuż, że ja tego nigdy nie pojmem. Da-

ję jej więc przykład z kurą, kwoka, która wygrzała kaczątką. Kaczątką, gdy tylko stanęły na nóżkach, od razu podreptały do stawu, a biedna kwoka siedzi na brzegu i gdacze.

— I co ty na to, córeczko?

— Cóż ja na to mogę powiedzieć? — odpowiada. — Pewno, że żal tej kwoki... ale czy dlatego, że kwoka gdacze, kacuszki nie powinny pływać?

Zrozumieliście? Córki Tewji nie mówią byle jak i nie mówią byle co...

No, a czas leci. Już zaczyna świtać. Stara mruczy w izbie. Już kilka razy pisała oznajmić, że czas skończyć z gadaniną i iść spać; a widząc, że nie pomaga, wychyliła głowę przez okno i odzywa się do mnie, w odpowiednim oczywiście tonie, jak zwykle:

— Tewje! Co ty sobie właściwie myślisz?

— Niech będzie cicho — mówię — Gołde. Jak tam jest napisane: „Po co się oni popychają”, czyli zapomniałaś, że dziś jest Hoszana Raba? W tym dniu wypisują na niebiosach nasze przeznaczenie na caluteńki rok, dlatego w noc tę należy czuwać. Posłuchaj lepiej mnie, Gołde, weź z łaski swej i nastaw samowar. Niech będzie herbata — mówię — a ja tymczasem zaprzęgnę konia. Jedziemy z Hodł do pociągu.

I jak to zwykle, wymyślam dla niej kłamstwo najnowszego wydania, że Hodł jedzie do Jehupca, a stamtąd jeszcze dalej, wciąż w związku z wiadomą sprawą, z tym spadkiem; i że może się czasem zdarzyć, iż pozostanie tam przez całą zimę, a może nawet przez zimę, lato i jeszcze jedną zimę. — Dlatego — mówię — trzeba jej będzie dać posiłek na drogę — czyli trochę bielizny, jakąś sukienkę, parę poduszek, poszew, to i owo, i tam jeszcze jakąś inną zieleninę.

W ten oto sposób komenderuję i zaznaczam, że nikt nie śmie płakać, bo to dzisiaj święto.

— W święto nie wolno płakać — mówię — jest to wyraźnie zabronione przez prawo rabinackie.

Ale naturalnie zwracają uwagę na mnie i moje prawo rabinackie jak na zeszłoroczny śnieg. Przy pożegnaniu rozbrzmiewają w domu jęki i szlochy matki, córek i jej samej — Hodł znaczy się — że aż strach. A już najwięcej jest płaczu, gdy żegnają się siostry Hodł i Cejtł — ta najstarsza, co to za tym krawcem (na święta przychodzi do mnie ze swoim umiłowanym). Padły sobie w ramiona i nie można ich było rozłączyć.

Ja jeden pozostałem niewzruszony jak głaz. Przyjmijmy, że się tylko tak mówi „jak głaz”; w środku we mnie kipi jak samowar... ale pokazać to komu — fe! Tewje nie jest babą!... Przez całą drogę do Bojarki milczymy, a niedaleko stacji powiadam do niej, żeby mi po raz ostatni powiedziała, czego on jednak takiego dokonał, ten jej Pieprzyk, znaczy się. Przecież we wszystkim musi tkwić jakiś sens. Na to ona się denerwuje i przysięga na wszystkie świętości, że on jest czysty, niewinny jak baranek.

— On jest człowiekiem — mówi — któremu niczego dla siebie nie trzeba, a wszystko, co robi, robi jedynie dla czyjegoś dobra, dla dobra całego świata, a w szczególności dla dobra robotników.

I bądź tu z tego mądry, i domyśl się, człowieku, co to wszystko znaczy.

— To znaczy — powiadam — że on się troszczy o cały świat, tak? A jeśli — mówię — on naprawdę jest taki bardzo porządny człowiek, to dlaczego świat ani razu o niego się nie zatroszczył? Oddaj mu przynajmniej pozdrowienie ode mnie, temu twojemu Aleksandrowi Macedońskiemu — mówię — i powiedz mu, że całkowicie polegamy na jego uczciwości, boć on przecie zanurzony jest w uczciwości od stóp do głów. . . toteż wierzę, że on mojej córki nie oszuka i napisze kiedyś od czasu do czasu liścik — powiadam — staremu ojcu. . .

A gdy to wyrzekłem, jak nie padnie mi ona na pierś, jak nie zacznie płakać. . .

— Pożegnajmy się — szlocha. — Bądź zdrów, ojcze! Bóg wie, kiedy się znowu zobaczymy?

Koniec. Tutaj już się nie mogłem powstrzymać. . . Przypomniałem sobie, rozumiecie, tę samą Hodł, gdy była jeszcze kruszynką. . . dzieckiem znaczy. . . Kiedy nosiłem ją na rękach. . . na rękach. . . Przepraszam, że się tak. . . po babsku. . . Ale gdybyście wiedzieli, co to była za Hodł. . . Gdybyście czytali te listy, które ona pisze. . . To jest Hodł, która przez samego Pana Boga została nam zesłana. O tu, tu, tu tkwi ona stale. . . głęboko. . . głęboko. . . Nie mogę wam tego tak dalece powiedzieć. . .

Wiecie co, panie Szolem Alejchem? Mówmy lepiej o czymś bardziej wesołym: — Co słyhać o cholercze, która panuje w Odessie? . . .

Napisane w 1904 roku.

Chawa

„Dziękujcie Panu, albowiem dobry jest” — czyli jak Pan Bóg rządzi, tak jest dobrze. To znaczy, tak musi być dobrze, bo spróbujcie być mędrce i zróbcie, ażeby było lepiej! A mnie oto zachciało się być mądrzejszym od Niego; kręciłem się tędy, kręciłem owędy. . . a widząc, że nic nie wskóram, „odjąłem rękę od serca” i rzekłem do siebie samego: „Tewje, głupiec z ciebie! Ty świata nie przetrzynasz!” Pan Bóg zesłał nam *caar gidul bonim*, co oznacza: dzieci przyczyniają zmartwienia i człowiek musi je przyjąć z zadowoleniem. Oto moja starsza córka, Cejtł znaczy się, zadurzyła się w krawcu imieniem Motł Kamzojł; no, to czy ja coś mam do niego? Prawdą jest, że to człek prosty, nie zna się tak bardzo na drobnych literkach, znaczy się, ale cóż można na to poradzić? Cały świat, jak wy to mówicie, nie może przecież składać się z ludzi uczonych! Jest za to człowiekiem uczciwym i pracuje biedak w pocie czoła. . . Córka ma już z nim, żebyście widzieli, pełen dom pędraków, bez uroku, oboje męczą się, jak się to mawia, w dostatku i poważaniu — a gadajcie z nią, to wam powie, że jest jej, bez uroku, tak dobrze, jak nikomu na świecie; lepiej być nie może! Tylko jeden mały feler, że chleba nie starczy. . . Dotąd hakafo alef — czyli to jest numer jeden.

No, a o drugiej córce — Hodł znaczy się — wiecie przecież; nie muszę wam zatem opowiadać. Tę przegrałem, straciłem na wieki! Bóg wie, czy ją moje oczy jeszcze kiedyś ujrzę, chyba — po stu dwudziestu latach — na tamtym świecie. . . Gdy mówię o niej, o Hodł znaczy się, to jeszcze po dziś dzień nie mogę przyjść do siebie. Czuję, że nadchodzi kres mojego żywota! Zapomnieć, mówicie? Jak można zapomnieć o żywym człowieku? A zwłaszcza o takim dziecku jak Hodł? Żebyście zobaczyli, jakie listy ona pisze, toż to można się roztopić we łzach. Powodzi im się tam — pisze — bardzo dobrze. On siedzi, a ona zarobkuje. Pierze bieliznę, czyta książki i widuje się z nim co tydzień. . . Ma, powiada, nadzieję, że tu u nas wszystko się jakoś przekołuje, wszędzie słonko i będzie jasno. Wtedy wróci jej mąż wraz z wielu takimi jak on i wówczas dopiero — powiada córka — zabiorą się oni do tej najgłośniejszej roboty i przewrócą świat do góry nogami. No? Jak wam się to podoba? Dobrze? Ha? . . . Cóż czyni Pan Wszechświata? Przecież jest, jak wy to powiadacie, Bogiem pełnym litości i miłosierdzia, więc powiada do mnie tak: „Poczekaj Tewje, już ja sprawię tak, iż zapomnisz o twych wszystkich

dotychczasowych utrapieniach!...” I tak się właśnie stało. Możecie posłuchać. Innemu bym tego nie opowiedział, ponieważ ból jest wielki, lecz wstyd jeszcze większy! Ale jak tam piszą w naszych świętych księgach: „Azaliż ja ukrywam przed Abrahamem” — czyli czyż istnieje u mnie tajemnica przed wami? Co mi się przydarzy — wszystko wam opowiadam... Tylko o jedną rzecz was poproszę: niechaj to pozostanie między nami. Mówię wam raz jeszcze: ból jest wielki, ale wstyd, wstyd jest jeszcze większy!

Słowem, jak my to mówimy w *Pereku*: „Zapragnął Wiekuisty uczynić godnym” — czyli Pan Bóg zapragnął wyświadczyć przysługę Tewji, wziął więc i pobłogosławił go siedmioma potomkami płci żeńskiej, córkami znaczy się; udanymi, wycackanymi, mądrymi i pięknymi, świeżymi i zdrowymi — mówię wam — jak te sosny! Oj, bodaj byłyby to raczej paskudnice, byłoby może lepiej dla nich i zdrowiej dla mnie. Albowiem co mi, dajmy na to, po dobrym koniu, jeśli stoi w stajni? Co mi po pięknych córkach, skoro człowiek jest zagrzebany wraz z nimi w jakiejś dziurze, w której nie widać ani jednego żywego człowieka z wyjątkiem Antona Poperyły — gojskiego przewodniczącego kahału w wiosce, pisarza gminnego Chwedka Gałagana, rosnącego chłopca w paltocie i wysokich butach, oraz popa, bodaj imię jego zostało wyklęte. Nie mogę słuchać jego imienia! Nie dlatego, że ja jestem Żydem, a on popem. Na odwrót, znamy się bardzo dobrze już kopę lat. To znaczy, na uroczystości jeden do drugiego nie chodzimy, pozdrowić z następującym świętem pewno też nie, ale nic. Spotykamy się, owszem: dzień dobry, dzień dobry, co słyhać na świecie. Rozprawiać z nim zbyt wiele nie lubię, gdyż byle co, zaczyna się historia: wasz Bóg, nasz Bóg. Wówczas ja się naturalnie nie poddaję i przerywam mu jakimś cytatem, powiadam, że jest u nas takie twierdzenie w świętych księgach... A on naturalnie z kolei mnie przerywa i powiada, że wszystkie te twierdzenia zna nie gorzej ode mnie, a może znacznie lepiej, i zaczyna sypać na pamięć zdania z naszego *Chumaszu*, jak zwykle: *Bereszit bara Elokim* — za każdym razem jedno i to samo. Więc ja mu oczywiście przerywam i powiadam, że jest u nas *Midrasz*.

— *Midrasz* — powiada pop — to już jest tak zwany *Talmud*, a *Talmudu* on nie lubi, bo *Talmud* — powiada — to szwindel... Wówczas ja naturalnie wpadam w złość i wygarniam mu wszystko, co mi ślina na język przyniesie. To wam się pewno zdaje, że jego to wzrusza? Wcale nie. Patrzy na mnie i śmieje się rozczesując przy tym swoją okazałą brodę. Nie ma, słyszycie, nic gorszego na świecie od tego, jak wy kogoś besztaacie, mieszacie z błotem, a ten milczy. Was żółć zalewa, a tamten siedzi i uśmiecha się! Wówczas nie rozumiałem jeszcze tego, ale teraz wiem, co ten uśmiech oznaczał...

Słowem, przyjeżdżam pewnego razu do domu, już o zmierzchu, i widzę, że Chwedko Gałagan stoi z moją Chawą, moją trzecią córką, tą drugą po Hodł. Ujrzawszy mnie chłopak odwrócił się, zdjął przede mną czapkę i znikł. Odzywam się więc do mojej Chawy:

— Co tu robił Chwedko?
Na to ona: — Nic...
Więc ja powiadam: — Co znaczy nic?
A ona: — Rozmawialiśmy...
Więc ja znowu: — Jaki znowu kum twój jest ów Chwedko?
A ona: — Znamy się już od dawna...
Więc ja do niej: — *Mazł tow* ci, z okazji twojej znajomości! Nawet wcale odpowiedni kolega dla ciebie, ten Chwedko!
Więc ona powiada: — Czy ty go w ogóle znasz? Czy ty wiesz, kim on jest?
Na to odrzekłem jej tak: — Nie wiem wprawdzie, kim on jest, jego rodo-
wodu nie znam i nie czytałem, ale wyobrażam sobie, że powinien wywodzić się
z najbardziej znakomitej rodziny. Ojciec — powiadam — musiał pewno być albo
pastuchem, albo stróżem, albo po prostu zwyczajnym pijakiem...
Na to odzywa się do mnie ona, Chawa znaczy się: — Kim jego ojciec był, nie
wiem i nie chcę wiedzieć. U mnie wszyscy ludzie są równi. Ale że on sam jest
człowiekiem niezwykłym, o tym wiem z pewnością...
— To znaczy, że jakiego — mówię — sortu i rodzaju człowiekiem on jest?
Niechaj usłyszę...
— Powiedziałyby ci — mówi — ale ty tego nie zrozumiesz. Chwedko —
powiada — to drugi Gorki...
— Drugi Gorki? — pytam. — A kim był ten pierwszy Gorki?
— Gorki — powiada Chawa — jest dziś pierwszym człowiekiem na świecie.
— Gdzież on — pytam znowu — mieszka ten twój tanaj, czym się zajmuje
i jakie kazanie wygłosił?
Więc ona mówi tak:
— Gorki to znakomity pisarz, powieściopisarz... To znaczy taki człowiek,
który tworzy książki... W dodatku jest wspaniałym, niezwykłym, uczciwym
człowiekiem. Pochodzi z prostych ludzi, nie uczył się nigdzie, wszystkiego sam
dopiął... Oto jego zdjęcie... — tak powiada do mnie, Chawa znaczy się, wyjmu-
je z kieszeni portrecik i pokazuje mi go.
— I to jest — powiadam — ten twój cadyk, reb Gorki? Mógłbym przysiąc,
że go już gdzieś widziałem; albo Przy kolei żelaznej dźwigającego worki, albo
w lesie wlokącego kloce...
— Więc u ciebie — powiada córka — jest wada — mówi — gdy człowiek
haruje i pracuje własnymi rękami? A ty sam nie pracujesz? A my wszyscy nie
harujemy?
— Tak, tak, masz rację — odpowiadam. — U nas powiedziane jest wyraźnie:
„Z pracy rąk własnych żywić się będziesz” — czyli jeśli nie będziesz tyrał, nie
będziesz też jadł... Mimo to — ciągnę dalej — nie rozumiem, co tu ma do roboty
Chwedko? Byłbym raczej zadowolony, gdybyś się z nim znała nieco z dala. Nie

powinnaś — powiadam — zapominać, „skąd przybyłeś i dokąd zdążasz” — czyli kto jesteś ty — mówię — a kim jest on.

— Pan Bóg stworzył — ona mi na to — wszystkich ludzi jednakowo. . .

— Tak, tak — powiadam — Pan Bóg stworzył Adama na wzór i podobieństwo swoje. Nie należy jednak zapominać, że każdy winien szukać równego sobie, jak w naszych księgach piszą: „Człowiek według swoich możliwości. . .”

— Istny cud! — przerywa mi córka. — Na wszystko masz jakiś cytat! A może znajdzie się czasem u ciebie jakiś cytat — mówi — na to, iż ludzie — powiada — sami wzięli — prawi — i podzielili się na Żydów i nie-Żydów, na panów i niewolników, na bogaczy i żebraków?

— Te, te, te! — przerywam jej. — Zajechałaś już, córko moja, hen, hen w elef haszisz! — I wyjaśniam jej, naturalnie, że tak się już ten świat prowadzi od pierwszych dni jego stworzenia. Więc ona zapytuje:

— A dlaczego ten świat ma się właśnie tak prowadzić?

— Dlatego — ja jej na to — że właśnie tak Pan Bóg swój świat stworzył. . .

— A dlaczego — ona znowu — Pan Bóg właśnie tak swój świat stworzył? . . .

— E! — mówię. — Jeśli zaczniemy zadawać pytania, dlaczego tak i dlaczego owak, to przecież będzie historia bez końca!

— Przecież po to Pan Bóg — powiada — obdarzył nas rozumem, ażebyśmy zadawali pytania. . .

— U nas — przerywam jej — jest taki zwyczaj: jeśli kura — prawie — zaczyna pisać jak kogut, należy ją natychmiast odprawić do rzeźnika. Jak my to mówimy w modlitwie: „obdarzający męża rozumem” . . .

— A może byłoby już dość tego gardłowania? — odzywa się do mnie moja Gołde. — Barszcz — powiada — stoi już od godziny na stole, a on śpiewa *Zemirot!*

— Oto masz ci — mówię — drugie dni świąt! Nie na próżno mówię — powiedzieli nasi mędrzy: *Sziwo deworim bagojłom* — czyli kobieta posiada dziewięć łutów gadatliwości. My tu mówimy o ważnych sprawach, a ta zjawia się ze swym mlecznym barszczem!

— Mleczny barszcz — odzywa się do mnie moja Gołde — jest może tak samo ważną sprawą, jak wszystkie twoje ważne sprawy.

— *Mazł tow* — powiadam — oto macie — mówię — nowego filozofa, prosto spod pieca, mało zapewne tego — powiadam — że córki Tewji stały się nagle uświadomione, więc żona Tewji też już zaczęła wznosić się przez komin prosto do nieba!

— Skoro mowa o niebie — powiada żona — to mógłbyś już leżeć w ziemi. . . — No i jak wam się podoba, na przykład, takie powitanie na pusty żołądek? . . .

Słowem, zostawmy — jak to wy mawiacie — królewicza i zabierzmy się do królowny, do popa, mam na myśli, oby imię i pamięć po nim zostały wyklete!

Pewnego razu, przed wieczorem, wracając do domu z próżnymi bańkami i konwiami spotykam go tuż przed wjazdem do wsi jadącego na swej żelazem kutej bryczce. Osobiście powozi, a wiatr rozwiewa rozczesaną brodę na obie strony. „A bodaj cię... — myślę — a to ci dopiero spotkanie!”

— Dobry wieczór — powiada pop. — Nie poznałeś mnie — pyta — czy co?

— Wzbogacisz się wkrótce — odparłem i zdjąłem czapkę chcąc jechać dalej.

Wówczas on powiada:

— Poczekaj chwilkę, Tewel, czego się tak śpieszysz? Chciałem ci rzec dwa słowa.

— Och — mówię — i owszem, byle coś pomyślnego. A jeśli nie — prawie — można to odłożyć do następnego razu... .

— Co znaczy według ciebie — pyta pop — do następnego razu?

— Do następnego razu — odpowiadam — znaczy według mnie do czasu, gdy Mesjasz przyjdzie... .

— Przecież — pop na to — Mesjasz już przyszedł... .

— O tym słyszałem już od ciebie niejednokrotnie — odrzekłem. — Ty, ojczulku, opowiedz mi lepiej coś nowego... .

— O to mi właśnie chodzi. Chciałem z tobą porozmawiać o tobie samym, a raczej o twojej córce... .

Coś mnie jakby ukłuło w sercu: co za pan brat pop z moją córką? Odzywam się więc doń tymi słowy:

— Moje córki nie należą, broń Boże, do takich, za które trzeba mówić. Już one — powiadam — same potrafią swoje sprawy załatwić!... .

— No, ale sprawa, o której ja chcę z tobą mówić, należy do takich, jakich ona sama załatwić nie może. O tym musi kto inny porozmawiać, ponieważ chodzi tu o rzecz bardzo istotną, o jej przyszłość... .

— A kogóż to obchodzi przyszłość mego dziecka? Zdaje mi się, że skoro mowa o przyszłości, to chyba ja jestem swemu dziecku ojcem do stu dwudziestu lat, czy nie?

— Prawda. Jesteś ojcem swojego dziecka, lecz jesteś — powiada — ślepy i nie potrafisz zrozumieć swojej córki. Twoje dziecko — powiada — rwie się w inny świat, a ty tego nie pojmujesz albo nie chcesz pojąć.

— Czy ja jej nie pojmuję, czy pojąć nie chcę, to inna sprawa. O tym — powiadam — możemy nieco pogawędzić. Ale powiedz mi no, ojczulku, co ty masz z tym wspólnego?

— Mam z tym bardzo wiele wspólnego, albowiem ona znajduje się w tej chwili pod moją opieką — mówi gładząc swą okazałą brodę. Wtedy zerwałem się naturalnie z krzykiem:

— Kto? Moje dziecko jest w twojej mocy? Jakim prawem? — zawołałem czując, że wpadam w złość. A on powiada zupełnie opanowany, spokojny i z uśmiechem:

— Tylko się nie gorączkuj, Tewel! Ty wiesz — mówi — że nie jestem ci, uchwaj Boże, wrogiem, chociaż jesteś Żydem. Ty wiesz — ciągnie dalej — że ja Żydów lubię, że serce mnie boli za nich, za ich upór, za to, iż zacięli się i nie chcą zrozumieć, że tu chodzi o ich dobro...

— O dobroci — przerywam mu — ojczulku, możesz ze mną teraz nie mówić, gdyż każde słowo, które słyszę w tej chwili od ciebie, to dla mnie kropla jadu śmiertelnego, kula — powiadam — z pistoletu trafiająca prosto w moje serce. Skoro rzeczywiście jesteś moim przyjacielem, chciałbym cię prosić tylko o jedną przysługę: moją córkę pozostaw w spokoju...

— Głupi z ciebie człowiek — mówi. — Twojej córce nic złego, broń Boże, się nie stanie. Czeka ją teraz wielkie szczęście — powiada. — Dostaje — mówi — narzeczonego, taki rok na mnie.

— *Omejn!* — powiadam niby z uśmiechem, a w sercu piekło gore! — Kto, na przykład, jest tym narzeczonym, jeśli w ogóle dostąpiłem tej godności, ażeby o tym wiedzieć?

— Powinieneś go znać; jest bardzo porządnym i uczciwym człowiekiem. Wykształcony, choć zdobył wiedzę o własnych siłach... Przy tym zakochany jest w twojej córce i pragnie się z nią ożenić, lecz nie może, ponieważ nie jest Żydem.

„Chwedko” — pomyślałem i jakiś dziwny żar zapłonął mi w głowie, a zimny pot oblał całe ciało; ledwo usiedziałem na furmance. Ale zdradzić się z tym przed nim — niedoczekanie jego! Jak nie pociągnę za lejce, jak nie smagnę szkapiny, i „poszedł Mojsze Mordche” — czyli wyrwałem bez pożegnania — i jazda do domu...

Wchodzę do izby... Aj, aj, aj! Świat się kończy! Dzieci z ukrytymi w poduszkach głowami szlochają, moja Gołde jest więcej na tamtym niż na tym świecie... Szukam Chawy; gdzie Chawa? Nie muszę już wcale pytać, och i jej! Czuję smak mąk piekielnych, pali we mnie niczym ogniem i nie wiem sam, przeciw komu... Wziąłbym i sam siebie wychłostał... Rozkrzyczałem się na dzieci, a całe zgorzkniałe serce wylewam w kłótni z żoną. Nie mogę sobie miejsca znaleźć. Wychozę do stajni nakarmić konia i zastaję bydlę z jedną nogą spętaną po przeciwnej stronie kojca. Chwytam więc kij i zaczynam je okładać, grzmocić, zdzierać skórę, łamać kości: bodajbyś się spalił, ty ciemnego jedna! Bodajbyś tak żył, jeśli ja mam choćby ziarnko owsa dla ciebie! Zmartwienia, jeśli chcesz, dać ci mogę, ciosy, utrapienia, plagi i nieszczęścia... Tak rozprawiam się z bydlęciem, lecz po chwili zastanawiam się, że to przecież znęcanie się nad żywym stworzeniem, które jest Bogu ducha winne. Czego ja właściwie chcę od tego konia? Dosypuję mu więc trochę siewki i obiecuję, że z bożą wolą pokażę mu w sobotę koniczynkę na czyjejs łące, i wracam z powrotem do mieszkania. Kładę się i leżę pełen bólu i cierpienia, a głowa omal nie pęka mi od rozmyślań. Usiłuję dociec i pojąć znaczenie tego wszystkiego, co zaszło. „Jaki grzech mój i jakie me przewinienie” — czyli czymże ja, Tewje, zgrzeszyłem bardziej niż świat cały, iż ukarany

zostałem bardziej niż wszyscy Żydzi. Oj, Panie Wszechświata! „Cóż my i cóż żywot nasz?” — czyli kimże ja jestem, iż stale o mnie pamiętasz? Wciąż się o mnie troszczysz i nie dopuszczasz, żeby jeden chociaż cios, jedno zmartwienie, jedno nieszczęście ominęło czasem Tewje! . . .

Gdy tak sobie medytuję leżąc jak na rozżarzonych węglach, słyszę, że moja biedna żona wzdycha, aż serce się rwie słuchając jej westchnień.

— Gołde — powiadam — śpisz? . . .

— Nie — mówi — a bo co? . . .

— Nic — powiadam. — Jesteśmy pogrążeni głęboko, głęboko w ziemi. Może wiesz, jaka jest rada na to, co należy zrobić?

— Ty pytasz mnie o radę, och i jej! Dziecko wstaje rano — mówi żona — zdrowe, świeże, ubiera się — powiada — i nagle zaczyna mnie ścisnąć, całować i płakać.. i nic nie mówi. Myślałam, że broń Boże, zwariowała! Pytam ją: „Co ci jest, córko?” Mówi, że nic. Wychodzi na chwilkę do krów i znika. Czekam godzinę, czekam dwie czekam trzy — gdzie Chawa? Nie ma Chawy! Odzywa się więc do dzieci: „Podskoczcie no — mówię — na chwilkę do popa. . .”

— Skąd ty — pytam — wiedziałaś, Gołde, że ona poszła do popa?

— Skąd ja wiedziałam? — odrzekła żona. — Och, ty moja dolo nieszczęśliwa! Alboż to ja oczu nie mam? Alboż to ja nie jestem matką?

— A skoro masz oczy i jesteś jej matką, to czemużeś — powiadam — milczała i czemużeś mnie o niczym nie powiedziała?

— Czemu tobie o niczym nie powiedziała? A kiedy ty jesteś w domu? — odparła żona. — A jeśli ja ci coś mówię, to czy ty mnie choć raz wysłuchasz? Gdy mówią do ciebie — powiada — z miejsca wygłaszasz cytaty z *Pisma Świętego*, zwracasz głowę cytatami i przypowieściami i na tym się wszystko kończy. . . — Tak mówi do mnie, Gołde znaczy się, i słyszę po ciemku jej płacz. . . Trochę racji nawet ma, bo co niewiasta potrafi zrozumieć? A serce mnie boli o nią, nie mogę słuchać jej westchnień i płaczu, więc odzywam się do niej tak:

— Widzisz, Gołde, złościsz się o to, że ja znajduję na wszystko cytaty; ale muszę ci na to również odpowiedzieć cytatami. U nas napisane jest — mówię — tak: „Jak lituje się ojciec nad swymi dziećmi” — czyli ojciec kocha swe dziecię. A dlaczego nie piszą: „Jak lituje się matka nad swymi dziećmi?” — czyli że matka kocha swoje dziecię? Bo matka to nie to co ojciec. Ojciec inaczej potrafi przemówić do swego dziecka. Zobaczysz — powiadam — że jutro, z bożej woli, spotkam się z nią. . .

— Daj to Bóg — żona na to — ażebyś się mógł z nią widzieć. . . I z nim również. On jest — powiada żona — nawet niezłym człowiekiem, mimo że jest popem. Przecież się zlituje. . . Będziesz go błagał, do nóg mu padniesz, może się zlituje? . . .

— Kto — zawołałem — ja temu klesze, a bodaj imię jego zostało wyklęte, do nóg się rzucę? Żebym ja się kłaniał — powiadam — popowi? Czyś ty osza-

łała, czyś zmysły postradała? *Al tiftach pe lesoton* — czyli niedoczekanie moich wrogów!

— O, widzisz! Z tobą — żona na to — tylko zacząć!

— A cóż ty sobie myślałaś? Pozwolę kobiecie za nos się wodzić? Będę — powiadam — żył twoim babskim rozumem?

Na takich rozmowach upłynęła nam noc. Ledwo doczekałem pierwszego piania kura, zerwałem się z łóżka, pomodliłem byle jak, chwyciłem bat i poszedłem naturalnie prosto na plebanię, do popa. Jak wy to mówicie? Kobieta nie jest wprawdzie niczym więcej niż kobietą, ale dokąd miałem pójść? Do grobu?...

Słowem, ledwie przyszedł na dziedziniec plebanii, powitały mnie tam godnie psy, usiłując rozprawić się z moją kapotą i skosztować łydki moich żydowskich kończyn dolnych, czy aby są dość smakowite dla ich psich podniebień. Całe szczęście, że zabrałem ze sobą bat, więc zapoznałem ich z twierdzeniem *Pisma Świętego*, które głosi: „Niech pies swego ozora nie wystawia” — czyli *niechaj sobaka darom nie briesze*, co po naszymu znaczy: niech pies na próżno nie ujada... Na ujadanie psów i mój hałas wybiegł pop z popadią, ledwo uśmierzyli rozbawioną hałastrę, a mnie zaprosili do domu. Powitali mnie jak najbardziej dostojnego gościa i chcieli nawet postawić dla mnie samowar. Więc ja powiadam, że jeśli chodzi o samowar, to niekoniecznie... Chciałem porozmawiać z popem, rzekłem, w cztery oczy. Domyślił się widać, o co mi chodzi, mrugnął do swej połowicy, by zechciała łaskawie zamknąć drzwi z tamtej strony, a ja przystąpiłem od razu do dzieła i bez żadnego wstępu rzekłem, ażeby mi najpierw odpowiedział, czy wierzy w Boga... A potem niechaj mi powie, czy aby znane mu jest uczucie ojca, rozłączonego z ukochanym dzieckiem?... I niech mi również odpowie na to, co to jest grzech, a co dobry uczynek? I jeszcze chciałbym, ażeby wyjaśnił mi taką rzecz: co on myśli o człowieku, który przychodzi do czyjegoś domu chcąc tam wszystko przewrócić do góry dnem, poprzestawiać stoły, krzesła, łóżka?...

Naturalnie, że siedział jak osłupiały. Wreszcie rzekł:

— Tewel — powiada — wszak jesteś mądrym człowiekiem — mówi — a oto bierzesz i zadajesz mi na raz tyle pytań i żadasz — mówi — ażeby ci od razu na nie odpowiedział. Poczekaj — powiada — a ja ci odpowiem na wszystko po kolei. „Na pierwsze — pierwsze, na ostatnie — ostatnie...”

— Nie — powiadam doń — ty mi, ojczulku drogi, nigdy na nie nie odpowiesz. A wiesz dlaczego? Bo ja z góry znam wszystkie twoje myśli. Ty mi lepiej powiedz: czy ja mam nadzieję ujrzeć z powrotem moje dziecko, czy nie?

Na to pop zrywa się z miejsca:

— Co znaczy — z powrotem? Twojej córce nic się, broń Boże, nie stanie. Na odwrót...

— Ja wiem — powiadam — wiem, że chcecie ją uszczęśliwić! Nie oto mi chodzi — mówię. — Chcę wiedzieć, gdzie się znajduje moje dziecko i czy mógłbym ją zobaczyć?

— Wszystko tak — powiada — ale to jedno nie. . .

— Tak od razu mów. Wyraźne słowa, czyli krótko i węzłowato! Bądź zdrów — powiadam — i niechaj cię Bóg według twych zasług wielokrotnie wynagrodzi! . . .

Przychodzę do domu i zastaję moją Gołdę leżącą, zwiniętą w czarny kłębek na łóżku. Już jej łez w oczach zabrakło. Odzywam się więc do niej tak:

— Wstań, moja żono, zdejm — powiadam — obuwie i usiądźmy sziwe, jak Pan Bóg przykazał. Pan Bóg dał, Pan Bóg wziął, błogosławione niechaj będzie Imię Pańskie. Nie my pierwsi, nie my ostatni. I niech się nam zdaje — powiadam — żeśmy nigdy żadnej Chawy nie mieli albo — mówię — niech się nam zdaje, że i ta, jak Hodł, uciekła od nas na koniec świata, aż pod same Harej Choszech, w krainę wiecznego mroku, i jeden Pan Bóg wie, czy ją jeszcze kiedyś ujrzemy. . . Bóg — powiadam — jest pełen litości i miłosierdzia i wie, co czyni!

Tak oto daję upust swemu żalowi i czuję, że łyzy mnie dławia, stoją mi kością w gardle. Ale Tewje nie jest baba, Tewje potrafi się powstrzymać! Przyjmijmy, że to się tylko tak mówi; bo po pierwsze ten wstyd! . . . A po wtóre, jak można się powstrzymać, gdy traci się żywcem takie dziecko, taki brylant, który głęboko tkwi w sercu moim i matki, więcej, zdaje się, niż wszystkie inne dzieci; nawet nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że w dzieciństwie wiele chorowała, zniosła wszelkie bóleści, jakie istnieją na świecie? Pewnego razu siedzieliśmy nad nią kilka nocy z rzędu i niemal cudem wyrwaliśmy ją śmierci, po prostu oddechaliśmy, jak odgrzewa się małe, zdeptane pisklę; ponieważ jeśli Bóg chce, zamienia on martwych w żywych, tak jak my to mówimy w *Halelu*: „Nie umrę, albowiem żyć będę” — czyli jeśli komu śmierć nie została przeznaczona, nie umrze. . . A może dlatego, że jest dzieckiem dobrym, oddanym, zawsze kocha nas z matką jak własne życie, jak własną duszę. Zachodzi pytanie: jakże ona mogła nam coś takiego zrobić? A więc po pierwsze, taki nasz los. Nie wiem, jak wy, ale ja wierzę w przeznaczenie, a po wtóre, są to jakieś czary, jakaś rzecz specjalnie nam uczyniona, jakaś nieczysta siła! Możecie się śmiać ze mnie, a ja wam powiadam, że nie jestem wcale takim głupcem, by wierzyć w krasnoludki, chochliki, duchy domowe i tym podobne niestworzone bujdy. Ale w czary, widzicie, wierzę. No bo co to może być innego, jeśli nie czary? Oto usłyszycie, co było dalej, a też powiecie to samo. . .

Słowem, jeśli w świętych księgach powiedziane jest: „Wbrew swej woli żyjesz” — czyli że człowiek własnoręcznie życia sobie nie bierze, nie jest to pewno powiedziane ot, tak sobie. Nie ma takiego wrzodu na świecie, ażeby się w końcu nie zagoił, i takiego nieszczęścia, o którym by się nie zapomniało. To znaczy, że się tego wcale nie zapomina, ale co można zrobić? „Człowiek do zwierzęcia podobny jest” — czyli człowiek powinien pracować, harować i zapracowywać się dla zdobycia kawałka chleba. Zabraliśmy się, co tu dużo gadać, wszyscy do roboty. Moja żona i dzieci do krów, ja do konia i furmanki i „świat według swego

zwyczaju” — czyli świat w miejscu nie stoi. W domu nakazałem: — O Chawie *toj jizocher weloj jipoked* — nie ma Chawy! Wymazane — i już!

Zebrałem trochę nabiału, świeżego towaru i udałem się do moich klientów, do Bojarki.

Przybyłem do Bojarki — radość, uciecha! Co porabia Żyd, reb Tewje? Dlaczego was nie widać?

— A co mam robić? — powiadam. — „Odnów dni nasze jak przedtem” — czyli ten sam niedołęga, co i zawsze. Krówka — powiadam — mi zdechła. . .

— Co to jest takiego, że wszystkie cuda zdarzają się tylko z wami — no i ludziska wypytują każdy z osobna, jaka to krówka mi zdechła, ile mnie ona kosztowała i ile krówek pozostało mi jeszcze. I śmieją się, cieszą, jak to zwykle bogacze, którzy lubią się zabawiać kosztem biedaka-niedorajdy, zwłaszcza po obiedzie, gdy humor dopisuje, na dworze jest ciepło, zielono i człek ma ochotę uciąć sobie drzemkę poobiednią. . . Ale Tewje jest człowiekiem, którego stać na to, by nie zwracać uwagi, że ktoś sobie żarty stroi. Niedoczekanie ich, ażeby mieli wiedzieć, co się w moim sercu dzieje. Gdy załatwiłem już wszystkich swoich odbiorców, udałem się w drogę powrotną z pustymi dzbanami i konwiami. Jadę lasem. Puściłem konika samopas, niech sobie stąpa powoli i szczypie trawkę, a sam zagłębiam się w najrozmaitsze dociekania i rozważania. Zastanawiam się, nad czym tylko chcecie: nad życiem i śmiercią, nad tym światem i tamtym światem, i nad tym, co to takiego świat, i po co człowiek żyje. . . i jeszcze o podobnych sprawach medytuję, po to, by zagłuszyć w sobie ciągłe myśli, czyli bym przestał wciąż rozmyślać o niej, o Chawie znaczy się. A jak na złość przychodzi mi do głowy właśnie ona — Chawa znaczy. Widzę ją, jakbym ją miał przed sobą, w całej okazałości: wysoka, piękna, świeża, jak sosna. . . Albo zgoła taką, jaką była jeszcze dzieckiem: maluteńka, chorowita, zdechlaczka, wątła jak pisklą. . . Kiedy to trzymałem ją na rękach, a ona zarzucała główkę na moje ramię: „Czego chcesz, Chawe! Dać ci kawałek "papy"? Trochę moni? . . .” I na moment zapominam o tym, co to ona zrobiła, a serce ciągnie do niej, dusza się rwie, tęskni. . . Ale starczy przypomnieć sobie o wszystkim, by krew zaczęła burzyć się we mnie, ogień zapalał w moim sercu na nią, na niego, na cały świat i samego siebie. Czemu nie potrafię zapomnieć o niej nawet przez chwilę? Dlaczego nie mogę jej zapomnieć, wymazać, wyrwać z serca? Czy może nie zasłużyła sobie na to? Po to właśnie Tewje winien być bardziej Żydem niż każdy inny, męczyć się przez wszystkie lata, orać ziemię nosem, wychowywać dzieci, by te potem wyrwały się przemocą za jednym razem i odpadały jak szyszka z drzewa. . . by zostały rozsiane wiatrem, uniesione dymem? . . . „Oto na przykład — myślę sobie — rośnie drzewo, dąb w lesie. Wtem przychodzi osobnik z siekierą, odcina jedną gałąź, potem znowu jedną gałąź, i znowu jedną. . . A co wart jest dąb bez gałęzi, pożał się Boże? Weź już lepiej, człeku, siekierę i zetnij całe drzewo, i niechaj już raz z tym koniec będzie. Po co ma sterczeć nagi dąb w lesie?”

I gdy tak sobie snuję te myśli, czuję nagle, że mój koń się zatrzymał. Stop! Co takiego? Podnoszę oczy, patrzę — Chawa!... Ta sama Chawa, co i przedtem, ani o włos się nie zmieniła, nawet odzież nosi tę samą... Pierwsze, co mi przyszło na myśl, to zeskoczyć z fury, objąć ją, uściskać... Ale w tej samej chwili powstrzymała mnie inna myśl: „Tewje! Czy ty jesteś babą?” Pociągnąłem lejce: „Wio, niedołego!” — ciągnę w prawo. Ona też w prawo i macha do mnie ręką, jakby chciała rzec: „Poczekaj chwilkę, mam ci coś do powiedzenia...” Coś jakby zerwało się w mych wnętrznościach, w sercu załkało, ręce i nogi zdrtwiały. Jeszcze chwilka, a zeskoczę z wozu! Powstrzymałem się jednak wszelkimi siłami i pociągnąłem konia w lewo. Ona też w lewo. Patrzy na mnie dziwnym spojrzeniem, jej twarz pokrywa martwota... Co tu począć? — myślę sobie. — Zatrzymać się czy jechać dalej?” Ledwo zdążyłem się obejrzeć — aha! — ona już trzyma konia za uzdę i mówi do mnie:

— Tato! Niechaj umrę, jeśli ruszysz się stąd! Proszę cię, wysłuchaj mnie najpierw, tato! Ojczy!...

„E — myślę sobie — chcesz mnie wziąć przemocą? Nie, moja duszko! Skoro tak, to znak, że nie znasz jeszcze swego ojca...” I nuże smagać szkapinę, na czym świat stoi. A konik słucha, skacze, tylko wciąż odwraca łeb i strzyże uszami.

— Wio — powiadam doń — „nie spoglądaj na dzban”, czyli nie patrz, znaczy się, mój mądralo, tam gdzie nie trzeba...

A samemu, myślicie, nie chce mi się odwrócić głowy i spojrzeć, chociażby jeden raz zerknąć tam, na to miejsce, w którym się zatrzymała?... Ale nie! Tewje nie jest babą. Tewje wie, jak należy przeciwstawić się szatanowi kuszącemu...

Słowem, nie chcę wam, jak wy to mówicie, „dni przedłużać”, bo szkoda waszego czasu. Jeśli były mi przeznaczone męki czyśćca, to już je chyba odbyłem podczas tego spotkania. A o smaku mąk piekielnych, rzucania z jednego końca świata na drugi i wszystkich innych utrapieniach, które opisane są w naszych księgach świętych, możecie mnie pytać! Już ja wam o nich opowiem! Przez całą powrotną drogę wydawało mi się, że ona biegnie za mną i woła: „Wysłuchaj mnie, tato! Ojczy!” I nagle przelatuje mi przez głowę taka oto myśl: „Tewje! Za bardzo się stawiasz! Co by ci mogło zaszkodzić, gdybyś się był na chwilę zatrzymał i wysłuchał jej? Może ma ci do powiedzenia coś takiego, o czym winienesz wiedzieć? Może, kto wie, żałuje swego czynu i chce powrócić? A może ma u niego „rajski żywot” i błaga cię, abyś ją wydobył z tego piekła?” Może i może, i jeszcze bardzo dużo takich „może” przychodzi mi na myśl. Widzę ją jako małe dziecko i przypominam sobie słowa *Pisma Świętego*: „Jak lituje się ojciec nad swymi dziećmi” — czyli że nie ma złego dziecka u ojca. I przechodzę katusze, i wygaduję na samego siebie, że niewart jestem zmiłowania boskiego, że niewart tego, że mnie ziemia nosi... Bo co? Czego wrzeszczysz, zwariowany uparciuchu? Czego się pieklisz? Weź, ty okrutniku, zawróć furmankę i przeproś się z nią. Jest przecież twoim dzieckiem i więcej niczym!...

A do głowy przychodzą dziwaczne i dzikie myśli i dumania: co to jest takiego Żyd, a co takiego nie-Żyd? I dlaczego Pan Bóg stworzył Żydów i nie-Żydów?... A skoro już stworzył Żydów i nie-Żydów, to dlaczego mają być tak oddzieleni jedni od drugich, nie mogą patrzeć jedni na drugich, tak jakby jedni pochodzili od Boga, a drudzy nie od Niego?... I boli mnie to, że nie jestem tak jak inni obeznany z księgami świętymi i różnymi książkami — nie przymierzając — ażebym był w stanie znaleźć na to jakąś należytą odpowiedź... I ażeby ostatecznie pozbyć się tych rozważań, zaczynam na głos: *Aszrej jajszej wejsecho* — modlę się, znaczy się, odmawiam Minchę na głos i ze śpiewem, tak jak Pan Bóg przykazał. Ale co mi z tej modlitwy i śpiewu, kiedy wewnątrz, w sercu, rozlega się inna pieśń: „Cha-wa! Cha-wa”. A im głośniej śpiewam *aszrej*, tym głośniej rozbrzmiewa we mnie „Cha-wa”, im bardziej pragnę zapomnieć o niej, tym wyraźniej staje mi przed oczami. Zdaje mi się, że słyszę jej głos wołający do mnie: „Wysłuchaj mnie, tato! Ojcze!” Zatykam więc uszy, ażebym jej nie słyszał, zamykam oczy, ażebym jej nie widział; mówię Szmone Esrej i nie słyszę, co mówię, biję się w piersi, *oszamnu*, i nie wiem, dlaczego cały jestem roztrzęsiony, nikomu o tym spotkaniu nie wspominam i z nikim o niej nie rozmawiam, nikogo o nią nie pytam, choć wiem, wiem bardzo dobrze, gdzie ona jest, gdzie on jest i co oni robią, ale niedoczekanie czyje, żeby ktoś się czego ode mnie dowiedział! Moi wrogowie nie dożyją tego, ażebym ja się przed kimś zalił. Takim człowiekiem jest Tewje!...

Chciałbym wiedzieć, czy wszyscy mężczyźni są tacy, czy tylko ja jestem taki wariat? Dajmy na to, zdarza się, na przykład kiedyś... Nie będziecie się ze mnie śmiali? Boję się, że mnie wyśmiejecie... Czasem zdarza się, że wkładam sobotnią kapotę i idę na kolej. Jestem gotów wsiąść i pojechać tam do nich, wiem, gdzie mieszkają... Dochodzę do kasjera i każę dać sobie bilet. A ten pyta: „Dokąd?” Więc ja mu na to: „Do Jehupca”. A on powiada: „Nie ma u mnie takiej stacji...” A ja mu powiadam: „To ja nie jestem temu winien”. Wracam do domu, zdejmuję sobotnią kapotę, zabieram się z powrotem do roboty, do tego nabiału, do konika i furmanki. Jak tam piszą w świętych księgach? „Mąż do swego dzieła i człek do swej roboty” — czyli krawiec do swych nożyc, a szewc do swego warsztatu... Prawda, że śmiejecie się ze mnie? A ja co powiedziałem? Wiem nawet, co wy sobie myślicie. Myślicie sobie: „Ten oto Tewje jest jakiś nieprzytomny!” Dlatego też sądzę, że „aż dotąd mówią w Wielką Sobotę” — czyli na dziś starczy, znaczy się... Bądźcie mi zdrowi i silni i piszcie liściki. Ale na litość boską, nie zapomnijcie, o co was prosiłem: żeby było patach szinsza. Mam na myśli, żebyście nie zrobili z tego jakiejś książki. A jeśli przyjdzie wam ochota pisać, piszcie o kim innym, nie o mnie. O mnie zapomnijcie: „I zapomniał o nim” — czyli koniec z Tewją Mleczarzem.

Napisane w 1906 roku.

Szprince

— Wielki, przeogromnie serdeczny *szotem ałejchem* należy wam się, panie Szotem Alejchem, *ałejchem weal bnejchem*! Kopę lat nie widzieliśmy się. Aj, aj, ile to wody upłynęło! Ile trosk i zmartwień przeżyliśmy my obaj i cały lud Izraela w przeciągu ostatnich paru lat: Kiszyniów, kosnetucja i pogromy, i zgryzoty, i nieszczęścia! Ach ty, *Ribojno szeł ojłom*, Boże Ty nasz!... Dziwię się tylko wam, nie bierzcie mi tego za złe, co wam powiem, ale nie zmieniliście się ani o włos. Bez uroku, bez uroku! No, a spójrzcie tylko na mnie: „Jestem oto jako siedemdziesięcioletni” — czyli nie mam jeszcze sześćdziesiątki, a popatrzcie, jak Tewje zbielał! Jest takie powiedzonko — *caar giduł bonim* — które dzieci przysparzają!... A któż więcej ode mnie zaznał *caar giduł bonim* od swych dzieci? Spotkało mnie nowe nieszczęście z moją córką Szprince, plaga, która przechodzi wszystkie ciosy, jakie nawiedziły mnie kiedykolwiek, a mimo to, patrzcie: człowiek żyje i jak gdyby nigdy nic. Jak tam napisane jest w *Piśmie Świętym*: „Wbrew swej woli żyjesz” — czyli choćbyś pękł, o wrogach Syjonu niechaj to będzie powiedziane, śpiewając piosneczkę:

Po cóż mi życie, na cóż ten świat,
Gdy nie ma pieniędzy i szczęścia brak?

Słowem, jak tam napisane jest w *Pereku*: „I zapragnął Wszechmocny obdarzyć” — czyli Pan Bóg zapragnął wyświadczyć przysługę swoim Żydom, więc zesłał na nich nieszczęście, plagę, jednym słowem kosnetucje! Aj, co to była za kosnetucja! Nagle padł popłoch na naszych bogaczy, dostali biegunki i jęli uciekać z Jehupca za granicę, niby to do kąpielisk, niby że to nerwy, słone kąpiele, niestworzone rzeczy... A skoro oni wyjeżdżają z Jehupca, to Bojarka wraz ze swymi lasami, powietrzem i daczami bywa pogrążona głęboko w ziemi, jak my to mówimy w modlitwie: „Błogosławiony niechaj będzie ten, który lituje się nad ziemią...” Ale cóż? Jest przecież potężny Bóg w niebiosach, który opiekuje się swymi biedakami i sprawia, by mogli jeszcze troszkę pomęczyć się na tym padole, toteż zesłał nam lato — aj, aj, aj! Zlecieli się do nas do Bojarki z Odessy, z Rostowa i z Jekaterynosławia, i z Mohylowa, i z Kiszyniowa tysiące tysięcy ludzi majątnych, bogaczy i magnatów! Tam widać kosnetucja była jeszcze bardziej

groźna niż u nas w Jehupcu, ponieważ uciekali i nie przestawali zmykać. A że zapytacie: „Czemu zmykają właśnie do nas?” Wobec tego odpowiem wam na to: „A czemu nasi uciekają do nich?” U nas, chwała Bogu, już zapanował taki zwyczaj, że gdy nadchodzi czas i zaczynają krążyć gadki o pogromach, wtedy Żydzi zaczynają uciekać z jednego miasta do drugiego, jak w *Piśmie Świętym* napisane jest: „I jechali i odpoczywali, i odpoczywali i jechali” — co oznacza: przyjeżdż ty do mnie, a ja pojedę do ciebie. . . Tymczasem Bojarka stała się, co to wam może szkodzić, wielkim grodem natłoczonym ludźmi, kobietami i dziećmi. A dzieci lubią zjeść i nabiół jest potrzebny; a gdzie można dostać nabiału, jeśli nie u Tewji? O czym tu dużo rozprawiać, Tewje stał się modny. Ze wszystkich stron: Tewje i Tewje! Reb Tewje, tu! Reb Tewje do mnie! Jeśli taka jest wola boska, to przecież nie będziecie nikomu zadawali niepotrzebnych pytań!

I nadszedł dzień, w którym zdarzyła się taka oto historia. Było to przed Szawuot — czyli przed Zielonymi Świętami. Przyjeżdżam do Bojarki, by dostarczyć trochę nabiału jednej z moich odbiorczyń, młodej i bogatej wdowie z Jekaterynosławia, która przybyła tu wraz ze swym synalkiem, na imię mu Arończyk, na lato do Bojarki. No, samo przez się zrozumiałe, że pierwszą znajomość w Bojarce zawarła ze mną.

— Rekomendowano mi — powiada, wdowa znaczy się — że u was można dostać najlepszy nabiał.

— A jakżeż może być inaczej? — odpowiadam jej, tej wdowie znaczy się. — Nie na próżno — powiadam — rzekł król Salomon, że dobre imię rozbrzmiewa po całym świecie jak trąbienie z rogu, a jeśli chcecie, mogę wam też powiedzieć, co o tym powiedziane jest w *Midraszu*. . . — Wtedy ona przerwała mi, ta wdowa znaczy się, i rzekła, iż jest wdową i nie ma doświadczenia w tych sprawach. Nie wie, czym się to jada.

— Najważniejsze — powiada — żeby masło było świeże i ser smakowity. . .

No i idź tu gadaj z babą! . . .

Słowem, zacząłem zachodzić do wdowy z Jekaterynosławia, cóż by wam to mogło szkodzić, dwa razy w tygodniu: w poniedziałek i czwartek, dokładnie jak w kalendarzu. Odnosiłem tę trochę nabiału, nie pytając już nawet, czy trzeba, czy nie. Zrobiłem się tam swoim człowiekiem, jak to zwykle bywa. Zacząłem przyglądać się, jak tam u niej prowadzą gospodarkę, wetknąłem nos do kuchni i kilka razy powiedziałem, co uważałem za stosowne. Za pierwszym razem, jak to zwykle bywa, oberwałem naturalnie od służącej, która zaznaczyła, ażebym się nie wtrącał i nie zaglądał do cudzych garów. Za drugim razem się przysłuchiwało moim słowom, a za trzecim zasięgnięto już nawet mej rady, albowiem wdowa przekonała się już, kto to taki jest Tewje. Tak długo to się ciągnęło, dopóki nie odkryła mi wreszcie swego zmartwienia, swego bólu, swego nieszczęścia:

— Arończyk! Jakże to tak? Chłopak liczy lat dwadzieścia i kilka, a wie tylko — powiada — co to konie, losipedy, łowienie ryb i nic poza tym. O niczym

innym wiedzieć nie chce! Nie chce słyszeć o interesie, o pieniądzach. . . Pozostał mu po ojcu wcale pokaźny spadek, prawie okrągły milion, a ten żeby to przynajmniej raz zerknął na to wszystko! Wie tylko jedno — trwonić! Ma otwartą dłoń!

— Gdzież on jest — pytam — ten wasz młodzieniec? Dajcie no go tutaj — mówię — a ja sobie z nim trochę pogawędzę, udzielę kilka przestroóg, zacytuje kilka ustępów z *Pisma Świętego*, dodam jakiś *Midrasz*. . .

A wdowa się śmieje:

— Ale gdzież tam — powiada — dalibyście mu lepiej jakiegoś konia, a nie *Midrasz*! . . .

Gdy tak rozmawiamy, „dziecko przybyło” — czyli zjawił się nasz młodzieniec, Arończik zaczy się. Chłop jak sosna, krew i mleko. Na spodniach, za przeproszeniem, nosi szeroki pas, zegarek wetknięty w tenże pas, rękawy podwinięte po łokcie.

— Gdzie byłeś? — pyta go matka.

— Wiosłowałem, łowiłem ryby. . .

— Nawet wcale piękne i odpowiednie zajęcie — wtrącam — dla takiego młodzieńca jak wy. Tam, w domu, rozniosą wam kości, a wy tu — powiadam — będziecie łowić rybki!

Spojrzałem na wdowę — czerwona jak rak, wszystkie kolory uderzyły jej do twarzy. Myślała zapewne, że jej latorośl chwyci mnie za kołnierz „mocarną dłońią raz” i dzieli „cudami i objawieniami dwa” — czyli poczęstuje mnie dwoma policzkami i wyrzuci „jak czerep stłuczony”. Głupstwo! Tewje nie lęka się takich rzeczy! Ja, jeśli mam coś do powiedzenia, mówię i już!

I tak też było. Rzeczony młodzieniec usłyszawszy takie słowa cofnął się trochę, założył ręce do tyłu, obejrzał mnie od głowy aż po samiuteńkie koniuszki palców, wy dobył z siebie jakiś dziwny gwizd i nagle wybuchnął takim śmiechem, żeśmy oboje z wdową pomyśleli, czy aby chłopak czasem, broń Boże, na minutkę nie zwariował. . . I cóż wam powiedzieć? Od tej chwili staliśmy się najlepszymi przyjaciółmi. Muszę wam powiedzieć, że chłopak ten podobał mi się coraz bardziej. Nawet marnotrawca, rozrzutnik, rękę ma aż zbyt otwartą, a w dodatku trochę jakby nieprzytomny, ale nic! Potrafi na przykład spotkawszy biedaka wsunąć rękę do kieszeni, wyjąć jej zawartość i oddać mu nawet nie patrząc. . . No, kto tak robi? Albo może też zdjąć z siebie dobre palto, całkiem nowe i oddać komuś — no, czy nie nieprzytomny? . . . Aż litość brała patrzeć na matkę! Skarżyła się przede mną, pytała, co robić, i prosiła, ażebym z nim trochę porozmawiał. No, to ją posłuchałem! Czego jej tu będę żałował? Czy to mnie coś kosztuje? Usiadłem z nim i zacząłem opowiadać rozmaite historie, rąbałem przykładami, siekłem cytatami, tłukłem midraszami, jak to Tewje potrafi! A on lubił mnie nawet wysłuchać, wypytując przy tym, jak mi się żyje, jak mi się wiedzie?

— Miałbym ochotę odwiedzić was kiedyś, reb Tewje! Powiadam więc do niego:

— Jeśli ktoś ma ochotę odwiedzić Tewje, bierze — powiadam — i przyjeżdża któregoś dnia do mnie do chutoru. Macie przecież — mówię — dość koni i losipedów. A od biedy nie zaszkodziłoby wam wcale przejść się własnymi nogami. To niedaleko stąd. Trzeba tylko przeciąć las. . .

— A kiedy — pyta on — bywacie w domu?

— Mnie — ja mu na to — można zastać w domu tylko w soboty lub w święta. Sza — mówię — wiecie wy co? Oto mamy, z woli boskiej, Szawuot w przyszły piątek; jeśli chcecie — ciągnę dalej — zrobić spacerek do naszego chutoru, to moja żona — powiadam — poczęstuje was mlecznymi blinami, jakie nie śniły się naszym przodkom w Micraim.

Pyta mnie więc:

— Co to znaczy? Wiecie przecież, że jeśli chodzi o *Pismo Święte*, to nie jestem zbyt silny. . .

— Wiem — przerywam mu — że nie jesteście zbyt silni. . . Gdybyście chodzili — powiadam — do chederu i uczyli się, jak ja — mówię — wiedzielibyście także „ma dykomri rebicn. . .”

Śmieje się więc i powiada do mnie:

— Dobrze, będę waszym gościem. Przyjadę do was — mówi — reb Tewje, w pierwszym dniu świąt z kilkoma znajomymi na bliny, ale przypilnujcie — powiada — żeby były gorące!

— „Płomień ognisty” — powiadam — „od warg na zewnątrz” — czyli z patelni prosto do ust! . . .

Przyjeżdżam do domu i odzywam się do mojej żony:

— Gołde — mówię — będziemy mieli gości w święta!

Więc ona powiada:

— *Mazł tow ci!* Kogo?

A ja jej na to:

— O tym dowiesz się potem. Ty tylko przygotuj jaja — powiadam — sera i masła mamy, chwała Bogu, pod dostatkiem; przyrządzisz bliny dla trzech jegościów, ale dla takich, co to lubią porządnie zjeść i w ogóle nie wiedzą o tym, co Raszi kiedyś powiedział. . .

— Pewno — ona na to — przyczepił się znów jakiś nieszczęśnik, jakiś głodomór z wygłodzonego kraju?

— Głupia jesteś — mówię — Gołde! Przede wszystkim nie byłoby nieszczęścia, gdybyśmy, broń Boże, nakarmili biedaka świątecznymi blinami — powiadam. — A po wtóre — mówię — niechaj ci będzie wiadomo, droga, cnotliwa i prawa małżonko moja moras Gołde, obyś żyła jak najdłużej, że jednym z naszych świątecznych gości będzie synalek owej wdowy — prawię — o którym ci już nieraz opowiadałem.

— Skoro tak — ona na to — to co innego. . .

Oto co znaczy potęga milionów! Nawet moja Gołde, gdy tylko poczuje nosem pieniądze, staje się innym człowiekiem. Już taki jest świat! Co można na to poradzić? Jak tam powiedziane jest w *Halelu*: „Srebro i złoto dziełem rąk ludzkich są” — czyli pieniądze zabijają człowieka. . .

Słowem, nadszedł świetlany, zielony dzień święta Szawuot. Jak pięknie, jak zielono, jak jasno i ciepło jest w moim chutorze, gdy nadejdzie owo święto, nie muszę wam chyba opowiadać! Największy bogacz u was życzyłby sobie mieć tak błękitne niebo, tak zielony las, tak pachnące sosny, tak wspaniałą trawę — paszę dla krówek, które stoją i żują, patrzą wam w oczy, jakby chciały rzec: „Dajcie nam tylko zawsze taką trawkę, a już my wam mleka nie poskąpimy!” Nie, mówcie sobie, co chcecie, ale gdybyście mi nawet dali najlepsze zarobki każąc wyjechać ze wsi do miasta, to się z wami nie zamienię. Gdzież Wy macie w mieście takie niebo? Jak my to mówimy w *Halelu*: „Niebiosą są niebem dla Pana Boga” — czyli jest to niebo przez Boga nam dane! . . . W mieście, gdy zadzieracie głowę do góry, co możecie zobaczyć? Mur, dach, komin, lecz gdzie wy tam znajdziecie takie drzewo? A jeśli się już zawałęsało do was jakieś drzewko, nadzialiście nań przecież kapotę! Otóż moi goście, gdy przyjechali w Szawuot do mnie, do chutoru, nie mogli się nadziwić, jak tu u mnie pięknie. Wszyscy czterej młodzieńcy przybyli konno, na rumakach jak te lwy. A zwłaszcza ten, na którym siedział Arończik, to taki ogier, powiadam wam, prawdziwy meryn! Nie kupicie go za trzysta rubli nawet!

— „Błogosławieni niechaj będą przybysze” — powiadam do nich. — To chyba, moi mili goście, celem uczczenia święta Szawuot przybyliście konno? Nie szkodzi — ciągnę dalej — Tewje nie należy do tych wielkich cadykim; a gdy was — powiadam — będą na tamtym świecie chłostali, mnie pewnie nie będzie bolało za was. . . Ej, Gołde! Dopilnuj no, ażeby bliny były gotowe, i niechaj kto wyniesie — powiadam — stół na podwórko, gdyż niewiele mam w domu gościom do pokazania. . . Ej, Szprince! Tajbł! Bejłkie! Gdzie wy tam jesteście? Ruszajcie się! — tak oto komenderuję dziećmi.

Zaraz też wyniesiono stół, krzesła, obrus, talerze, łyżki, widelce, sól — a niebawem nadeszła też Gołde z gorącymi, skwierczącymi blinami, prosto z patelni. Wspaniałe, tłusciutkie, jak „placek w miodzie”! A moi goście nie mogli się ich wprost nachwalić. . .

— Czemu stoisz — powiadam do Gołdy. — Weź — mówię — i powtórz jeszcze raz ten sam rozdział; dziś — powiadam — jest Szawuot, a zatem należy dwukrotnie rzec *Ojdcho*!

Moja Gołde nie leni się, napełnia półmisek po raz drugi, a Szprince podaje go do stołu. Nagle rzuciłem okiem na Arończika i zobaczyłem, że zagapił się na moją Szprince — nie spuszcza z niej oka! Co on w niej takiego widzi? . . .

— Jedzcie — mówię doń — jedzcie! Czemu nie jecie? . . .

Na to on:

— A co ja robię?

— Patrzycie — powiadam — na moją Szprince. . . Wszyscy wybuchnęli śmiechem, wszyscy się śmiali, moja Szprince też. Wszystkim było radośnie, wszystkim było dobrze. . . Wesołe, radosne święto mieliśmy wszyscy. Idź tu, zgadnij człowieku, że radość ta zamieni się w nieszczęście, w cios, w plagę, w karę bożą, która spadła na moją głowę, och i jej! Ale nie! Człowiek jest głupi! Człowiek ze zdrowym rozsądkiem nie powinien sobie niczego brać do serca i musi zrozumieć, że tak jak jest, tak być powinno, bo gdyby miało być inaczej, nie byłoby przecież tak, jak jest! Czyż nie mówimy w *Tehilim*: „Odrzuć to Bogu” — czyli polegaj na Stwórcy, a On już sprawi tak, iż będziesz tkwił głęboko w ziemi, piekło tam obwarzanki i jeszcze mówił: „I to ku dobremu!” Słuchajcie, co się może zdarzyć na świecie, ale uważnie, z głową, albowiem dopiero teraz zaczyna się ta właściwa historia.

„I był wieczór, i był ranek” — czyli pewnego razu o zmierzchu wracam do domu; zgrzany po całym dniu mordowania się, po gonitwie od jednej daczy w Bojarce do drugiej przyjeżdżam do domu i zastaję u płotu spętanego konia. Jakiś znany koń, mógłbym przysiąc, że to meryn Arończika, ten, co to go oszacowałem na trzysta rubli. Zbliżam się do zwierzęcia, uderzam je jedną ręką po zadzie, drugą łechtam z przodu pod szyją, a następnie przejeżdżam mu dłonią po grzywie:

— Przyjacielu mój — powiadam doń — dostojny kawalerze! Co ty tu właściwie robisz?

Odwraca więc do mnie swój piękny łeb, patrzy swymi roztroprnymi ślepiami, jakby chciał rzec: „A dlaczego pytacie o to mnie? Spytajcie mojego pana. . .” Wchodzę do domu i już wypytywać żonę:

— Powiedz mi no, Gołde, klejnocie, co tu robi Arończik?

A ona na to:

— Skądże bym miała wiedzieć? Przecież to twój znajomy!

— A gdzież on się podziewa?

— Poszedł — ona na to — z dziećmi do lasku, na spacer. . .

— Co to za nagły i niespodziewany spacer ni stąd, ni zowąd? — powiadam do żony i każę sobie dać jeść. Zjadłem i dalejże medytować: „Czemuś ty, Tewje, taki narwany? Jeśli przyjeżdża do ciebie człowiek w odwiedziny, trzeba się tak pieklić? Na odwrót. . .” Gdy tak sobie siedzę i rozmyślam, patrzę, a moje dziewczęta idą wraz z gościem niosąc bukiety kwiatów. Z przodu maszerują dwie młodsze, Tajbł i Bejłkie, a za nimi — moja Szprince i Arończik. . .

— Dobry wieczór!

— Dobrego roku!

A Arończik stoi i jakoś dziwnie pieści konia. Trzyma trawkę w ustach i odzywa się do mnie tak oto:

— Chciałem z wami, reb Tewje, zrobić interes. Zamieńmy się końmi.

— Nie znaleźliście nikogo innego, by kpić sobie zeń? A ten na to:

— Nie, mówię poważnie.

— Tak — pytam — mówicie poważnie? A ile na przykład kosztuje wasz rumak?

— A na ile — pyta Arończik — wy byście go oszacowali?

— Obawiam się — ja mu na to — że nie kupiłbym go nawet za trzysta rubli — powiadam — a może jeszcze z przyczynkiem.

Mój gość roześmiał się i rzekł, że kosztuje więcej niż trzy razy tyle, a po chwili odzywa się do mnie tak:

— No, robimy zamianę?

Nie podobała mi się ta cała rozmowa. Co znaczy, że chłopak chce wymienić swego rumaka na moją szkapinę? Powiadam mu więc, ażeby odłożył ten interes na inny raz, i zapytuję go żartem, czy po to właśnie przyjechał do mnie.

— Jeśli tak — powiadam — to szkoda kosztów podróży...

A on odpowiada zupełnie poważnie:

— Przybyłem do was — mówi — właściwie w innej sprawie. Pofatygujcie się, jeśli macie ochotę, i przejdźmy się trochę na spacer.

„Co to za chęć spacerowania napadła na niego nagle?” — myślę sobie idąc z nim w stronę lasu. Słońce już dawno zaszło, zielony gaik już jest ciemnawy, z grobli dobiega kumkanie żab, trawa pachnie, że aż miło! Arończik idzie, idę i ja; on milczy, milczę i ja. Wtem chłopak przystanął, chrząknął i odezwał się tak oto:

— Reb Tewje! Co byście wy na przykład powiedzieli na to, gdybym wam oświadczył, że kocham waszą Szprince i chcę się z nią zaręczyć?

— Co ja bym na to powiedział? — mówię. — Powiedziałbym, ażeby któregoś z pomylnych wykreślić ze spisu wariatów, a was na jego miejsce wstawić...

— Co to znaczy? — spojrzał na mnie.

— A to — mówię.

Arończik zaś powiada:

— Nie rozumiem was.

Więc ja na to:

— Oznacza to, że nie jesteście zbyt mądrzy, jak w *Piśmie Świętym* powiedziane jest: „Mądremu wystarczy mrugnięcie, a głupiemu potrzeba kija...”

A mój gość z nieco urażoną miną powiada:

— Ja mówię do was prosto, zwyczajnie, a wy odpowiadacie mi cytatami i dowcipuszkami.

Więc ja na to:

— Każdy kantor śpiewa, jak potrafi, a każdy kaznodzieja przemawia w swoim interesie. A jeśli chcecie wiedzieć, jakim wy jesteście kaznodzieją, porozmawiajcie wprzód ze swą matką; już ona wam — mówię — wytłumaczy wszystko dokładnie...

— Uważacie mnie zatem — powiada Arończik — widocznie za chłopaczka, który winiem zapytywać matki o byle co?

— Naturalnie — ja mu na to — że powinniście zapytywać matkę o wszystko. A ona wam na pewno powie, że jesteście nieprzytomni, i będzie miała rację. . .

— I będzie miała rację? . . . — pyta mój gość.

— Oczywiście — powiadam — że będzie miała rację, albowiem jakież to z was — pytam — narzeczony dla mojej Szprince? I czy moja Szprince to para dla was? A najważniejsze, to jakim ja jestem swatem dla waszej matki?

— Jeśli tak — on mi na to — to wy się, reb Tewje, grubo mylicie! Nie jestem osiemnastoletnim chłopakiem i nie poszukuję swatów dla mojej matki. Wiem, kim wy jesteście, kim jest wasza córka, a ona mi się podoba i ja tak chcę, i tak będzie! . . .

— Nie bierzcie mi tego za złe — powiadam — że wam przerwę. Widzę — mówię — że z jedną ze stron jesteście już gotowi; czyście się już też upewnili co do drugiej — pytam — strony?

A ona na to:

— Nie wiem, co macie na myśli?

— Mam na myśli córkę moją, Szprince — ja na to. — Czyście już z nią o tym mówili — powiadam — i co ona na to?

Mój kawaler obraził się niby i odparł z uśmiechem:

— Co za pytanie? Oczywiście — mówi — że rozmawiałem z nią i nie raz, lecz kilkakrotnie. Przyjeżdżam tu codziennie. . .

Słyszeliście! On tu codziennie przyjeżdża, a ja o niczym nie wiem! Och, ty bydlę w ludzkiej postaci, trzeba ci dać słomę do żucia, Tewje! Jeśli nadal pozwolisz tak ślepo się prowadzić, to cię przecież kupią i sprzedadzą, ty stary koniu jeden! . . . Tak sobie w duchu pomyślałem wracając z gościem do domu, a ten pożegnał się z moją gromadką, wsiadł na konia i „poszedł Mojsze Mordche”, czyli marsz do Bojarki. . .

A teraz zostawimy, jak wy tam w swoich książkach piszecie, królewicza i zabierzemy się do królowny, do Szprince znaczy się. . .

— Odpowiedz mi no, córko, na to, o co cię zapytam — powiadam. — Co ten ów Arończik mówił z tobą odnośnie do wiadomej sprawy i w dodatku bez mojej wiedzy? . . .

Czy to drzewo odpowiada? Tak samo ona. Zarumieniła się, spuściła oczy jak panna młoda, nabrała pełne usta wody i — sza!

„Ba! — pomyślałem sobie — nie chcesz gadać teraz, będziesz mówiła nieco później. . .” Tewje nie jest babą, Tewje ma czas! Czekam chwili odpowiedniej, jak się to mówi: „Nadejdzie jej dzień”, i czatuję na moment, gdy pozostanę z nią sam na sam. Wtedy odzywam się do niej tak:

— Szprince, odpowiedz mi na to, o co cię zapytam: czy ty go przynajmniej znasz, tego Arończika? . . .

Na to ona:

— Oczywiście, że go znam. . .

— Czy ty wiesz — pytam dalej — że z niego to taki swiszczun?

A ona na to:

— Co to znaczy swiszczun?

A na to ja:

— Pusta skorupa od orzecha, która wydaje gwizd.

A ona:

— Mylisz się, Arnold jest dobrym człowiekiem. . .

— A więc u ciebie zowie się on Arnold, a nie Arończik szarlatan?

A ona na to:

— Arnold nie jest szarlatanem. Arnold ma dobre serce. Arnold — powiada — przebywa w domu wśród ludzi zdemoralizowanych — mówi — którzy wiedzą tylko jedno: pieniądze i pieniądze. . .

— A więc to tak — powiadam. — To ty, Szprince, też już jesteś uświadomioną filozofką i już też znieawidziłaś pieniądze?

Słowem, z tej rozmowy pojąłem, że te sprawy zaszły już u nich dość daleko i że cofnąć to wszystko jest już trochę za późno, ponieważ ja znam swoje córki, oby mi dobrze było! Już wam nieraz mówiłem, że córki Tewji, jeśli zadurzą się w kimś, to całym swym życiem i całą duszą! Myślę więc sobie: „Głupcze! A dlaczego ty, Tewje, koniecznie chcesz być mądrzejszy od wszystkich na świecie? A może to zarządzenie niebios. Może zostało przeznaczone, ażeby właśnie dzięki tej cichuteńkiej Szprince, dzięki jej szczęśliwej gwiazdzie los uśmiechnął się do ciebie, ażebyś został nagrodzony za wszystkie ciosy i bóle, które dotknęły cię dotychczas i odtąd miał beztróską starość i też kiedyś poczuł, jak to ludzie żyją na tym świecie. Może jest ci przyznaczone mieć córkę milionszycę? Czy ci to może nie odpowiada? . . . Gdzie jest napisane, że Tewje ma być wiecznie kapcanem, wlec się wiecznie ze szkapiną i nabiątem dla wygody bogaczy z Jehupca, po to, żeby ci mieli co żreć? . . . Kto wie? Może zostało mi przeznaczone w niebiosach na stare lata odmienić coś na lepsze na tym świecie, stać się dobroczyńcą, udzielać schronienia biednym ludziom, a może zgoła zasiąść wraz z uczonymi Żydami do studiowania *Tory*?” Takie i tym podobne złote, bogate sny snuły mi się po głowie, jak napisane jest w modlitwie: „Wiele jest myśli w sercu człowieka” — a na to chłop, nie przymierzając, powiada: *Dureń dumkoju bogatiej!*. . . Wchodzę do domu, wołam moją starą i wszczynam z nią taką oto pogawędkę:

— Co by to, dajmy na to, na przykład było, gdyby nasza Szprince została milionszycą?

A ona pyta:

— A co to znaczy milionszycą?

Więc ja jej odpowiadam:

— Milionszycą znaczy żona milionszycy.

A ona znowu:

— A co to znaczy milionszycy?

Więc ja jej na to:

— Milionszczyk to taki człowiek, który posiada milion. . .

A ta znowu:

— A ile to jest milion?

No to ja jej mówię:

— Jeśliś taka głupia i nie wiesz nawet, ile jest milion, to co ja mam z tobą do gadania?

Więc ona powiada:

— A kto cię prosi, żebyś gadał!

Też słuszna racja.

Nie będę wam długo przewlekał tej historii, ale minął dzień, wracam do domu i pytam:

— Arończik był?

— Nie, nie było go. . . Mija jeszcze jeden dzień.

— Był młodzieniec?

— Nie, nie było go.

Wejść pod jakimś pozorem do wdowy — nie wypada mi. Nie chcę, żeby pomyślała, iż Tewje gania za bogatą partią, zwłaszcza że czułem, iż powinienem tam być widziany u nich jak „róża wśród krzaków”, jak powiedziane jest, czyli jak piąte koło u wozu, chociaż nie pojmuję, z jakich powodów. Że nie posiadam miliona? Za to mam teraz powinowatą, matkę narzeczonego mojej córki, która jest milionszczycą! A kto jest jej powinowatym? Jakiś kapcan, nędzarz, jakiś Tewje Mleczarz! No więc kto w takim razie ma bardziej dostojnych powinowatych, ja czy ona? Wyznam wam szczerą prawdę, że zacząłem pragnąć z całego serca zawarcia tego małżeństwa, nie tak ze względu na samą partię, jak dla chęci postawienia na swoim. A bodaj ich wraz z ojcami i matkami diabli porwali wszystkich, bogaczy znaczy się z Jehupca! Niechaj dowiedzą się wreszcie, kto to taki Tewje! . . . Dotychczas nie słyszano nic innego tylko: Brodzki i Brodzki, jak gdyby wszyscy inni w ogóle nie byli ludźmi. . .

Tak oto myślę sobie wracając z Bojarki. Wchodzę do domu, a moja stara wita mnie radośnie:

— Posłaniec, nieobrzezaniec jakiś, tylko co był z Bojarki, od wdowy. Mówił ażebyś, na Boga, natychmiast tam pojechał, nawet w nocy, bo cię tam bardzo pilnie potrzebują.

— Co ich tak — pytam — przyparło do muru? Czemu im się tak śpieszy? Nie mają czasu?

Rzucam spojrzenie na moją Szprince: milczy, ale jej oczy mówią — oj, jeszcze jak mówią! Nikt tak jej serca zrozumieć nie może, jak ja. . . Przez cały czas obawiałem się, że może — bo ja wiem, może z tego wszystkiego wyjdą nici, toteż wygadywałem na niego, na tego Arończika, co się tylko dało. Że taki, że owaki. . .

Ale widziałem, że wszystko obija się o nią jak groch o ścianę, że moja Szprince dogorywa jak świeca. Zaprzęgnąłem więc z powrotem furmankę i jadę, już o zmroku, znowu do Bojarki. Jadąc myślę sobie tak: „Po co mogą mnie wzywać tak pośpiesznie? Względem zrękowin? W takim razie on mógł się pofatygować do mnie. Jak by to nie było, ale bądź co bądź ja jestem ojcem narzeczonej...” Ale już w następnej chwili sam siebie wyśmiałem za taką myśl. Kto to kiedy w świecie słyszał, żeby bogacz przyszedł do biedaka? Chybaby już nastał koniec świata, czasy Mesjasza, tak jak te młodziki, hultaje, usiłują we mnie wmówić, iż wkrótce nadejdzie czas, kiedy to biedny będzie równy bogatemu, moje twoje — twoje moje, wszystko bezpańskie i cebula także! Zdawałoby się, że mądry świat, a jednak tacy głupcy istnieją na nim! Ech, ech, ech!...

Pograżony w takich oto myślach dotarłem wreszcie do Bojarki, zajechałem wprost na daczę mojej wdowy i zatrzymałem furmankę.

— Gdzie jest wdowa?

— Nie ma wdowy!

— Gdzie młodzieniec?

— Nie ma młodzieńca!

— Któż mnie wzywał?

— Ja was wzywałem! — odzywa się do mnie okrągłutki, wypchany, niski Żyd z wyskubaną bródką, z grubym, złotym łańcuchem na odstającym brzuszku.

— Kto wy, w takim razie — pytam — jesteście?

Na to on:

— Jestem bratem wdowy i wujem Arończika... Zawezwano mnie — powiada — depeszą z Jekaterynosławia i tylko co przyjechałem...

— Skoro tak — mówię — to należy wam się *szołem ałejchem* — powiadam doń i siadam sobie. Widząc, że siedzę, tamten odzywa się do mnie:

— Siadajcie.

A ja na to:

— Dziękuję, już siedzę. Co wy porabiacie, jak tam u was — mówię — z kosnetucją?

Na to on mi nic nie odrzekł, rozparł się na bujającym fotelu, wsadził ręce do kieszeni, brzuch ze złotym łańcuchem wypiął do przodu i odezwał się do mnie takimi oto słowy:

— Wołają was, zdaje się, Tewje?

— Tak — odpowiadam — gdy wzywają mię do odczytania ustępu *Tory*, wołają: *Jaamojd reb Tewje bereb Szneur Załmen...*

— Słuchajcie — mówi — reb Tewje tego, co wam powiem. Po co nam te długie rozhowory? Przystąpmy lepiej od razu do sprawy, do interesu znaczy...

— I owszem — mówię — król Salomon już dawno powiedział: „Na wszystko jest swój czas” — czyli kiedy potrzeba załatwić interes, niech będzie interes... Jestem — powiadam — człowiekiem interesu...

— To nawet widać — on mi na to — że jesteście człowiekiem interesu... Dlatego też chcę, ażebyście mówili ze mną po kupiecku. Pragnę, ażebyście mi powiedzieli, ale tak otwarcie, ile to nas wszystko razem będzie kosztowało?... Ale tak otwarcie powiedziawszy...

— Jeśli — mówię — otwarcie powiedziawszy... to ja nie wiem, o czym wy mówicie...

— Reb Tewje! — mówi do mnie raz jeszcze i za nic nie chce wyjąć rąk z kieszeni. — Zapytuję was — powiada — ile nas będzie kosztowało wszystko razem, to całe, mam na myśli, weselisko?

— Zależy — powiadam — o jakie wesele wam chodzi. Jeśli macie na myśli wspaniałe wesele, takie, jakie wam przystoi, to mnie na nie nie stać...

Wówczas ten wytrzeszczył na mnie oczy i odezwał się tak oto:

— Albo wy odstawiacie niewiniątko, albo doprawdy jesteście naiwniakami... Chociaż nie wyglądacie właściwie na naiwniaka. Gdybyście nim byli — prawi — nie wciągnęlibyście mego siostrzeńca w to błoto. Nie zaprosilibyście go do siebie niby to na świąteczne bliny, podstawili mu tam ładną dziewczynę — córkę nie córkę, nie wchodzę w to tak dalece... Ona go w sobie rozkochała — powiada — znaczy, spodobała mu się, no a on jej — jeszcze jak! O tym i mowy być nie może — mówi. — Może nawet być, że to u niej sprawa poważna, ja w to tak dalece nie wnikam. Nie możecie jednakowoż zapomnieć, kim wy jesteście i kim jesteśmy my! Jesteście przecież — mówi — rozsądnym Żydem, więc jakże wy możecie dopuścić do czegoś takiego... do tego, ażeby Tewje Mleczarz, który nam przywozi masło i sery, został naszym powinowatym? A że — ciągnie dalej — dali sobie jedno drugiemu słowo? To je wezmą z powrotem! Wielkiego nieszczęścia w tym nie ma. Jeśli — mówi — miałyby coś kosztować, ażeby go zwolniła z danego słowa, to owszem, my — powiada — nie mamy nic przeciw temu. Dziewczyna to nie chłopak — mówi — czy to córka, czy nie córka, nie chcę w to w ogóle wnikać... — powiada.

„Panie Wszechświata! — myślę sobie. — Czego ten Żyd chce ode mnie?” — A ten nie przestaje trajkotać nad uchem: ażeby nie myślał, powiada, że mi się czasem uda wywołać skandal, wszędzie rozbębnić, iż jego siostrzeniec, mówi, swatał się z córką Tewji... I żeby sobie wybił z głowy, prawi, że jego siostra należy do takich ludzi, z których można pompować pieniądze... Po dobremu, mówi, owszem, można u niej dostać kilka rubli; niechby się zdawało, że to jałmużna... Jest się przecież człowiekiem, powiada, który wie, że trzeba czasem innemu człowiekowi także pomóc...

Słowem, chcecie wiedzieć, co mu odpowiedziałem na to? Ja mu — och i jej — nic nie odpowiedziałem. Było, jak wy to mawiacie, ze mną: „Bodaj mi język przyłgnął” — czyli odebrało mi dar mowy! Podniosłem się, odwróciłem twarzą do drzwi i — wyrwałem stamtąd! Uciekłem jak od pożaru, jak z więzienia!... W głowie mi szumiało, w oczach migało, w uszach dudniły słowa tego Żyda:

„Otwarcie mówiąc...” „córka nie córka...” „wdowa do pompowania...” „niechby się zdawało, że to jałmużna...”

Dopałem mojej furmanki, wetknąłem w nią głowę i — nie będziecie się ze mnie śmiali? — jak się nie rozplaczę... płakałem i szlochałem! A gdy się już do syta napłakałem i siedząc w furze wsypałem biednej szkapinie, ile wlało, wtedy dopiero zadałem Panu Bogu pytanie, takie jakie ongiś stawiał Mu Ijow: „Coś Ty, Panie Boże, takiego zoczył na tym starym Ijowie, że mu ani na chwilę nie dasz spokoju? Innych Żydów już nie ma na świecie?” Wracam do domu i zastaję moją hałastkę, bez uroku, rozweseloną. Jedzą wieczerzę, a Szprince nie ma.

— Gdzie Szprince? — pytam.

— Co słyhać — mówią mi — po co cię wzywano?

A ja jeszcze raz:

— Gdzie Szprince?

One znowu:

— Co słyhać?

Więc ja im na to:

— Nic! Co chciałybyście słyszeć? Chwała Bogu spokojnie, o pogromach ja-koś nie mówią...

Przy tych słowach nadchodzi Szprince. Spojrzała mi w oczy, usiadła przy stole, jak gdyby nie o nią chodziło... Z jej twarzy niczego nie można poznać, ale ten jej spokój jest już jakiś aż nadto dziwny, jakiś nie taki, jak być powinno... No i nie podoba mi się także to, że stale siedzi zadumana, i to, że słucha wszystkiego, co jej każą. Mówią jej: siedź — siedzi. Mówią: jedz — je. Każą iść — idzie. A gdy ją zawołają, wzdryga się cała... Patrzę na nią i serce ściska się we mnie, i pali mnie niczym ogień jakiś, a przeciw komu, nie wiem... Ach ty, *Ribojnoj szet ojtom, Elohejnu* nasz! Za co? Za co Ty mnie tak karzesz, za czyje grzechy?!

Słowem, chcecie wiedzieć, jaki był koniec tego? Takiego końca nie życzę najgorszemu wrogowi i nawet nie wolno czegoś takiego życzyć, albowiem przekleństwo dotyczące dzieci jest najgorszym przekleństwem na świecie! Skąd ja wiem, czy mi ktoś dzieci nie przeklął? Nie wierzycie w taki rzeczy? A więc co to jest takiego? No, proszę, chciałbym usłyszeć, co wy o tym myślicie?... Ale po co nam te wszystkie dociekania? Słuchajcie lepiej, na czym to się skończyło.

Pewnego razu przed wieczorem wracam do domu z Bojarki ze zbolałym sercem. Bo zrozumcie no ten żal, ten wstyd, a zwłaszcza tę litość, która ogarnia mnie, gdy patrzę na dziecko! Zapytacie może, a co wdowa, a co jej syn na to? Co mi tam wdowa! Gdzie syn? Wyjechali i nawet się nie pożegnali! Wstyd powiedzieć, ale pozostał tam taki mały ich dług za nabiął... O tym już nie mówię, pewno zapomnieli... Mówię o pożegnaniu... Wyjechali i nawet się nie pożegnali!... Co to biedne dziecko wycierpiało — o tym nie wie ani jedna żywa istota prócz mnie, ponieważ ja jestem ojcem, a ojcowskie serce czuje... Myślicie może, że mi chociaż pół słówka rzekła? Skarżyła się albo płakała może? E! Nie znacie córek Tewji!

Cicho, wszystko w sobie, nikła, dogorywała jak świeca! Tylko od czasu do czasu wyrywało jej się westchnienie, ale takie, że aż kawał serca wyrywało!

Otóż jadę sobie furmanką do domu pogrążony w smętnych dumaniach i myślach, zadając pytania Panu Wszechświata i sam sobie na nie odpowiadając... I nie tak już wielki jest mój żal do Stwórcy, z Bogiem już się jako tako przeprosiłem, mam tylko żal do ludzi. Dlaczego ludzie są tacy źli, skoro mogliby być dobrzy? Po co zatruwać życie i sobie, i komuś, jeśli jest się w stanie życie umiścić i być szczęśliwym? Czy może być tak, iż Pan Bóg stworzył człowieka po to jedynie, ażeby się męczył na tym świecie?... Po co Mu to było?... Tak myśląc wjeżdżam do swego chutoru i widzę z daleka, przy grobli, zbiegowisko ludzi, chłopów, chłopiek, dziewczuch, chłopaków i małych dzieci bez liku. Co by to mogło być? Chyba nie pożar. Pewno topielec. Kapał się ktoś przy grobli i tam swą śmierć znalazł. Nikt nie wie, gdzie nań anioł śmierci czyha, jak my to mówimy w Unetana Tokef... Wtem widzę, biegnie moja Gołde, szal rozwiany, ręce wyciągnięte przed siebie, a przed nią moje dzieci: Tajbl i Bejłkie. Wszystkie trzy wołają, płaczą, zawodzą: „Córko! Siostro! Szprince!” Zeskoczyłem z wozu, nie wiem, jak to się stało, że nie rozsadziło mnie na miejscu, a gdy dobiegłem do stawu, było już po wszystkim...

O co to was chciałem zapytać?... Tak. Czy widzieliście kiedyś topielca? Gdy człowiek umiera, to najczęściej ma oczy zamknięte... Topielec ma oczy otwarte — nie wiecie czasem, dlaczego tak jest? Nie bierzcie mi za złe, że zabrałem wam tyle czasu, a samemu jest się też zajęty. Trzeba wrócić do konika i rozwieźć tę trochę nabiału... Ten świat też jest światem. Trzeba pomyśleć o jakimś groszu także i zapomnieć o tym, co było. Albowiem to, co ziemia pochłonie, musi, powiadają, zostać zapomniane; a gdy jest się żywym człowiekiem, nie można ducha wyzionąć bez grosza. Nie pomoże żadne mędrkowanie. Trzeba powrócić do starego powiedzonka, że „jak długo duch kołacze się w mych piersiach” — tak długo wlecz się dalej, Tewje!... Bądźcie mi zdrowi, a jeśli kiedyś wspomnicie o mnie, nie wspominajcie ku złemu.

Napisane w 1907 roku.

Tewje jedzie do Ziemi Świętej

Wydarzenie opowiedziane przez Tewje Mleczarza podczas wspólnej podróży w pociągu.

— *Skocł kumt!* Co porabia Żyd, reb Szolem Alejchem? Jaki gość! Nawet mi się coś takiego we śnie nie śniło! Wobec tego witajcie, *szolem alejchem* wam! Wciąż sobie myślałem i myślałem: „Co takiego że ich od dawna nie widać ani w Bojarce, ani w Jehupcu? Mało co może się zdarzyć: może zostawił tych parę złotych tu, a sam przeniósł się w tamto miejsce, w którym nie jadają rzodkwi ze smalcem?” Ale zmiarkowałem się, tak sobie medytując: czyż mogło się zdarzyć, żeby oni takie głupstwo popełnili? No, chwalić Tego, czyje imię niechaj będzie błogosławione, że się w zdrowiu spotykamy. Jak tam piszą w świętych księgach: *Turo beturo* — czyli człowiek z człowiekiem... Patrzycie na mnie, panie Szolem Alejchem, jak gdybyście mnie nie poznawali? To jestem ja, wasz stary, dobry przyjaciel Tewje. „Nie spoglądaj na naczynie” czyli nie patrzcie na to, że Żyd włożył nową kapotę. To ten sam nieborak Tewje, co i zawsze, ani o jotę nie zmieniony. Tylko że co? Człowiek wkłada szaty sobotnie, więc wygląda niby trochę bardziej tego... czyli niczym jaki bogacz. Zwłaszcza że wybiera się w tak daleką podróż, to jest aż do Ziemi Świętej! Bagatelka! Patrzycie na mnie, myśląc przy tym zapewne, skąd się to bierze, że takiemu niepozornemu człeczyźnie jak Tewje, który przez całe swoje życie handlował nabiątem, zachciało się nagle odbyć na stare lata tak daleką podróż, na jaką mógłby sobie pozwolić chyba tylko sam Brodzki? Wierzcie mi, panie Szolem Alejchem, że „wszystko trudne do zrozumienia” — czyli wszystko pasuje jedno do drugiego, że aż miło. Odsuńcie, z łaski swej, trochę na bok swój czemodanik, ażebym mógł sobie usiąść naprzeciwko, a opowiem wam taką historię, z której naocznie się przekonacie, co Pan Bóg potrafi z człowiekiem uczynić.

Słowem, muszę wam przede wszystkim powiedzieć, że zostałem wdowcem, oby was Pan Bóg tym nie doświadczył. Zmarła moja Gołde, *ołow haszołem*. Była kobietą prostą, bez chytrostek, bez przemądrzałości, ale za to wielka cadejkis. Niechaj się tam wstawi i ujmie za swymi dziećmi, przez które dość się nacierpią, a może nawet ten świat opuściła. Nie mogła bowiem znieść tego, że się rozlazły

jedno do Łysy, drugie Strysy. „Co to już za życie, pożał się Boże — mawiała — bez dzieci? Bydłę, nie przymierzając, też tęskni, gdy odstawia się — powiada jego małe. . .” Tak mawiała do mnie, Gołde znaczy się, płacząc przy tym gorzkimi łzami. Widzę, że kobieta niknie mi w oczach z każdym dniem, że dogorywa jak ta świeca, więc usiłuję ją z litości pocieszyć i tak do niej powiadam:

— E, tam — prawię — Gołde, serce, jest takie twierdzenie w świętych księgach — mówię — „czy to jak dzieci, czy też jak niewolnicy” — czyli jak z dziećmi — powiadam — tak i bez nich. Mamy — mówię — wielkiego Boga, potężnego Boga — powiadam — a jednak — mówię — oby tyle błogosławieństw Stwórcy raczył mi zesłać, ile razy tenże Pan Wszechświata — powiadam — spleta człowiekowi takiego figla, że. . . taki rok — mówię — na naszych wrogów. . .

Ale, że to ona, niechaj mi wybaczy, jest przecież tylko kobietą, odzywa się więc do mnie tak oto:

— Grzeszysz, Tewje! Nie wolno — powiada — grzeszyć!

— Na, masz ci los! — mówię. — Czy ja ci coś złego powiedziałem? Czy ja mam zamiar przeciwstawić się, broń Boże, temu, co czyni Najwyższy? — pytam ją. — Albowiem skoro — prawię dalej — On tak ładnie rządzi swoim światem — mówię — i sprawia, że dzieci nie są dziećmi — powiadam — a rodzice tyle znaczą, co to błoto — mówię — to pewno on chyba wie lepiej, jak należy postępować? . . .

Ale ona widocznie nie pojęła tego i odrzekła mi co innego zgoła:

— Umieram — mówi — Tewje, a kto ci teraz będzie gotował wieczerzę?

Tak do mnie powiada szeptem i patrzy na mnie takimi oczami, że nawet głaz by się wzruszył. Ale Tewje nie jest przecież babą, toteż odpowiadam jej przypowiadką, przytaczam cytaty z księgi świętej, z *Midraszu*, z jeszcze jednego *Midraszu*:

— Gołde — mówię — byłaś mi — powiadam — wierną żoną przez tyle lat, to ze mnie pewno teraz — mówię — na stare lata durnia nie zrobisz — powiadam i patrzę na moją Gołde — ledwo zipie!

— Co ci jest, Gołde? — pytam.

— Nic — ona mi na to i z trudem wydobywa z siebie każde słowo.

E! Widzę, że gra niewarta świeczki, biorę więc i zaprzęgam konika, jadę do miasta i sprowadzam doktora. Najlepszego doktora! Przyjeżdżam do domu — te, te, te! Moja Gołde leży już na ziemi ze świecą u wezglowia i wygląda jak zgarnięta kupka ziemi przykryta czernią. A ja stoję i myślę sobie: „Albowiem to jest człowiek” — czyli taki oto jest koniec człowieka? Ach Ty, *Ribojnoj szet ojtom*, czego Ty nie wyprawiasz z tym Tewją! Cóż ja teraz, na stare lata, pocznę, o ja biedny, nieszczęśliwy? I mówiąc to jak nie runę na ziemię. . . Ale idź, krzycz *chaj wekajom!* Wiecie, co ja wam powiem? Jeśli człowiek zetknie się ze śmiercią, musi stać się heretykiem i zacząć dociekać „co my jesteśmy i co jest nasz żywot” — czyli co w ogóle znaczy ten świat i ci rozbójnicy, którzy kręcą się po nim, i te

koleje żelazne, które gonią po nim jak wariaci, i ten cały tararam, i nawet Brodzki ze swymi milionami — „wszystko marność” — czyli nic i jeszcze raz nic!

Słowem, wynająłem kogoś, by odmawiał Kadisz po mojej Gołde, *ołow haszołem*, i zapłaciłem za cały rok z góry. Czy miałem może inne wyjście? Pan Bóg ukarał mnie nie dając mi męskiego potomka, tylko pełen dom dziewcząt, tylko córki i córki, oby Pan Bóg tym żadnego przyzwoitego Żyda nie doświadczył! Nie wiem, czy wszyscy Żydzi tak się męczą ze swoimi córkami, czy to tylko ja jestem takim nieszczęśnikiem, który nie ma do nich szczęścia? To znaczy, że ja do swoich córek nic nie mam, a szczęście jest w boskiej mocy i to, czego one mnie życzą, mogłoby się ziścić chociaż w połowie. Na odwrót, już one są aż nazbyt oddane, aż nadto. . . A co zanadto, to niezdrowo. Weźcie oto, dla przykładu, moją najmłodszą, Bejłkie ją zowią. Co wy wiecie, co to za dziecko! Znacie mnie przecież, chwala Bogu, nie od dziś, ale — jak wy to powiadacie — już od roku i jeszcze jednej środy — i wiecie, że nie należę do tych ojców, co to *kotoryj* siądzie sobie i zacznie ni stąd, ni zowąd wychwalać swoje dzieci na czym świat stoi. Ale skoro już mowa o mojej Bejłce, muszę wam rzec nie więcej niż *szłoj-szo deworim* — czyli dwa słowa, że odkąd Pan Bóg handluje Bejłkami, drugiej takiej jeszcze nie stworzył. O urodzie nie ma przecież co opowiadać, albowiem sami wiecie, że córki Tewji słyną na całym świecie jako najpiękniejsze krasawice. Ale ona, Bejłkie znaczy się, prześcignęła je wszystkie. Skoro mówią jefejfis — to przecież szkoda słów! Właśnie o niej należałoby rzec słowami znanej śpiewki: „Dzielną niewiastę kto znajdzie”. „Kłamstwem jest urok” — czyli uroda to nic, o tym się nawet nie mówi; o jej charakterze mowa jest. Złoto, szczere złoto, powiadam wam! Zawsze ojciec był dla niej najważniejszy, czyli „samą śmietanką”, lecz od kiedy moja Gołde, *ołow haszołem*, oby Pan Bóg Bejłce dłuższych lat życia użyczył, wyzionęła ducha, tato stał się dla niej żrenicą oka!. Nie pozwałała, ażeby pyłeczek na mnie osiadł. Mówiłem już sam do siebie: „Pan Wszechświata jest, jak my to mówimy w *wechoł maaminim shehu*, "poprzedzający gniew litością" — czyli zsyła plaster przed wrzodem”. Tylko że trudno się połapać, co właściwie jest gorsze: ów plaster czy ten wrzód? Idźże, bądź prorokiem i zgadnij, człowieku, że Bejłkie dla mojego dobra weźmie i sprzeda się za pieniądze, a potem wyśle ojca na stare lata do Ziemi Świętej! Wyobraźcie sobie, że to się tylko tak mówi, bo ona jest winna temu wszystkiemu tyle co i wy. Winę w tej całej sprawie ponosi on, jej najukochańszy, nie chcę go przeklinać, lecz koszmary mogłyby się kiedyś nań zwalić! A może, gdybyśmy tak próbowali to wszystko rozważyć, wgłębić się nieco w tę sprawę, mogłoby się czasem okazać, że ja sam największą ponoszę w tym winę, albowiem jest przecież wyraźnie powiedziane w *Gemarze*: „Człowiek winien. . .” — ale to, dalibóg, byłoby wcale nieźle, żebym ja miał wam wyjaśniać, co takiego dowodzi *Gemara*!

Słowem, nie chcę was długo zatrzymywać. Mijał rok za rokiem i moja Bejłkie wyrosła, bez uroku, na pannę na wydaniu. A Tewje wciąż się swoimi interesami

zajmował, jak zawsze, furmanką odwożąc tę trochę nabiątu w lecie do Bojarki, w zimie do Jehupca — bodajby to miasto potop nawiedził jak Sodomę! Nie mogę patrzeć na to miasto, i nie tak na samo miasto, jak na ludzi, i nie tak na wszystkich ludzi, jak na jednego człowieka, a mianowicie na swata Efroima — bodaj go licho porwało! Posłuchajcie tylko naumyślnie, co Żyd zajmujący się swataniem potrafi zrobić.

I nastał dzień, w którym przyjechałem pewnego razu, w połowie miesiąca Elul, do Jehupca z moim towarem. Patrę — „i przyszedł Haman” — czyli szadchen Efroim idzie! Już wam raz opowiadałem o nim. Efroim jest wprawdzie Żydem dokuczliwym, ale gdy go ktoś spotyka, musi go zatrzymać... już taką siłę ma w sobie ten Żyd... — Słuchaj no, mój mądralo — powiadam do konika — postój no chwilę, a ja dam ci coś do żucia — i zatrzymuję Efroima, podaję mu dłoń mówiąc *szolem* i zaczynam pogawędkę nie wprost, lecz okólną drogą:

— Co słyhać odnośnie zarobków?

Na to on serdecznie wzdycha i powiada:

— Kiepsko!

Więc ja powiadam:

— Co to znaczy kiepsko?

Wtedy on odpowiada:

— Nie ma się czego chwycić!

Wówczas ja go pytam:

— Absolutnie niczego?

Więc on mi mówi:

— Absolutnie!

Otóż ja pytam znowu:

— Co jest?

To on mi na to:

— Jest to, że małżeństw dzisiaj nie kojarzą w domu.

Więc ja powiadam:

— A gdzież je dziś kojarzą?

A on mi na to:

— Gdzieś tam, w zagranicy...

To ja znowu powiadam:

— Cóż ma począć taki Żyd jak ja, skoro babka mojego dziadka nigdy tam nie bywała?

Na to on powiada dając mi szczyptę tabaki:

— Dla was, reb Tewje, mam kawał towaru tutaj, na miejscu...

Więc ja pytam:

— Co to znaczy?

A on powiada:

— To znaczy Żydówka, wdowa, bez dzieci, ze stu pięćdziesięcioma rublami gotówki, była kucharką w najbogatszych domach. . .

Więc ja tak patrzę na niego i pytam go wreszcie:

— Reb Efroim, kogo wy myślicie swatać?

A on mi na to:

— A kogo bym miał na myśli, jeśli nie was?

A bodaj wszystkie złe, potworne sny padły na głowy moich wrogów! — I jak nie zdzielię szkapinę batogiem, jak nie ściągnę lejców chcąc jechać dalej. . . Wtedy Efroim odzywa się do mnie:

— Nie miejcie mi tego za złe, reb Tewje, że was może czymś uraziłem. Powiedzcie mi no, kogo wyście mieli na myśli?

Więc ja mu mówię:

— O kimże miałbym myśleć, jeśli nie o mojej najmłodszej córce?

A ten jak nie podskoczy, jak nie walnie się w czoło:

— Sza! Dobrze, że mi przypomniałście o tym. Obyście żyli jak najdłużej, reb Tewje!

Więc ja mu na to:

— *Omejn*, nawzajem, obyście wy też doczekali przyjścia Mesjasza, ale powiedzcie mi przecie, co się stało? Czym — powiadam — tak się ucieszyliście?

Więc on mi na to:

— Oj, jak to dobrze, reb Tewje, jak bardzo dobrze! Chyba już nic lepszego na świecie być nie może!

Więc ja pytam:

— No, cóż to za takie straszne dobro?

A on mi odpowiada:

— Mam dla waszej mezynki narzeczonego, istne szczęście, główna wygrana na loterii! Bogacz, magnat, milionszczyk, prawdziwy Brodzki, podriadczyk, który nazywa się Pedocer.

Wtedy ja mu powiadam:

— Pedocer? Jakieś znane imię z *Pięcioksięgu*?

Więc on powiada:

— Co mi tam *Pięcioksiąg*? Na co komu *Pięcioksiąg*? To podriadczyk, ten Pedocer, który buduje domy, kamienice, mosty, był koło wojny w Japonii, przywiózł majątek pieniędzy, wyjeżdża parą ognistych rumaków, w karetach, z lokajami przy drzwiach, z własną łaźnią u siebie w domu, z meblami z Paryża, z bariantowym pierścieniem na palcu, i jeszcze wcale niestary, a w dodatku kawaler, prawdziwy *chałastoj* — prima sort! A szuka ten Pedocer ładnej dziewczyny; niech będzie byle kto, bodaj goła i bosa, ale musowo urodziwa!

— Tpru! — powiadam doń. — Jeśli będziecie tak gonić — mówię — bez popasu, to trafimy z wami, reb Efroim, do samego Hoceklocu. O ile ja się nie my-

łę — powiadam — proponowaliście mi już kiedyś tego samego narzeczonego — mówię — dla mojej starszej córki, Hodł.

Usłyszawszy te słowa Efroim chwycił się za boki i wybuchł takim śmiechem, że pomyślałem, iż ten Żyd dostanie poplecckji.

— Oho — mówi — przypomnieliście sobie — powiada — owe czasy, gdy moja babka powiła swe pierworodne dziecię! Tamten zbankrutował i jeszcze przed wojną uciekł do Ameryki!

— Niechaj pamięć sprawiedliwego błogosławiona będzie! — powiadam. — A może ten też tam ucieknie?

A on wpada w złość, swat znaczy się, i powiada:

— Co też wy powiadacie, reb Tewje? Tamten był szarlatanem, marnotrawcą, chłystkiem, a ten to przecież podriadczyk — powiada — od wojny, z interesami, z kantora, z ludźmi, z... z... z...

Co wam tu dużo gadać, swat tak się rozplómił, że ściągnął mnie z wozu, chwycił za wyłogi i póty mną trząsł, póki nie doszedł do nas gorodowej, chcąc nas obu zabrać do koczumentu. Całe szczęście, że przypomniałem sobie o świętych słowach: „Obcego podkupić należy” — czyli trzeba wiedzieć, jak z policją postępować...

Słowem, po cóż bym miał was długo nudzić? Ten oto Pedocer zareczył się z moją najmłodszą córką, z Bejłką znaczy się, i „po dniach niewielu” — czyli dość długo trwało, zanim odbył się ślub. Dlaczego mówię, że trwało dość długo? Bo ona, Bejłkie znaczy się, tak bardzo go nie chciała, jak nie chce się umierać. Im więcej ten ów Pedocer lał z prezentami, ze złotymi zegarkami i barliantowymi pierścieniami, tym więcej się jej obrzydzał. Mnie palca do ust wkładać nie trzeba. Widziałem to bardzo dobrze. Poznawałem po jej twarzy, po jej oczach i po jej płaczu, którym dusiła się po cichutku. Wpadam więc pewnego razu na pomysł i odzywam się do niej tak oto, z cicha pęk:

— Słyszysz, Bejłkie — mówię — zdaje mi się — powiadam — że twój Pedocer tak ci jest miły — mówię — i tak pożądany akurat jak mnie?

Więc ona zaczerwieniła się jak burak i odrzekła:

— Kto ci to powiedział?

A ja jej na to:

— Co zatem znaczy ten płacz po całych nocach?

Więc ona mówi:

— Albo ja płaczę? A ja jej na to:

— Nie, ty nie płaczesz, tylko chlipiesz. Myślisz — mówię — że chowając głowę w poduszkę, ukryjesz przede mną — powiadam — swoje łzy? Myślisz — mówię — że twój tato jest chłopaczkiem — powiadam — albo że mu mózg wyschł i nie potrafi zrozumieć — mówię — że ty to wszystko robisz dla twego starego ojca? Chcesz mu — prawię — zabezpieczyć spokojną starość, dać wygodny kąt i uchronić przed tym, ażeby, broń Boże, nie musiał chodzić — mówię — na

żebry? Więc jeśli ty naprawdę tak myślisz — ciągnę dalej — to jesteś — powiadam — głupia! Mamy wielkiego Boga — powiadam — a Tewje nie należy do tych „dziesięciu próżniaków” — mówię — by zgodził się żyć na łaskawym chlebie. A pieniądze — mówię — to błoto — powiadam — jak to w świętych księgach piszą. Masz najlepszy dowód — mówię — że twoja siostra Hodł klepie biedę, jakiej świat nie widział, a jednakże — powiadam — patrz, co ona pisze stamtąd, gdzie pieprz rośnie — aż z końca świata; i jak to ona uważa się za najszczęśliwszą na świecie — mówię — z tym swoim zbereźnikiem, z Pieprzykiem!

A teraz bądźcie wy mędrcom i zgadnijcie, co mi na to odrzekła ona, moja Bejłkie znaczy się.

— Do Hodł — powiada — ty mnie nie porównuj — mówi. — Hodł — powiada — żyła w takim czasie, kiedy — mówi — cały świat trząśł się w posadach i omal się nie przewrócił, toteż dlatego troszczono się — powiada — wówczas o cały świat, a o sobie zapominano. Teraz zaś — mówi — świat jest światem — powiada — więc każdy troszczy się o siebie, a o świecie zapomina. . .

Tymi oto słowy odpowiedziała mi na to wszystko Bejłkie znaczy się, i idź, zrozum, człowieku, co ona ma na myśli!

No? Teraz już wiecie, co to takiego córki Tewji? Gdybyście ją byli widzieli podczas ślubu. Królowna! Stałem i wpatrywałem się w nią tylko myśląc sobie: „I to jest Bejłkie, córka Tewji? Gdzież to się tak nauczyła chodzić i stać, i tak trzymać głowę, i tak się ubierać, żeby wszystko leżało na niej jak ulane. . .” Lecz nie pozwolono mi przyglądać się jej długo, ponieważ w dniu ślubu, około wpół do szóstej wieczorem, młoda para podniosła się i „poszedł Mojsze Mordche” — czyli wyjechali kurierem Bóg wie dokąd, do Natalii, jak to w modzie wśród tych wielkich magnatów. Wrócili dopiero gdzieś w okresie Chanuki i posłali po mnie, nakazując, ażebym natychmiast, nie zwlekając, przyjechał do Jehupca. Coś mnie jakby tknęło. Gdyby chcieli, ażeby po prostu, o tak sobie przyjechał do nich, nie kazaliby przecież „natychmiast” i „nie zwlekając”. Pewno coś w tym jest! Ale zachodzi pytanie: co? I rozmaite myśli, dobre i złe, włożą mi do głowy: „Może małżonkowie zdążyli się już pohandryczyć jak te koty i mają zamiar się rozwieść?” Lecz od razu pomiarkowałem sobie: „Jesteś głupi, Tewje! Dlaczego wszystko tłumaczysz sobie ku złemu? Skąd możesz wiedzieć, po co cię wołają? Może stęsknili się za tobą i pragną cię zobaczyć? Albo może Bejłkie chce mieć ojca przy sobie? A może Pedocer chce mi dać jakieś zajęcie, część swych podriadów?” Tak czy owak — jechać trzeba. Siadam więc na furmankę i „poszedł do Choronu” — czyli jadę do Jehupca. Po drodze wyobraźnia moja zaczyna pracować i wydaje mi się nagle, że — wyobrażam sobie tak — rzuciłem wieś, sprzedałem krowki, konika wraz z furmanką ze wszystkim razem i przeprowadziłem się do miasta. Tam zostałem u mego Pedocera najpierw nadzorcą, potem kasjerem, potem całym gospodarzem nad wszystkimi podriadami; po pewnym czasie zostałem współnikiem do wszystkich jego interesów — pół na pół — i tak samo jak on zacząłem wy-

jeźdząc parą ognistych rumaków, z których jeden jest bułany, drugi kasztanowaty, aż się sam dziwiłem temu: „Co to jest i na co to jest” — czyli skąd ja, taki cichy człowiek jak Tewje, do tak wielkich interesów? Po co mi ten cały harmider i ten cały jarmark, ta ciągła latanina w dzień i w noc, jak wy to mawiacie: „By osiedlić mnie wśród dobroczyńców” — czyli ażebym się tuczył wraz z milionoszczykami? A dajcież mi spokój! Chcę mieć spokojną starość, zajrzeć czasem do *Miszny*, odmówić czasem kilka rozdziałów *Thilim*; toż trzeba kiedyś pomyśleć i o tamtym świecie, tak czy nie? Jak powiada król Salomon: „Człowiek to czyste bydło i jak długo by nie żył, musi w końcu umrzeć. . .”

W takich oto myślach i dumach pogrążony przybyłem w szczęśliwą godzinę do Jehupca i zajechałem prosto do mego Pedocera. No cóż? Wziąć i opowiedzieć wam „ogrom jego potęgi i ogrom bogactwa” — czyli o jego siedzibie i mieszkaniu, to przecież szkoda słów. Jeszcze nigdy nie miałem zaszczytu być w domu u Brodzkiego, ale według tego, jak mi to mój rozum dyktuje, wyobrażam sobie, że ładniej niż u tego Pedocera i tam być nie może! Możecie to zrozumieć już choćby tylko z tego jednego, co to za królewską siedzibę on posiada, że stróż, który stoi przy drzwiach, taki drągał ze srebrnymi guzikami, nie chciał mnie w żaden sposób wpuścić do środka, choć ty mu chorobę daj. Co się tu dzieje? Drzwi są szklane, widzę więc dokładnie, jak on tam stoi, ten dryblas, bodaj imię i pamięć o nim zostały wyklęte, i czyści jakieś ubranie. Mrugam więc doń, pokazuję na migi, znaczy się rękami, ażeby mnie wpuścił do środka, ponieważ żona jego chlebowodawcy jest moją rodzoną córką. . . Cóż, kiedy ta gojska łepetyna nie rozumie na migi, tylko wciąż pokazuje mi rękami, też na migi, znaczy się, ażebym sobie poszedł do wszystkich diabłów, czyli ażebym ulotnił się stąd czym prędzej! To ci dopiero hultaj! Ażeby do własnej córki nie można się było dostać bez czyjejś łaski! „Och i jej, Tewje! Ależ się twoja siwa głowa doczekała!” — myślę sobie zaglądając przez szklane drzwi. Wtem ujrzałem dziewczuchę kręcącą się tam również po domu. „Pewno ich pokojowa” — pomyślałem sobie, ponieważ miała złodziejskie oczy. Wszystkie pokojowe mają złodziejskie oczy. Stale zachodzę do bogatych domów i znam się z wszystkimi pokojowymi. . . Mrugnąłem więc do niej:

— Otwórz, koteczku!

Posłuchała mnie, otworzyła i zapytała zwyczajnie po żydowsku: — Kogo potrzebujecie?

A ja do niej:

— Tu mieszka Pedocer?

Na to ona głośniej:

— Kogo potrzebujecie?

Więc ja do niej jeszcze głośniej:

— Gdy pytają cię o coś, masz odpowiedzieć na wszystko po kolei; tu mieszka Pedocer?

Powiada więc:

— Tu.

— Skoro tak — mówię — to jesteś swoim człowiekiem — powiadam. — Idź — mówię — i rzeknij twojej madam Pedocer — powiadam — że ma gościa — mówię. — Jej ojciec, Tewje, przyszedł — powiadam — do niej w odwiedziny i stoi już tak — mówi — od dłuższego czasu przed domem — powiadam — „jako nędzarz w progu”, albowiem nie dostał — mówię — zaszczytu, by znaleźć dość upodobania w oczach tego Ezawa ze srebrnymi guzikami, bodaj był — powiadam — kaporą za twój najmniejszy paznokietek!

Wysłuchawszy mnie dziewczyna wybuchnęła śmiechem łotrzyca, zatrzasnęła mi drzwi przed samym nosem, pobiegła w górę, poleciała w dół, w końcu wpuściła mnie i zaprowadziła do takiego pałacu, jakiego przodkowie moich przodków i we śnie nie widzieli. Jedwabie, aksamity i złoto, i kryształy, a kiedy chodzicie, nie czujecie tego wcale, gdyż stąpacie swymi grzesznymi nogami po najdroższych dywanach, miękkich jak śnieg. A w dodatku te zegary! Na ścianach zegary, na stołach zegary, niezliczona ilość zegarów! *Ribojne Jojne! Host asach azojne?* Po co jednemu człowiekowi aż tyle zegarów? Tak sobie myślę i idę dalej założywszy ręce do tyłu. Uszedłem parę kroków, aż wtem patrzę — ze wszystkich stron idą mi naprzeciw — kto myślicie? Kilku Tewjów! Jeden Tewje idzie tędy, drugi Tewje idzie tamtędy, jeden idzie wprost ku mnie, drugi odchodzi ode mnie — tfu, paskudztwo! Ze wszystkich stron lustra?... Tylko taki niebieski ptak, taki podriadczyk jak ten Pedocer może sobie pozwolić na tyle zegarów i tyle luster!... I staje mi przed oczyma ten cały Pedocer: grubiućkie toto, okrągłutkie, z łysiną na całej głowie, a mówi toto głośno, a śmieje się drobniućko... I przypominam sobie, jak to zjawił się u mnie na Wsi po raz pierwszy. Przyjechał swymi ognistymi rumakami, rozparł się u mnie, „jak u swego ojca w winnicy”, zapoznał się z moją Bejłkie, zawołał mnie na bok i szepnął na ucho sekret, ale tak głośno, że można go było usłyszeć po tamtej stronie Jehupca — że co? Że moja córka mu się spodobała, więc życzy sobie, ażeby było raz-dwa-trzy i postawiona chupa — to był ten jego sekret! No cóż, że moja córka spodobała mu się, rozumie się samo przez się, lecz to „raz-dwa-trzy” jak „miecz ostry” — czyli uderzyło mnie w serce niczym tępy nóż. Co to znaczy raz-dwa-trzy i ślub? A gdzie ja jestem? A gdzie jest Bejłkie? I miałem ja wtedy ochotę wlepić mu kilka twierdzeń z *Midraszu* i ksiąg świętych, ażeby zapamiętał mnie na całe życie! Ale zmiarkowałem się w porę. Pomyślałem sobie: „I po cóż to ja” — czyli po co wtrącasz się, Tewje, do dzieci? Dużo wygrałeś u starszych córek, gdy chciałeś udzielić im rad przy wyborze mężów? Nagadałeś się jak ten bęben, wygarnąłeś swą całą *Torę*, a kto pozostał głupcem? — Tewje!

Słowem, pozostawmy, jak wy to mawiacie w waszych książkach, królewicza i zabierzmy się do królowny. Czyli że zadośćuczyniłem ich prośbie, przyjechałem do nich do Jehupca i zaczęło się całe weselisko: „*Szołem atejchem! Atejchem*

szotem! Jak się macie? Co dobrego porabiacie? Siadajcie. Dziękuję, mogę obstać i tak!” — i jeszcze inne ceremonie, jak to zwykle bywa. Żebym to ja był pierwszy i zapytał: „Czym dzień dzisiejszy różni się od innych dni” — czyli po co zawezwaliście mnie tak nagle? — Nie wypadło mi. Tewje nie jest babą, Tewje ma czas. Tymczasem przychodzi jakiś stwór w dużych, białych rękawiczkach i oznajmia, że jedzenie już jest na stole. Wstajemy więc wszyscy troje i wchodzimy do pokoju, który cały zrobiony jest z dębu. Stół dębowy, krzesła dębowe, ściany dębowe, sufit dębowy, a to wszystko rzeźbione, strugane i malowane, kolorowane i wy-cackane, że strach popatrzeć! A na stole — „szaty królewskie” — czyli herbata z kawą i czekoladą, pieczywo maślane i dobry koniak, najlepsze słone pieczywo i takiego rodzaju potrawy i owoce — że wstyd mi to wyznać — ale obawiam się, że moja Bejłkie o czymś podobnym u swego ojca nawet nie śniła. I nalali mi kielicha, i jeszcze jednego kielicha, a ja wypilem *lechaim* i patrzę na nią, na moją Bejłkie znaczy się, i myślę sobie przy tym: „Doczekałaś się ty, córko Tewji — jak my to mówimy w *Halelu*: "Który podnosi z prochu biednego" — czyli jeśli Pan Bóg wspomaga biedaka, wówczas "z kurzu wywyższa ubogiego" — czyli to go ani nikt nie pozna”. Zdaje się ona — Bejłkie — a jednak nie ona. I przypominam sobie Bejłkie z tamtych czasów, porównuję ją z Bejłkie dzisiejszą i żal mi się robi serdeczny, jak gdybym to ja zrobił jakiś zły interes, dokonał takiego dzieła, że... Ale cóż, przepadło! To jest tak samo, dajmy na to, na przykład, jakbym zamienił swoją pracowitą szkapinę na źrebię, co to jeszcze wcale nie wiadomo, co z niego wyrośnie — koń czy drąg.

„Ech, Bejłkie, Bejłkie! — myślę sobie. — Co się z ciebie zrobiło! Kiedyś, pamiętasz, siedziałaś wieczorami przy kopczącej lampce, szyjąc i nucąc przy tym piosenkę lub w okamgnieniu wydoiłaś parę krówek, albo zakasałaś rękawy i ugotowałaś ojcu mleczny barszcz czy fasolkę z kluskami lub pampuszki z serem, kopytka z makiem, a gdy zawołałaś: "Tato, idź myj ręce!" — brzmiało to przecież jak najładniejsza pieśń!” A teraz siedzi tu ze swym Pedocerem jak królowna; dwoje ludzi podaje do stołu, szcękają talerzami, a Bejłkie? Żeby to choć słówko wyrzekła! Ale za to on, Pedocer, mówi już za nich dwoje. Usta mu się nie zamykają! Odkąd żyję, nie spotkałem człowieka, który tyle paple, miele ozorem nie wiadomo co i śmieje się przy tym swoim drobniuteńkim, przenikliwym śmieszkiem. U nas nazywa się to: „Sam powiedział kawał i sam się z niego śmieje...” Prócz nas trojga siedział przy stole jeszcze ktoś, jakiś osobnik o czerwonej twarzy. Nie wiem, kto to był i co to za jeden, ale żarłok widać nie lada, gdyż przez cały czas, gdy ten Pedocer gadał i śmiał się, tamten wciąż pakował do gęby, jak to w *Pereku* piszą: „Trzej, którzy ucztowali” — czyli jadł za trzech. Ten jadł, a tamten znów gadał, a była to taka pusta gadaninia, która mi ani do uszu nie włążyła: podriad, gubernia, *prawlenije*, *udielni wiadomost'*, *kaznaczejstwo*, Japonia... Z tego wszystkiego interesowała mnie tylko Japonia, ponieważ z Japonią byłem nieco skumany.

W czasie wojny, wiadomo wam pewno o tym, konie były bardzo cenione. Szukano ich niemal ze świecą, no i trafiono oczywiście do mnie też... Wzięli moją szkapinę do galopu. Wymierzono nieszczęsne bydłę arsyznem, pognano tam i nazad, w końcu dano mu biały bilet. A ja im na to: „Wiedziałem z góry, że daremny wasz trud”, jak w *Piśmie Świętym* piszą: „Zna sprawiedliwy duszę bydłęcia swego” — czyli nie taka szkapa jak Tewji idzie na wojnę... Nie miejcie mi za złe, panie Szolem Alejchem, że mieszam jedno z drugim i jeszcze gotów jestem, broń Boże, zbić się z tropu. Jak wy to powiadacie: „Powróćmy do naszej sprawy” — czyli pomówmy lepiej o najistotniejszym.

Słowem, wypiliśmy, znaczy się, bardzo przyzwoicie i zakąsili też, jak Pan Bóg przykazał. Gdy wstaliśmy od stołu, wziął mnie, Pedocer znaczy się, pod rękę i wprowadził do osobnego gabinetu, przybranego po królewsku. Strzelby i bagnety wisiały na ścianach, harmaty stały na stołach... A posadził mnie na dywanie miękkim jak masło. Wyjął też ze złotej puszkii dwa duże, pachnące cygara, jedno zapalił dla mnie, drugie dla siebie, usiadł naprzeciwko, wyciągnął nogi i rzekł do mnie tak oto:

— Czy wy aby wiecie, w jakim celu posłałem po was?

„Aha!” — myślę sobie. Teraz zechce porozmawiać o najważniejszym, lecz udaję głupiego i tak się doń odzywam:

— „Czyż stróżem brata swojego jestem” — czyli skądże mógłbym wiedzieć?

A on powiada: — Chciałem z wami porozmawiać o was samym.

„Służba jakaś” — pomyślałem sobie, a do niego powiadam:

— Byle to było coś pomyślnego, nie będę miał nic przeciw temu. Chętnie posłucham.

Wtedy on wyjmując cygaro z ust, ten Pedocer znaczy się, i zaczyna wygłaszać całą droszę:

— Wy jesteście — mówi — Żydem niegłupim i nie weźmiecie mi za złe tego, że będę z wami mówił otwarcie. Musicie wiedzieć — powiada — że ja prowadzę duże interesy, a gdy ktoś prowadzi takie duże interesy jak ja... .

„No tak — myślę sobie — to on o zajęciu dla mnie napomyka”. Przerwywam mu więc i odzywam się:

— Jak to powiada *Gemara* w sobotę, w *Pereku*: „Kto powiększa dostatek, powiększa też kłopoty”. Czy wy wiecie — pytam go — co ta *Gemara* oznacza?

Na to on odpowiada mi całkiem szczerze: — Ja wam powiem — powiada — szczerą prawdę. Nigdy — mówi — *Gemary* się nie uczyłem i nawet — prawi — nie wiem — powiada — jak ona wygląda.

Tak do mnie mówi, Pedocer znaczy się, śmiejąc się swoim drobniutkim śmieszkiem. Czy wy aby pojmujecie to wszystko? Zdaje się, że skoro cię już pan Bóg ukarał czyniąc cię nieukiem, niechaj przynajmniej będzie, jak się to mówi, *chata pokryszka*, czyli na co masz się tym jeszcze przechwalać? Tak sobie tylko pomyślałem, głośno zaś rzekłem tak:

— Tak też właśnie was oceniłem — mówię. — Od razu pojąłem, że z tymi sprawami nie macie wiele wspólnego. Ale niechaj słyszę, co będzie dalej?

A on mi na to:

— A dalej chciałem wam rzec — powiada — że do moich interesów i mego nazwiska — mówi — do mojego *położenija* nie pasuje mi — powiada — to, że was wołają Tewje Mleczarz. Musicie wiedzieć — mówi — że ja znam się *liczno* z gubernatorem — powiada — i do mnie do domu — mówi — może czasem przyjść taki Brodzki czy Polakow, a może nawet sam Rotszyld także, *czziem czort nie szutit'!*? — Tak powiada do mnie, Pedocer znaczy się, a ja siedzę i patrzę na jego lśniącą łysinę myśląc przy tym: „Bardzo możliwe, że znasz się *liczno* z gubernatorem i że sam Rotszyld może kiedyś przyjść do twego domu, lecz mówisz tak jak pies nad psy...” I odzywam się nieco urażony:

— Cóż — pytam — ja mogę na to, jeśli do was istotnie kiedyś zawita taki Rotszyld? — To wy pewno myślicie, że zrozumiał ten przytyk? „Ani niedźwiedzi, ani lasu” — czyli ani początku nie widać!

— Chciałem — ciągnie dalej — ażebyście przestali — powiada — handlować nabiąłem i zajęli się — mówi — czym innym.

— I owszem — ja mu na to — powiedzcie tylko, czym?

— Czym chcecie — powiada. — Alboż to mało interesów jest na świecie? Ja wam dopomogę, pieniędzy dam, ile będzie potrzeba, byleście — mówi — przestali być Tewje Mleczarzem. Albo sza — powiada — wiecie wy co? A może byście tak — mówi — raz-dwa-trzy wyjechali do Ameryki? Ha? — tak oto powiada, Pedocer do mnie, znaczy się, zaciska cygaro w zębach, patrzy mi prosto w oczy, a jego łysina połyskuje przy tym, że aż strach...

No i co odpowiedzieć takiemu prostakowi? Najpierw pomyślałem sobie: „Czemu ty, Tewje, siedzisz tu jak gliniany golem? Wstań, ucałuj mezuzę, stuknij drzwiami i "poszedł w swój świat" — czyli paszoł i bez pożegnania!” Tak strasznie mnie to zapiekło, aż w samiotką wątrobę! Co za chucpa u tego podriadczika? Co znaczy, że każesz mi rzucić uczciwe, przyzwoite zajęcie i jechać do Ameryki? Dlatego, że do ciebie może kiedyś przyjść jakiś Rotszyld, dlatego Tewje Mleczarz musi uciec w świat, gdzie go oczy poniosą?... A serce kipi we mnie jak kocioł, a urażony jestem jeszcze jedną sprawą. Serce bolało mnie też i przez nią, przez moją Bejłkie znaczy się. Czego ty tam siedzisz jak królowna wśród tych setek zegarów i tysiąca luster, podczas gdy ojca twego, Tewje, gonią *kolistroj* — czyli pieką go żarzącymi węglami? Oby mi Pan Bóg zesłał tyle błogosławieństwa, ile twoja siostra Hodł lepiej urządziła się od ciebie! Co prawda, to prawda — ale tamta nie posiada takiego domu jak ty i tak dużo rozmaitych fatałaszków, za to ma męża, Perczyka, a ten jest człowiekiem, co to *kotoryj*, czyli że sam o sobie ani nie myśli, on sam to fraszka, najgłówniejsze to troska o cały świat... A ponadto tamten ma głowę na karku, a nie doniczkę z łysiną w dodatku, no a gębę ma ten Perczyk — szczerze złoto! Jemu jeśli powiecie jedno zdanie z *Pisma Świętego*,

to on wam odpowie z nawiązką trzech zdań!!! Poczekaj tylko, ty podriadczyku jeden, ja ci tu zaraz wlepię takie powiedzonko, że w oczach ci pociemnieje! Tak sobie myślę i odzywam się do niego tymi oto słowami:

— No, cóż — powiadam — to, że *Gemara* jest dla was tajemnicą, wybaczam wam — mówię. — Bo skoro Żyd mieszka w Jehupcu, nazywa się Pedocer i jest podriadczykiem — powiadam — wówczas *Gemara* może spokojnie spoczywać na strychu. Ale zwyczajny cytat — mówię — zrozumiecie przecież? Nawet — powiadam — chłop w łapciach go też zrozumie. Chyba wiecie pewno — pytam — co powiada *Targum Onklos* o Labanie Haramim? A więc: *Mizanawto dychaziroso toj machanto sztrajmełoso?*

A ten patrzy na mnie jak kogut na Bnej Adam i odzywa się:

— A co to znaczy?

— To znaczy — ja mu na to — że ze świńskiego ogona nie można zrobić lisiego kołpaka.

— Względem czego — pyta znowu — wy to mówicie?

— A względem tego — powiadam — że wy mi każecie jechać do Ameryki.

Na to on roześmiał się drobniuteńko i odezwał się tak oto:

— Nie chcecie do Ameryki? No to może do Ziemi Świętej? Wszyscy starzy Żydzi jadą do Ziemi Świętej...

Gdy mi to tylko powiedział, utkwilo mi to głęboko w głowie niczym żelazny kołek: „Sza! A może to wcale nie takie straszne, Tewje, jak się tobie wydaje? A może to nawet dobry plan? Albowiem zamiast doznawać takich oto radości i takiej pociechy doczekać się u dzieci, to może doprawdy byłoby już lepiej pojechać do Ziemi Obiecanej? Głupcze! Co ty tu ryzykujesz i co ci jeszcze pozostało? Twoja Gołde, *ołow haszołem*, i tak już leży w ziemi, a ty sam, pożał się Boże, czy nie tkwisz głęboko w ziemi? Jak długi jeszcze może człowiek pętać się w jednym miejscu na świecie?” No i musicie też wiedzieć, panie Szolem Alejchem, że mnie od dawna ciągnie tam, do Ziemi Świętej. Byłbym ciekaw obejrzeć Kotel Hamaarawi, Mearat Hamachpela, odwiedzić grób pramatki Racheli, ujrzeć własnymi oczami rzekę Jordan, górę Synaj i Jam Suf, Pitom, Ramzes, jak to wszystko wygląda, i jeszcze takie inne miejscowości. A myśl moja przenosi mnie tam, do błogosławionego kraju Kanaan — jak wy to mawiacie — „kraj mlekiem i miodem płynący”. Ale przerwał mi te rozmyślenia on, Pedocer znaczy się, w najciekawszym miejscu i odezwał się do mnie tak oto:

— No? Nad czym się trzeba tak długo zastanawiać? Raz-dwa-trzy...

— U was — powiadam — wszystko, chwała Bogu, robi się raz-dwa-trzy — mówię — jak *Gemara* powiada: „Ho gawro, weho trasko...” A u mnie — ciągnę dalej — to ciężki kawał *Miszny*, ponieważ na to, by podnieść się — mówię — i pojechać do Ziemi Świętej — trzeba mieć — mówię — czym...

Na to on roześmiał się swym drobniuteńkim śmieszkiem, wstał, otworzył szufladę, wyjął z niej portfel i odliczył mi jeden po drugim — niech się wam

zdaje, że wcale ładną sumkę; a ja się też absolutnie nie leniłem i zgarnąłem tych kilka papierków — co jednak zdziałać może siła pieniądza — i wsunąłem je hen głęboko do kieszeni. Chciałem mu przynajmniej rzec kilka cytatów i jakiś *Midrász*, co by mu to wszystko razem wyjaśniło, lecz on słuchał mnie akurat jak tego kocura i odezwał się tak:

— To wam — powiada — starczy prawie aż do przybycia tam, aż nadto. A gdy przyjedziecie na miejsce — mówi — i będziecie potrzebowali pieniędzy, napiszcie — powiada — list, to się wam raz-dwa-trzy wyśle. A przypomnieć wam raz jeszcze o wyjeździe wszak nie potrzeba — prawi — gdyż jesteście przecież Żydem posiadającym poczucie sprawiedliwości i uczciwości. . .

Tak mówi do mnie Pedocer, znaczy się, śmiejąc się przy tym drobniuteńko swym urywanym chichotem, który włazi człowiekowi do samych kiszek. Wtem przysłała mi taka oto myśl do głowy: „A może byś tak grzotnął mu pieniądze w twarz i opowiedział historię o tym, że Tewji nie może kupić za pieniądze i z Tewją nie mówi się o sprawiedliwości i uczciwości. . .” Lecz zanim jeszcze zdążyłem otworzyć usta, ten już pociągnął za dzwonek, zawezwał Bejłkę i odezwał się do niej:

— Duszeńka, czy ty wiesz? Przecież twój ojciec nas porzuca. Wyprzedaje wszystko, co posiada, i wyjeżdża raz-dwa-trzy do Palestyny. . .

„Sen śniłem i nie wiem, o czym” — czyli co mi się przyśniło tej nocy i tamtej nocy. . . Tak sobie myślę, patrząc przy tym na moją Bejłkę. A ta — żeby to się nawet skrzywiła. Stoi jak ten pień, ani kropli krwi w twarzy, patrzy to na niego, to na mnie, znów na niego i znowu na mnie i choćby słowo wyrzekła! Ja patrząc na nią też milczę, czyli oboje, znaczy się, milczymy, jak w *Psalmach* piszą: „Niechaj przywrze mój język — czyli odjęto mi dar mowy. W głowie mi się kręci, w skroniach wali jak młotem, jak od zaczadzenia. „Od czego by to mogło być? — myślę sobie. — Od tego cygara widocznie, którym mnie Pedocer poczęstował?” Ale przecież on też pali takie cygaro, Pedocer znaczy się! Pali i gada; usta mu się wcale nie zamykają, choć powieki opadają i chce mu się uciąć drzemkę. . .

— Jechać musicie — prawi — stąd do Odessy — powiada — kurierem, a z Odessy okrętem aż do Jafy. A jechać morzem — mówi — najlepiej tylko teraz, ponieważ — powiada — później zaczną się wichry, i śniegi, i burze i. . . i. . . i. . . — I gada bez przerwy, aż mu się język płacze, jak komuś, co chce spać. Ale nie przestawał paplać:

— A gdy będziecie — mówi — już gotowi do wyjazdu, zawiadomicie nas — powiada — a my wyjdziemy — ciągnie dalej — oboje na stację pożegnać się z wami, bo kiedyż się znowu zobaczymy?

Tak oto skończył swą gadaninę wielkim ziewnięciem, za przeproszeniem, wstał i odezwał się do niej, do mojej Bejłki, znaczy się:

— Duszeńka, ty tu trochę — mówi — posiedzisz, a ja pójdę — powiada — i położę się na chwilkę.

Jeszcze nigdy tak dobrze nie postąpił jak teraz! Jak Żydem jestem! Teraz przynajmniej będę miał na kim wyładować wszystko, co wezbrało w moim zgorzkniałym sercu! Tak sobie pomyślałem mając zamiar wygarnąć mojej Bejłce wszystko, co mi przez ten cały poranek w duszy się nagromadziło... A ona jak nie padnie mi na szyję, Bejłkie znaczy się, jak nie zacznie płakać, ale jak! Moje córki, oby im dobrze było, mają wszystkie taką naturę: najpierw udają bohaterki, trzymają się, a jak przyjdzie co do czego, płaczą jak te brzeziny. Weźcie dla przykładu moją starszą córkę, Hodł znaczy się; małoż to ona wyczyniała w ostatniej chwili, zanim udała się na tułaczkę do zimnych krajów wraz z swym Perczykiem? Ale skąd, tamto było tylko drobnostką w porównaniu z tym! Tamta powinna u tej w piecu palić!

Powiem wam szczerą prawdę: ja sam, jak mnie już nieco znacie, nie jestem człowiekiem skorym do łez. Dobrze się napłakałem tylko raz jeden, gdy moja Gołde, *ołow haszołem*, leżała na ziemi, i jeszcze raz się szczerze popłakałem, kiedy Hodł pojechała do swego Perczyka, a ja pozostałem na stacji, jak wielki dureń sam jeden z konikiem, no i jeszcze tam kilka razy przydarzyło mi się, że się trochę, jak wy to powiadacie, rozkrochmałem... Ale poza tym nie przypominam sobie, żebym miał zwyczaj płakać. Lecz teraz łzy Bejłki tak mnie za duszę chwyciły, iż nie mogłem powstrzymać się, nie miałem już nawet serca, ażeby jej złe słowo powiedzieć. Ze mną nie trzeba długo gadać! Od razu zrozumiałem, co te łzy oznaczają, albowiem nie były to takie sobie zwyczajne łzy, tylko łzy, rozumiecie, „za grzechy, które popełniliśmy przed Tobą” — za nieposłuszeństwo względem rodzica... I zamiast ją uraczyć, jak sobie na to zasłużyła, i całą złość na jej Pedocera wylać na nią, zacząłem ją jeszcze uspokajać takim przykładem i owakim przykładem, jak to Tewje potrafi. A ona, Bejłkie znaczy się, wysłuchiwała mnie i odezwała się tak oto:

— Nie, tato, nie dlatego płaczę — powiada. — Ja nie mam do nikogo — mówi — żadnych pretensji. Płaczę dlatego — ciągnie dalej — że ty wyjeżdżasz — mówi — i to przeze mnie — powiada — a ja na to nic poradzić nie mogę. Oto — mówi — co mnie tak boli.

— Idź już, idź — ja jej na to. — Pleciesz jak dziecko. Zapomniałaś — powiadam — że mamy potężnego Boga i że twój tato jest jeszcze — mówię — przy zdrowych zmysłach, i że u twego ojca — powiadam — przejechać się do Ziemi Świętej i wrócić z powrotem — to drobnostka. Tak — prawie — jak w świętych księgach piszą: „I pojechali, i odpoczywali” — czyli *tuda i nazad*...

Tak oto ją uspokajam, a w duchu myślę: „Tewje, łzesz! Skoro tylko wyjedziesz do Ziemi Świętej, to — *ołow haszołem* — czyli koniec Tewji Mleczarza!” I tak jak gdyby to ona odgadła moje myśli, odezwała się nagle:

— Nie — mówi — tato! W ten sposób pocieszają tylko małe dzieci. Dają dziecku — powiada — lalkę, zabaweczkę do rąk i opowiadają mu — mówi — ładną bajeczkę o bielutkiej kózce... A jeśli już doszło do opowiadania bajek, to

ja tobie — powiada — będę je opowiadała, a nie ty mnie. Ale ta bajka, którą ja ci opowiem, tato, jest raczej smutna, nie piękna. . .

Tak oto powiada do mnie, Bejłkie znaczy się; córki Tewji nie mówią tak z prosta. I zaczęła opowiadać całą *Megilę* albo bajkę z tysiąca i jednej nocy. O tym, jak ten Pedocer dorobił się, wybił się z najbiedniejszego stanu i własnym rozumem wznosił się na najwyższy szczebel. A teraz pragnie jeszcze dopiąć tego, by do jego domu przychodził Brodzki, toteż sypie pieniędzmi na cele dobroczynne, rzuca tysiącami. Ale jako że pieniądze to jeszcze za mało, trzeba jeszcze mieć jiches też, trzeba wykazać, iż nie jest się byle kim, wobec tego porusza cały świat, ten Pedocer znaczy się, ażeby dokazać, że nie jest byle kim. Chwali się, że wywodzi się z tych „wielkich Pedocerów”, że ojciec jego był znanym podriadczykiem, choć — powiada córka — wie dobrze o tym, że ja wiem doskonale, iż ojciec jego był grajkiem. No a prócz tego — mówi — rozpowiada wszystkim, że ojciec jego żony był milionszczyk. . .

— Kogóż — pytam — on ma na myśli? Mnie? Jeśli — mówię — było mi kiedyś sądzone posiadać miliony — powiadam — to oby na tym się już dla mnie ta plaga skończyła.

— Co ty wiesz, tato, jak mi twarz ze wstydu płonie — on dalej — gdy zaczyna przedstawiać mnie swoim znajomym, opowiadając im — mówi — o majątku mego ojca, wujów i całej rodziny. Zmyśla niestworzone historie, a ja wszystko — mówi — muszę wysłuchać i milczeć, gdyż w tych sprawach — powiada — on jest bardzo kapryśny.

— Według ciebie — ja jej na to — to znaczy „kapryśny”, a według mnie — powiadam — nazywa się to po prostu bezceństwem albo bezwstydem.

— Nie — ona mi na to — tato, ty go nie znasz. On wcale nie jest taki zły, jak tobie się wydaje. On jest tylko takim człowiekiem, co to teraz tak, a po chwili inaczej. Ma — powiada — dobre serce i hojną naturę. A gdy ktoś zrobi przed nim — mówi — krzywą minę, byle trafił na odpowiednią chwilę, wtedy on gotów duszę oddać. A już jeśli chodzi o mnie. . . dla mnie to on i gwiazdę z nieba dostanie! Ty myślisz — powiada — że ja już w ogóle żadnej władzy nad nim nie posiadam? Oto na przykład obiecał mi już dawno wyciągnąć Hodł z jej mężem z odległych guberni. On mi — mówi — przysiągł, że poświęci na ten cel tysiączne sumy, tylko pod tym warunkiem, że oni natychmiast wyjadą do Japonii.

— Dlaczego — pytam — właśnie do Japonii? Dlaczego nie do Indii albo na przykład do Padn Orom, do królowej Saby?

— Bo w Japonii on ma interesy — ona mi na to. — Co on dziennie wydaje — mówi — tylko na jedne depesze, starczyłoby dla nas — powiada — wszystkich na życie w przeciągu pół roku. Ale co mi z tego, kiedy ja nie jestem sobą?

— Wychodzi — powiadam — tak jak my to mówimy w *Pereku*: „Jeśli nie ja sobie, to któż dla mnie” — czyli ja nie jestem ja, ty nie jesteś ty — tak do niej powiadam z przypowieścią i cytatem, choć serce rwie się na kawałki patrząc na to,

jak moje dziecko biedne męczy się w tym dobrobycie i poważaniu... — Twoja siostra Hodł — mówię — nie zrobiłaby tak... — A ona przerywa mi, Bejłkie znaczy się, i mówi tak:

— Przecież ci już nieraz mówiłam — powiada — ażebyś mnie, tato, z Hodł nie porównywał. Hodł — mówi — żyła w czasach Hodł, a Bejłkie — powiada — żyje w czasach Bejłki. A od czasów Hodł — ciągnie dalej — do czasu Bejłki jest tak daleko — powiada — jak stąd do Japonii... Czy wyście zrozumieli znaczenie tego targum łoszn?

Słowem, widzę, że się spieszycie, panie; jeszcze tylko dwie minuty i koniec wszystkich baśni. Nasyciwszy się po gardło zgryzotami i zmartwieniami u mojej szczęśliwej mezynki, wyszedłem stamtąd „smutny i ze spuszczoną głową” — czyli połamany i zdruzgotany. Rzuciłem na ziemię cygareto, które zaczadziło mi głowę, i odezwałem się do niego, do cygara znaczy się, tak: „Bodajbyś szczeszło i bodaj cię diabli porwali!”

— Kogóż to tak błogosławicie, reb Tewje? — słyszę za plecami czyjś głos. Odwracam głowę, patrzę — to on Efraim szadchen, bodajby go licha porwało!

— Błogosławiony niechaj będzie przybywający — powiadam. — Co Żyd tutaj porabia?

— A wy co tu robicie? — on mi na to.

— Odwiedziłem — powiadam — swoje dzieci.

— Cóż oni porabiają? — pyta.

— A cóż — odpowiadam mu — mają robić? Oby Pan Bóg, bez szkody dla nich, nam też użyczył takiego życia!

— Jak widzę — on mi na to — toście wcale zadowoleni z mojego towaru?

— Jeszcze jak zadowolony — mówię. — Oby wam Pan Bóg ten czyn stokrotnie wynagrodził!

— Dziękuję wam — on mi na to — za błogosławieństwo, ale może byście tak do błogosławieństwa dołożyli jeszcze jakiś podarunek?

— A czyście — pytam — nic nie dostali za swą fatygę?

— Bodaj on więcej w majątku nie posiadał — mówi — ten wasz cały Pedocer.

— Bo co — pytam — mało wam zapłacił?

— Nie tyle że mało — mówi — ale że z dobrego serca widać dał te pieniądze!

— To znaczy?

— To znaczy, że już mi z tego — powiada — ani grosza nie pozostało.

— A gdzie się to — pytam — podziało?

— Córkę — mówi — za męża wydałem.

— *Mazł tow* wam — powiadam — oby Bóg dał, by stało się to w szczęśliwą godzinę, ażebyście — mówię — doczekali wiele radości i pociechy od nich... .

— Ładnej pociechy — on mi na to — doczekałem się... . Trafił mi się zięć szarlatan, bił, katował córkę, zabrał posag i uciekł — powiada — do Ameryki.

— Czemuż pozwoliliście mu tak daleko wyjechać? — pytam.

— A cóż — mówi — mogłem mu zrobić?
— A trzeba było — powiadam — posypać mu soli na ogon. . .
— Widać, że dobrze wam na sercu — on mi na to — reb Tewje?
— Bodaj — powiadam — o was to było powiedziane choć w połowie, Panie Wszechświata!

— A więc to tak? A ja was — powiada — szacowałem jako bogatego Żyda. W takim razie — mówi — poczęstujcie się szczyptą tabaki.

Pozbywszy się swata szczyptą tabaki pojechałem do domu i jałem wyprzedawać mój wieloletni dobytek. Wyobraźcie sobie, że nie tak prędko robi się to, jak mówi. Każdy garnek i każda błahostka kosztowała mnie kawał zdrowia. Ten przedmiot przypominał mi Gołdę, *ołów haszolem*, tamten przypomina dzieci, oby żyły długo. Ale żadna rzecz nie dała mi tak w kość, jak mój konik. Względem mego konika czułem się jakby winny. . . Jakże to tak? Przepracowałem razem z nim tyle lat, biedowaliśmy razem, razem mordowaliśmy się, a tu raptem weź i sprzedaj go! Sprzedałem go woziwodzie, gdyż od bałaguty można się tylko wstydu najeść! Przychodzę do nich chcąc im sprzedać konika, a oni powiadają:

— Pan Bóg z wami, reb Tewje, alboż to koń?

— A cóż to jest — pytam — świecznik?

— To nie koń i nie świecznik — oni mi na to — tylko łamedwownik.

— Co znaczy — pytam — łamedwownik?

— To znaczy — odpowiadają — starzec liczący lat trzydzieści sześć, bez śladu jednego zęba choćby, z siwą wargą, a trzęsie bokami jak stara Żydówka na mrozie w piątkowy dzień. . .

I jak wam się podoba takie gadanie? Mogę wam przysiąc, że biedna szkapina rozumiała każde słowo, jak w *Piśmie Świętym* pisze: „Zna wół nabywcę swego”, czyli każde bydłę czuje, że gospodarz chce je sprzedać. Najlepszy dowód mam na to, że gdy dobiłem targu z woziwodą mówiąc doń: „Oby było szczęśliwie”, mój konik odwrócił do mnie swą uroczą mordę, popatrzał na mnie niemym wzrokiem, jakby chcąc rzec: „I to jest nagroda za cały trud mój” — czyli tak oto odwdzięczasz mi się za moją służbę? Po raz ostatni spojrzałem na mego konika, jak to woziwoda wziął go w swe ręce, by zacząć uczyć go rozdziału *Balak*, to jest musztrować go, a gdy zostałem sam, pomyślałem sobie: „Panie Wszechmocny! Jakżeż mądrze Ty rządysz swoim światem! Stworzyłeś oto Tewje i stworzyłeś też, nie przymierzając, konika, a obaj mają jedną dolę na tym świecie. . . Tylko że człowiek ma usta i może się przynajmniej wygadać, pożalić, a koń — nie przymierzając — co? Niemy pysk, pożał się Boże, jak wy to powiadacie: "i przewaga człowieka nad bydłem", „

Patrzycie na mnie, panie Szolem Alejchem, że łzy mi w oczach stanęły, i myślicie sobie pewno: „Ten oto Tewje stęsknił się widocznie za swoim konikiem?” A dlaczego tylko za konikiem, człowieku? Wszystkiego mi tu żal i za wszystkim będę tęsknił. Będę tęsknił za szkapiną i będę tęsknił za wioską, będę tęsknił za

starostą i za uradnikiem, za letnikami z Bojarki, za bogaczami z Jehupca i nawet za Efroimem, za swatem, bodaj go epidemia dotknęła, bo w końcu, gdyby tak ktoś chciał się w to wgłębić, to on przecież jest tylko biednym Żydem szukającym zarobku. Gdy Pan Bóg da i gdy z woli Jego przybędę w pokoju tam, dokąd jadę, nie wiem jeszcze sam, co tam będę robił. Ale jedno jest pewne i jasne jak dzień, że przede wszystkim będę na grobie pramatki Racheli. Będę się modlił za moje dzieci, których już pewno nigdy nie zobaczę, i o nim też wspomnę, o Efroimie znaczy się, i o was, i o całym ludzie Izraela. Mogę wam na to dać swą rękę, tkias kaf. Bądźcie mi zdrowi i jedźcie zdrowo, i pozdrówcie każdego z osobna, ale to bardzo, bardzo przyjaźnie.

Napisane w 1909 roku.

Łech łecho

Serdeczny, szczerzy, przepiękny *szołem ałejchem* wam, panie Szołem Ałejchem! *Ałejchem weał bnejchem!* Już dawno was wypatruję. Nagromadziło się u mnie sporo towaru dla was. Jeszcze wciąż zapytuję siebie: „Jakże tak” — czyli dlaczego was nie widać? Ale powiedziano mi, że rozjeżdżacie po świecie, gdzieś po odległych krainach, jak my to mówimy w *Megile*: „Sto i dwadzieścia siedem krain. . .” Lecz zdaje mi się, że mi się jakoś dziwnie przyglądacie? Zastanawiacie się pewno w duchu: on czy nie on? On, panie Szołem Ałejchem, on! Wasz stary przyjaciel Tewje we własnej osobie; Tewje Mleczarz. Ten sam Tewje, tylko już nie mleczarz. Zwyczajny Żyd. Żyd jak każdy inny. . . Żyd, jak widzicie, nawet leciwy, lecz nie tak bardzo znów stary, jak my to mówimy w *Hagadzie*: „Toż wyglądam jako siedemdziesięcioletni” — czyli jeszcze dość daleko mi do siedemdziesiątki! A dlaczego włosy mi tak pobiełały? Wierzajcie mi, że nie z rozkoszy, drogi przyjacielu! Trochę własnych zmartwień, oby nie zgrzeszyć, a trochę zmartwień całego ludu Izraela! Ciężkie czasy! Złe, gorzkie czasy nastały dla Żydów! . . . Ale ja wiem, co was gnębi. Gnębi was co innego. Przypomnieliście sobie zapewne, iż pożegnaliśmy się kiedyś, przed moim wyjazdem do Ziemi Świętej. Toteż dlatego przypuszczacie, że widzicie Tewje już po powrocie stamtąd i łakniecie pewno usłyszeć nowiny z Ziemi Obiecanej. Pragniecie otrzymać pozdrowienie z grodu pramatki Racheli, z Mearat Hamachpela i jeszcze innych miejscowości? Wobec tego trzeba was uspokoić, a jeśli macie czas i chcecie usłyszeć o cudach, ale słuchać uważnie, z głową, jak w świętych księgach piszą: „Wysłuchaj mnie” — czyli wówczas sami też powiecie, że człowiek jest głupi i że mamy potężnego Boga, który rządzi całym światem.

Słowem, jaką sedrę czytają u was obecnie? *Wajikro*? A u mnie czytają inną sedrę: *sedre łech łecho*. „Idź sobie” — powiedziano mi — czyli odejdz, Tewje, „z twej ziemi” — to jest z twego kraju, „i z twojej ojczyzny” — czyli z twej wioski, w której urodziłeś się i przeżyłeś wszystkie swoje lata, „do kraju, który ci wskaże” — czyli dokąd cię oczy poniosą! . . . A kiedy przypomniano sobie, żeby powiedzieć Tewji ten oto posek? Akurat wtedy, gdy jest już stary i słaby, i samotny, jak my to mówimy w Rosz Haszana w modłach: „Nie opuszczaj nas w czas starości! . . .” Ale mieszam wam jedno z drugim i omal nie zapomniałem,

iż jesteśmy dopiero na samym początku i że wam jeszcze nie opowiedziałem, co słyhać w Ziemi Świętej. Cóż można słyszeć, przyjacielu drogi? Kraj — taki rok na nas! „Kraj mlekiem i miodem płynący” — jeszcze w *Torze* tak napisali. Tylko jeden mały feler, że Ziemia Święta jest w Erec Israel, a ja jestem, jak to widzicie, jeszcze na razie w *chuc toorec*. . . Tylko o Tewji chyba powiedziane jest w *Megile*: „Jako przepadłem — przepadnę” — czyli nieszczęśnikiem byłem i nieszczęśnikiem widać już umrę. . . Już stałem prawie jedną nogą po tamtej stronie, czyli na Ziemi Świętej, pozostało tylko kupić bilet, wsiąść na okręt i paszół! Cóż czyni Pan Wszechświata? Wziął, jak to zaraz usłyszycie, mój starszy zięć Motł Kamzojł, krawiec z Anatewki, i zaniemógł nagle. Zwaliło go. Zdrowy, świeży — a zmarł! — oby ani nas, ani żadnego Żyda Pan Bóg tak nie ukarał! Takim znów wielkim siłaczem to on nigdy nie był. No, co to już, pożał się Boże, w ogóle był za bohater? Rzemieślnik! Cały dzień boży siedział i „oddawał się *Torze* i służbie Pańskiej” — czyli uzbrojony w igłę i nitkę ślepl, za przeproszeniem, nad parą portek. Tak się to długo ciągnęło, póki nie zaczął schnać, kaszleć. . . Tak długo kaszlał, aż wypluł resztki płuc. Nie pomógł ani doktor, ani Tatarzyn, ani kozie mleko, ani nawet czekolada z miodem. Dobry z niego chłop był, choć prostak. Nie był biegły w nauce świętej, ale uczciwy i bez chytrności, kochał swoją córkę więcej niż własne życie! Poświęcał się dla dzieci, a jeśli o mnie chodzi, gotów był dla mnie choćby w ogień skoczyć!

Słowem, gdy powiedziałem, jak w *Piśmie Świętym* jest napisane: „Zmarł Mojżesz” — czyli gdy umarł Motł, pozostałem z odpowiednim spadkiem. Jakżeż mogłem nawet myśleć wtedy o wyjeździe do Ziemi Świętej? Miałem już Palestynę tu, na miejscu. Jak można zostawić, pytam was, córkę wdowę z małymi sierotami bez kęsa chleba? Chociaż jeśli zechcielibyśmy rozważyć tę rzecz dokładnie, to co ja jej mogę pomóc? Kiedy to dziurawy wór. . . Przecież ja jej męża nie ożywię, jej dzieciom ojca z tamtego świata też nie sprowadzę z powrotem, a samemu jest się też nie więcej niż grzesznym człowiekiem i chciałoby się na stare lata dać odpocząć złamanym gnatom, poczuć wreszcie, że jest się człowiekiem, a nie bydłem. Dosyć tej gonitwy! Dosyć myślenia wciąż tylko o tym świecie! Czas pomyśleć już trochę i o tamtym świecie, wielki czas! A zwłaszcza że pozbyłem się już częściowo mego dobytku: konia, jak wiecie, już dawno nie mam, krówki wyprzedałem do ostatniej, pozostała tylko para byczków, z których mogłoby kiedyś coś być, gdyby je odpowiednio karmiono, a tu nagle trzeba na stare lata stać się „opiekunem sierot” — czyli ojcem małych dzieci! To wy pewno myślicie, że na tym koniec? Nie spieszcie się tak bardzo! Najważniejsze i najlepsze zacznie się dopiero, ponieważ gdy Tewje spotka jedno nieszczęście, to wy już pewno wiecie, że pociąga ono za sobą jeszcze jedno. Jak na przykład wtedy, kiedy zdarzyło mi się to nieszczęście, iż zdechła u mnie krówka, to już potem, oby was Pan Bóg tym nie doświadczył, padła druga też. . . Tak już Najwyższy swój świat stworzył i tak już zostanie. Przepadło!

Słowem, historię z moją mezynką, z moją Bejłkie znaczy się, pamiętacie na pewno. Wiecie przecież, jaki to los wygrała ona na loterii. Dostała taką grubą rybę, takiego Pedocera, szyszkę, podriadczyka od wojny, który przywiózł do Jehupca pełne wory, zakochał się w mojej córce, gdyż chciał urodziwą żonę, posłał do mnie swata Efroima — oby imię jego zostało wyklęte — objął progi, omal go szlag nie trafił, wziął ją gołą i bosą, w tym, w czym stała, obsypywał podarunkami od stóp do głów, diamentami i barliantami, zdawać by się mogło — szczęście, co? No, to z tego całego szczęścia ma się rozumieć wyszło nic, błoto, ale to jakie! Takie bagno, że niech Pan Bóg uchowa! No, bo jeśli Panu Bogu się spodoba, to kółko przeznaczenia odwraca się i wszystko idzie na opak, jak my to mówimy w *Halelu*: tylko co zdawać by się mogło było, „który wznosi z prochu nędzarcza”, lecz zanim się człowiek obejrzał, już nim grzotnęło w dół: „Na niskości patrzy na niebie i na ziemi” — czyli leży głęboko w ziemi wraz z postronkami... Wszechmocny lubi poigrać z człowiekiem. Oj, jeszcze jak lubi! Tak też igrał z Tewją wiele razy: „Wznoszą się wzwyż i schodzą w dół” — czyli w górę i na dół nim rzucał! Tak samo było z moim zięciem, z podriadczykiem, z tym Pedocerem. Przypominacie sobie zapewne jego potęgę i jego siedzibę z trzynastoma służącymi, ze zwierciadłami i zegarami, i z różnymi cackami w Jehupcu? Fiu, fiu! Pamiętacie, jak to wam opowiadałem, iż namawiałem wówczas moją Bejłkę, prosiłem ją, ażeby dopilnowała, by dom ten został zakupiony, i jak jej Bóg miły, na jej imię? No i co? Czy posłuchała mnie? Akurat tak, jak Haman słucha grzechotania w Purim. Bo co tam ten ojciec rozumie? Ojciec niczego nie pojmuje! A jak wam się zdaje, czym się to wszystko skończyło? Skończyło się tak, że gdziekolwiek macie jakiegoś wroga, możecie mu życzyć, ażeby spotkało go to, co ich. Nie dość, że zbankrutował z tej całej szarpaniny i lataniny, wyprzedał wszystkie lustra i wszystkie zegary oraz barlianty i diamenty żony, że się zblamował okrutnie, musiał jeszcze zostać uciekinierem, oby Pan Bóg uchronił od tego wszystkich Żydów, i zwiąć tam, gdzie diabeł dobranoc mówi — czyli do Ameryki. Tam przecież uciekają wszyscy osobnicy o zbolałych sercach, więc i oni tam pojechali!

Zrazu dobrze się namęczyli, ile pozostało jeszcze gotówki — przejedli, a gdy już nie było co do ust włożyć, musiano się zabrać do roboty. Harowali jak katorżnicy, jak Żydzi w niewoli egipskiej. Oboje. On i ona! Teraz ona pisze, że już im, chwała Bogu, nie najgorzej się wiedzie. Oboje wyrabiają pończochy na takiej maszynie i... „robią życie”, tak się tam mawia, w Ameryce. Po naszymu będzie się to nazywało: na kawał chleba zawsze starczy. Całe szczęście, że jest ich tylko dwoje — pisze ona — bez dziecka. „I to ku dobremu” — czyli dobre i to! No i pytam ja was, czy nie mam racji, kiedy mówię, że bodaj diabli porwali ciotkę jego wuja?... Mam na myśli Efroima, tego swata, za to, że mi nastreczył takiego zięcia, i za to bagno, w które mnie wciągnął! Czy byłoby jej źle, gdyby wyszła za męża za rzemieślnika na przykład, jak Cejtł, albo za nauczyciela, jak Hodł? Że co, że te też nie osiągnęły takiego szczęścia? Jedna została młodą wdową, a druga

jest zesłana na *posielienije*? Toż taka przecież wola boża i który człowiek może się przed tym zabezpieczyć? Słyszycie — mądrą niewiastą była moja żona, moja Gołde, *ołow haszołem*, już chociażby tylko dlatego, że zawczasu rozejrzała się, pożegnała z tym głupim światem i poszła sobie hen, tam! No, bo powiedzcie sami, czy to nie o wiele lepiej leżeć w ziemi i piec obwarzanki, niż rozkoszować się tutaj wszystkimi utrapieniami, które przysparzają córki, tak jak to Tewje spotkało?... Lecz jak tam piszą w *Pereku*: „Wbrew swej woli żyjesz” — czyli człowiek sam sobie niczego nie bierze, a jeśli próbuje — dostaje po łapach. . .

Tymczasem zesłaliśmy z traktu, więc powróćmy do naszej pierwszej sprawy — czyli pozostawmy, jak to wy w swoich książkach mówicie, królewicza i wróćmy do królowny. Gdzieżeśmy się zatrzymali? Przy *sedre lech lecho*. Ale zanim dojdziemy do *sedre lech lecho*, poproszę was, ażebyście się zatrzymali ze mną przy rozdziale *Balak*. Wprawdzie, jak świat światem, istnieje inny porządek. Najpierw czytamy rozdział *Lech lecho*, a potem dopiero *Balak*; cóż, kiedy mnie uczono na odwrót: najpierw *Balak*, a potem *Lech lecho*. A uczono mnie tego tak pilnie, że możecie posłuchać, jak się to odbyło. Czasem może się to przydać.

Słowem, było to dawno temu, tuż po wojnie, w najgorętszym okresie kosnetucji, kiedy to Żydom zaczęła „sprzyjać łaska i ocalenie”, najpierw w wielkich miastach, potem w małych miasteczkach, lecz do mnie to nie doszło i dojść nie mogło w żaden sposób. Dlaczego? Bo tak! Bo to przecież jasne! Tyle czasu mieszka się wśród chłopów, czyli wśród Edomitów, to się przecież człowiek zna z każdym z nich i zżywa się z każdym wiejskim gospodarzem. „Przyjaciół duszy, ojciec miłosierny!” „Batuszka Tewel” to u nich najważniejsza persona! A jakżeż może być inaczej? Potrzeba czyjejś rady — „jak Tewel skaże” — lekarstwo przeciw gorączce — „do Tewela”, parę groszy pożyczyć — też u Tewji. No, to czy po tym wszystkim powinienem się być obawiać takich rzeczy, jak pogromy? Głupstwo! Toż oni sami, goje znaczy się, nieraz mi mówili, żebym się wcale a wcale nie obawiał, ani do tego nie dopuszczają!... I tak też było. A teraz usłyszycie coś ciekawego.

Słowem, wracam kiedyś z Bojarki do domu, byłem jeszcze wtedy w okresie swej „możności”, to jest, jak wy to powiadacie, obrośnięty w piórka, handlowałem jeszcze wtedy nabiałem, serem, masłem i inną zielenizną; wyprzęgnąłem szkapinę, podrzuciłem jej nieco siana i owsa, nie zdążyłem się nawet umyć i posilić, gdy ujrzałem, że całe moje podwórko zapełniło się chłopami. Cała hromada, wszyscy najprzedniejsi gospodarze, od starosty Iwana Poperyły do najostatniejszego pastucha Trochima, a wszyscy jakoś dziwnie wyglądają, jakoś niezwykle uroczyście!... Na początku serce zatrzepotało we mnie nawet: co to za święto ni stąd, ni z owąd? Czy nie przyszli przypadkiem zabrać się do nauczania mnie znanego rozdziału *Tory Balakl*. . . Ale wtem połapałem się i pomyślałem sobie w duchu: „Fe, Tewje! Czy ci nie wstyd przed samym sobą? Przez wszystkie lata mieszka Żyd wśród — nie przymierzając — gojów w spokoju i bezpieczeństwie, nikt go nawet

palcem nie tknął, żebyście powiedzieli, żeby mi kiedyś włos z głowy spadł...”
Toteż wyszedłem na ich spotkanie witając ich gościnnie:

— Błogosławieni niechaj będą przybysze — rzekłem. — Co was do mnie sprowadza, moi mili gospodarze? Co powiecie dobrego? Co nowego opowiecie?

Na to starosta Iwan Poperyło występuje naprzód i powiada bez żadnego wstępu:

— Przyszliśmy — mówi — do ciebie, Tewel, bo chcemy cię bić.

I co wy powiecie na takie gadanie? U nas nazywa się to *łoszn sagi noher*, czyli „język ślepców”. . . Jak zrobiło mi się wtedy na duszy po tych słowach, możecie sobie chyba wyobrazić. Ale zdradzać się przed nimi z czymś — fe! Na odwrót! Tewje nie jest chłopaczkiem. . . Odzywam się więc doń z ozywieniem:

— *Mazł tow* wam — powiadam — a czemu tak późno przypomniałiście sobie o tym, moi mili? W innych miejscowościach — mówię — już dawno o tym zapomniano!

A na to starosta, Iwan Poperyło znaczy się, odezwał się całkiem poważnie:

— Myśmy — powiada — Tewel, zastanawiali się, rozumiesz mnie, nad tym, czy należy cię bić, czy nie? Wszędzie, w każdej miejscowości biją was, więc dlaczego — powiada — mielibyśmy cię zostawić niebitego? . . . No i hromada postanowiła — mówi — bić cię. . . Tylko co? Jeszcze sami nie wiemy, co z tobą, Tewel, zrobić! Czy tylko szyby ci wybić — prawi — rozpruć pierzyny i poduszki, wypuszczając z nich pierze, czy podpalić ci — mówi — chatę i stajnię, i cały twój dobytek.

Słowem, po tym wszystkim zrobiło mi się bardzo nieswojo. Przyglądam się moim gościom, jak to oni stoją wsparci o swe długie kije i szepczą po cichu. Wygląda na to, że wcale nie żartują. . . Skoro tak, myślę sobie, to będzie przecież tak, jak mówimy w *Tehilim*: „Wody sięgnęły po samą duszę” — czyli to ty przecież, Tewje, okrutnie, brzydko wpadłeś! Ponieważ, jeśli tylko co — oby nie w złą godzinę wyrzec te słowa — to czy można się czegoś dobrego spodziewać po nich? „E, Tewje, — myślę sobie — z aniołem śmierci nie należy igrać — trzeba im coś odpowiedzieć!” I po co wam tu długo przewlekać tę całą historię, drogi przyjacielu. Widać przeznaczone było, ażeby stał się cud, dlatego też Najwyższy natchnął mnie taką myślą i sprawił, iż nie upadłem na duchu. Nabrałem odwagi i odezwałem się do nich, do gojów znaczy się, właśnie po dobremu:

— Posłuchajcie, czcigodni — zacząłem. — Otóż moi drodzy gospodarze, skoro — ciągnę dalej — hromada tak postanowiła, to przecież nic się tu nie da zrobić — prawię. — Wy pewno lepiej wiecie — powiadam — że Tewje zasłużył sobie na to, żebyście zniszczyli — mówię — cały jego dobytek, całą chudobę. . . Ale że co? — pytam. — Czy wy wiecie, iż istnieje coś ważniejszego od waszej hromady? Czy wy wiecie — pytam dalej — że jest Pan Bóg w niebie? Nie mówię tutaj — powiadam — o moim Bogu ani o waszym Bogu, lecz mam na myśli w tej chwili Jedyne, Wszechmocnego Boga — mówię — Pana Wszechświata,

który siedzi — prawie — tam w wysokościach i przygląda się wszystkim podłociom — powiadam — które dzieją się tutaj na dole... Bardzo nawet możliwe — powiadam — że to On, we własnej osobie, tak zarządził i pragnie, ażebym niewinnie skrzywdzony został przez was, przez moich najlepszych przyjaciół. Lecz może też być — prawie — akurat na odwrót, to jest, że On w żaden sposób nie życzy sobie, by Tewji zło wyrządzono... Któż — pytam — wiedzieć może, jaka jest wola boska? No, proszę — mówię — może znajdzie się wśród was choć jeden, który podejmie się — powiadam — dociec tu prawdy?...

Słowem, pojęli widać, że Tewje nie tak łatwo przegadać, przeto odezwał się do mnie starosta Iwan Poperyło tymi oto słowy:

— Historia tego — zaczyna — jest taka: właściwie to my do ciebie, Tewel, nic nie mamy. Ty jesteś — powiada — wprawdzie Żydem, ale niezłym człowiekiem. Lecz jedno z drugim — mówi — nie ma nic wspólnego. Bić ciebie, wszystko jedno, trzeba; hromada tak postanowiła i koniec! Przynajmniej wybijemy ci szyby. Musimy — prawi — to zrobić, bo gdyby ktoś tędy przejeżdżał — powiada — a ujrzał, żeśmy ciebie nie bili, mógłby nas jeszcze osztrafować... Tak, że coś musimy zrobić, ażeby nam kary nie wymierzono...

Tymi oto słowami i w ten oto sposób, jak wam opowiadam, oby mi tak Pan Bóg dopomógł we wszystkim, co uczynić zamierzam! A teraz pytam was, panie Szolem Alejchem, przecież jesteście Żydem, co to *kotoryj* objeżdżacie świat cały, to czy Tewje nie ma racji, gdy powiada, iż mamy potężnego Boga?...

A więc skończyłem wam historię o sedrze *Balak*. Wobec tego powróćmy do *sedre tech techo*. Tego rozdziału uczono mnie niedawno i nie na żarty. Tu już nie pomogły, rozumiecie, żadne kazania i żadne przestrogi. A rzecz, która się wydarzyła, tak się oto miała. Trzeba wam to opowiedzieć dokładnie, z wszystkimi szczegółami, „jak polubiłem” — czyli jak wy to lubicie.

Działo się to „za dni Bejlisa” — czyli że było to akurat wtedy, gdy Mendel Bejlis, nasz kozioł ofiarny, przechodził męki piekielne i oczyszczał swą duszę z cudzych grzechów, kiedy to na całym świecie kotłowało się... Otóż wtedy właśnie siedziałem sobie tak na przyzbie przy mojej chacie, pogrążony w dumach. Letnia pora, słońko praży, a w głowie wciąż tylko jedna myśl: Jakże to tak i jak to być może, i jakże to się tak dzieje! W dzisiejszych czasach! Taki mądry świat! Tacy wielcy ludzie! A gdzie jest Bóg? Ten stary, żydowski Pan Bóg? Czemu i On milczy? Jakżeż On mógł do tego dopuścić? Czemu i dlaczego, i jeszcze raz dlaczego? A gdy człowiek myśli o Bogu, musi też wgłębić się w sprawę niebios i zacząć dociekać, co to jest świat, mam na myśli ten świat? A co to jest tamten świat? I dlaczego nie miałby przyjść Mesjasz? „Ach — myślę sobie — postąpiłby istotnie jak mędrzec ów Mesjasz — myślę — gdyby tak zjawił się u nas teraz, na swym białym rumaku! A to by była dopiero wspaniała rzecz! Nie wiem, jak tam bogacze, Brodzczy na przykład w Jehupcu czy Rotszyldowie w Paryżu? Bardzo być może, że zależy im na Nim jak na zeszłorocznym śniegu; ale my, biedni Ży-

dzi z Kasrylewki i Mazepewki, ze Złodijewki i nawet z Jehupca, a nawet z Odessy, wyglądamy Go, wypatrujemy każdej chwili! Po prostu oczy wyłazą na wierzch od wypatrywania! Toż nasza cała nadzieja teraz jest tylko w tym, że Pan Bóg uczyni wreszcie cud i ześle nam Mesjasza. . .”

A gdy tak siedzę pogrążony w tych myślach, patrzę, biały koń i jakiś jeździec na nim. Wtem jeździec zeskakuje z wierzchowca i wali prosto w kierunku mojej chaty! Tprrru! Zatrzymał się, uwiązał konia przy bramie, a sam zwraca się do mnie:

— *Zdrastoj, Tewel!*

— *Zdrastoj, zdrastoj, wasze błagorodije* — odpowiadam wylewnie, a w duchu myślę — „i przybył Haman”, a na to Raszi powiada: „Gdy człowiek wypatruje Mesjasza, zjawia się właśnie uriadnik. . .” Podniosłem się na spotkanie, uriadnika znaczy się, i rzekłem:

— Błogosławione niechaj będzie twe przybycie, zacny gościu — powiadam. — Co słyszeć na szerokim świecie — mówię — i co dobrego powiesz, mój czcigodny panie? — A serce omal mi z piersi nie wyskoczy, chciałbym już wiedzieć, o co idzie i co, i jak. . . Ale on, czyli uriadnik, ma widać dużo czasu. Zapalił spokojnie papierosa, wypuszcza kłęby dymu, wreszcie splunął i odezwał się do mnie:

— Ile czasu, na przykład, potrzeba ci, Tewel, na sprzedaż — mówi — twojej chaty i wszystkich twoich bebechów?

A ja patrzę nań i pytam go:

— A po co — mówię — miałbym sprzedawać swoją chatę? Komu — pytam — na przykład, ona zawadza?

— Nikomu ona — powiada — nie przeszkadza i nie zawadza. Lecz przyszedłem — mówi — wysiedlić ciebie ze wsi.

— Tylko tyle — pytam — i nic więcej? Za jakie takie chwalebne czyny? Czym — mówię — zasłużyłem u ciebie na taki zaszczyt i wyróżnienie? . . .

— To nie ja cię stąd wysyłam — on mi na to — tylko gubernia.

— Gubernia? — pytam. — A cóż gubernia zobaczyła we mnie takiego?

— Nie tylko ciebie — powiada — i nie tylko stąd, ale ze wszystkich okolicznych wiosek: ze Złodijewki — wylicza — z Rabiłewki, z Kostołomowki; a taka Anatewka — mówi — co dotychczas była miasteczkiem, teraz została — powiada — wsią i wygonią — prawi — stamtąd wszystkich, wszystkich waszych. . .

— Nawet rzeźnika Lejzera Wółfa też? — pytam. — I kuternogę Naftole Gerszona? I tamtejszego rzezaka rytualnego? I rabina?

— Wszystkich! Wszystkich! — odparł robiąc ręką ruch jak nożem uciął. . . Zrobiło mi się, przyznaje, nieco lżej. Jak to wy powiadacie: „Nieszczęście ogółu jest połową pociechy”. Lecz mimo wszystko boli mnie to bardzo i ogień we mnie płonie, a po krótkim wahaniu odezwałem się doń, do uriadnika znaczy się, tak:

— Powiedz mi no, czy ty — powiadam — wiesz przynajmniej o tym, *wasze błagorodije*, że ja mieszkam w tej wiosce dłużej od ciebie? A czy tobie wiadomo — pytam — że tu, w tym zakątku, mieszkał jeszcze błogosławionej pamięci ojciec mój — powiadam — i błogosławionej pamięci dziadek mój, i babka.. — I nie leniąc się wcale wyliczam mu całą rodzinę po imieniu, wskazując, gdzie kto mieszkał i gdzie kto zmarł. . . On mnie nawet wysłuchał, uriadnik znaczy się, dość spokojnie, a kiedy skończyłem, odezwał się do mnie tak oto:

— Ciekawy z ciebie Żyd, Tewel — powiada — a gaduła jesteś jak rzadko kto. Na co mi te bajki — mówi — o twoim dziadku i babce? Niechaj — powiada — spoczywają w świetlanym raju! A ty, Tewel, weź — powiada — bebechy i jedź, jedź na Berdyczów!

To mnie jeszcze bardziej zabolalo: nie dość, że ty mi tu, Ezawie jeden, taką dobrą nowinę obwieściłeś, to jeszcze w dodatku pokpiwasz sobie: „Jedź na Berdyczów!” Niechże mu przynajmniej wygarnę, co mi ślina na język przyniesie.

— *Wasze* — powiadam — *błagorodije!* Czy od czasu, gdy jesteś tu panem nad nami — pytam — słyszałeś może — mówię — dużo razy, że ktoś z sąsiadów żali się na mnie, że ktoś narzeka, iż Tewje okradł go, uskarża się, że go obrabowałem, wyłudziłem coś u kogo, czy po prostu coś komuś zabrałem? Zapytaj no — prawie — gospodarzy, czy nie żyłem z nimi lepiej — powiadam — od najbardziej poważnych mieszkańców tej wioski? Czy nie byłem — mówię — mój czcigodny panie, u ciebie osobiście — prawie — niejednokrotnie wstawiając się za chłopów i prosząc, ażebyś ich nie krzywdził?

To mu widocznie nie poszło w smak, więc wstał, uriadnik znaczy się, zmiął papierosa palcami, wyrzucił go i rzekł:

— Nie mam — powiada — czasu bałakać z tobą o głupstwach. Otrzymałem — mówi — papierek, a co dalej — to mnie nie obchodzi i wiedzieć o niczym nie chcę! Chodź — powiada — i podpisz mi — mówi — papierek! A czasu na przygotowanie się do wyjazdu daję ci — prawi — trzy dni, ażebyś mógł — mówi — wszystko wyprzedzić i przygotować się w drogę.

Widząc, że źle, odezwałem się do niego w te słowa:

— Dajesz mi — mówię — trzy dni? Obyś trzy lata — powiadam — żył za to w dobrobycie i poważaniu. Oby ci Pan Bóg — powiadam — w dwójnasób wynagrodził — mówię — za tę radosną wieść, którą mi aż do domu przyniosłeś. . . — Wygarnąłem mu porządnie wszystko, jak to Tewje potrafi! Pomyślałem sobie: toż wszystko jedno, już jestem, jak się to mówi, Motie Parch — cóż więc tu mogę stracić? Gdybym przynajmniej był młodszy o jakie lat dwadzieścia i gdyby mi żyła moja Gołde, *ołow haszołem*, i gdybym to ja był ten Tewje Mleczarz co ongiś, w latach onych — che, che! Tobym się tak łatwo nie poddał! Mocowałbym się, biłbym się do krwi! Ale tak — co? „Cóż my znaczymy i co nasze życie znaczy” — czyli kim ja dziś jestem i czym ja dziś jestem? Cząstka ciała, połamany grat, pogruhotany szkielet! „Ach ty, *Ribojno szel ojłom*, Boże ty nasz! — pomyślałem

sobie. — Czemu przyczepiłeś się akurat do Tewji? Dlaczego byś nie miał czasem, dla ciekawości, pobawić się z takim Brodzkim na przykład albo z Rotszyldem? Dlaczego ich nikt nie uczy rozdziału *Lech lecho*? Zdaje mi się, że im to bardziej przystoi! Po pierwsze, poczuliby prawdziwy smak tego, co znaczy być Żydem, a po wtóre, niechaj i oni przekonają się, iż mamy potężnego Boga. . .”

Słowem, to wszystko razem jest tylko pustą gadaniną. Ze Stwórcą nikt się nie kłóci, Jemu nikt rad nie udziela i nie uczy Go, jak należy światem rządzić, albowiem On rzekł: „Moje są niebiosa i moja jest ziemia” — czyli że On jest gospodarzem, a my musimy Go słuchać. Co On powie — powiedziane jest! Wchodzę więc do domu i powiadam do mojej owdowiałej córki:

— Cejtł — powiadam — przeprowadzamy się — mówię — stąd do miasta. Dość siedzenia na wsi — mówię — „zmiana miejsca pobytu — to zmiana przeznaczenia. . .” Ty lepiej — prawię — zacznij zawczasu szykować pościel, samowar i inną zieleniznę, a ja — mówię — pójdę sprzedać chatę. Przyszedł — powiadam — papierek i każą nam oczyścić to miejsce — powiadam — do dni trzech, i żeby tu śladu po nas nie pozostało! . . .

Moja córka usłyszawszy tę nowinę jak nie zacznie lamentować, a jej dziatki, na nią patrząc, jak nie zaczną zawodzić, że co wam tu dużo opowiadać, w domu było niczym w Tisze Beaw! To mnie już rozzłościło do reszty, toteż całe swoje zgorzkniałe serce wylałem w kłótni z nią, z moją córką znaczy się:

— Cóżeście się — wołam — na moje życie uwzięli? Cóżeście się — pytam — rozbeczeli nagle ni stąd, ni owąd, jak stary chazen podczas pierwszych Selichot. . . Cóż to ja jestem jedynakiem — powiadam — u Pana Boga? Wychuchanym beniaminkiem? Mało Żydów wyganiają teraz z wiosek? Idź, posłuchaj — mówię — co uriadnik naopowiadał! Wygląda na to — powiadam — że twoja Anatewka, która dotychczas była miasteczkiem, też już jest z boską pomocą wsią — mówię — gwoli tamtejszym Żydom — powiadam — ażeby ich można było stamtąd wysiedlić. A skoro tak — prawię — to czymże ja gorszy jestem od wszystkich innych Żydów?

Tak oto sobie ulżyłem opowiadając o wszystkim swej córce. Ale co z tego, kiedy ona jest tylko kobietą i na to wszystko rzekła do mnie:

— Dokąd się będziemy — mówi — przeprowadzali raptem, ni stąd, ni z owąd? Gdzie my — pyta — będziemy szukać tego miasta?

— Głupiaś! — ja jej na to. — Gdy Pan Bóg objawił się praojcu naszemu Abrahamowi i rzekł doń — powiadam — *lech lecho mearcecho* — czyli odejdz precz ze swego kraju, to czy Abraham — mówię — rzekł mu chociażby jakieś słowo? Czy go zapytał, dokąd? Pan Bóg rzekł doń — prawię — „do kraju, który ci wskaże” — co znaczy: *Na wsie cztery storony*. . . Pójdziemy — mówię — gdzie nas oczy poniosą, tam, dokąd wszyscy Żydzi idą! Co się stanie — powiadam — z ogółem Izraela, to spotka i reb Izraela. A czym — pytam — ty jesteś bardziej godna szacunku od twej bogatej siostry Bejłki? Jej wypada — prawię —

poniewierać się ze swym Pedocerem w Ameryce i „robić życie”, a tobie nie wypada?... Chwalić Tego, czyje Imię niechaj będzie błogosławione — mówię — że mamy się przynajmniej czym ruszyć. Trochę — ciągnę dalej — pozostało z dawnych dni, trochę pozostało ze sprzedaży chudoby, a trochę kapnie ze sprzedaży chatki. Trochę i trochę — prawie — a zbierze się pełna misa. „I to też ku dobremu!” A gdybyśmy nawet — mówię — niczego, broń Boże, nie posiadali, to nam jeszcze zawsze — powiadam — lepiej niż Bejlisowi!...

Słowem, przekonałem ją jakoś, że nie należy się upierać. Wytłumaczyłem jej na rozum, że gdy przychodzi urzadnik, przynosi papierek i każe się wynosić precz, nie można być wieprzem i trzeba iść. Sam zaś poszedłem na wieś załatwić sprzedaż chaty. Udałem się od razu do Iwana Poperyły, do starosty znaczy się. Jest zamożnym gospodarzem i przepada za moim domem! Gdy przyszedłem do Iwana, nie opowiedziałem mu naturalnie o niczym — toż ja jestem mądrzejszy od niego — tylko rzekłem doń tak:

— Niechaj ci będzie wiadomo, Iwan, serce, że was porzucam. ...

A on mi na to:

— A to dlaczego?

— Wyprowadzam się — ja mu na to — do miasta. Chcę — powiadam — być wśród Żydów. Nie jestem już młodzieniaszkim — mówię — a jeśli, broń Boże, człowiek umrze. ...

A on znowu:

— A dlaczego byś nie miał tutaj umrzeć?

Podziękowałem mu pięknie i rzekłem:

— Już lepiej ty umieraj tutaj — powiadam. — Ty jesteś bardziej poważany ode mnie, a ja — prawie — wolę pójść umierać wśród swoich. Odkup — mówię — Iwanu, moją chatę z ogrodem. Innemu — powiadam — nie sprzedałbym, ale tobie tak!

— Ile — pyta — chcesz za chatę?

— A ile — ja mu na to — dałbyś za nią?

Gadało się i tak, i siak. On do mnie: ile żądasz? Ja do niego: ile dasz? Zaczęliśmy się targować, walić po prawicy, o rubla mniej, o rubla więcej, aż ustaliliśmy cenę. Wziąłem u niego wcale pokaźną sumkę w zadatku, ażeby się, broń Boże, potem nie wyparł — toż ja jestem mądrzejszy od niego... I tak sprzedałem w przeciągu jednego dnia, ma się rozumieć za pół darmo, cały dobytek. Wszystko zamieniłem w pieniądź i poszedłem wynająć furmankę, by zabrać pozostałe graty.

A teraz dopiero usłyszycie coś ładnego, coś, co może się przytrafić tylko Tewji! Tylko słuchajcie uważnie, a już was długo nie będę zatrzymywał, lecz opowiem o tym, jak to wy mówicie: *biszłoszo deworim* — czyli w dwóch słowach.

Słowem, przed wyjazdem przychodzę do domu, patrzę: nie dom, a ruina! Ściany ogołoczone, zdają się niemal płakać rzewnymi łzami! Na podłodze paczki, pakunki i tłumoki! Na przypiecku siedzi kotka jak sierota. Zasmucona, biedactwo,

aż mnie serce zabolalo i łzy w oczach stanęły... Gdybym się tak nie wstydził córki, tobym się porządnie wypłakał, jak to wy powiadacie, przecież to jednak *bat'kiwyszczyna!*... Tutaj wyrosłem, tu nabiedowałem się przez całe życie i raptem — *lech lecho*, idź precz! Mówcie, co chcecie, ale to jednak bardzo bolesna sprawa... Tylko że Tewje to nie żadna baba, przeto powstrzymałem się, dodałem sobie animuszu i niby to wesoło odezwałem się do mojej owdowiałej córki:

— Chodź no tutaj — zawołałem — Cejtł! Gdzie ty się podziewasz? — A ta wychodzi z alkierzyka, Cejtł znaczy się, z zaczerwienionymi oczami i spuchniętym nosem. Aha, pomyślałem sobie, moja córka już się tu znowu rozkrochmała, jak Żydówka podczas Unetana Tokef! Te baby, wiecie, to wam nie bagatelka! Byle co — już płaczą! Tanie łzy mają!

— Głuptasku — mówię — czemuż ty znowuż płaczesz? No, czy ty nie jesteś głupia? — powiadam. — Pomyśl no sama, jaka jest różnica między tobą a Bejlisem.

Lecz ona nie chce mnie wysłuchać i powiada:

— Tato, ty nie wiesz, czemu ja płacę... .

A ja jej na to:

— Wiem, wiem bardzo dobrze, czemu płaczesz — powiadam. — Żal ci domu... . Tutaj — mówię — na świat przyszedłeś, tutaj wyrosłeś — dlatego boli cię to!... . Wierżaj mi — prawie — że gdybym nie był Tewją, gdybym był innym człowiekiem, tobym sam także — powiadam — całował te gołe ściany i próżne półki... . Przypadłbym — mówię — do tej ziemi!... . Żal mi — powiadam — każdego kącika, tak samo jak tobie. Głuptasku! Nawet tej kotki — mówię — widzisz, jak to ona siedzi tam, niczym osierocona, na przypiecku? Niemy stwór, zwierzę — mówię — a jednak litość ogarnia mnie, gdy przypominam sobie, że pozostaje tu bez gospodarzy! Toż to męka żywego stworzenia... .

— Wyobraź sobie, że jest tu ktoś — mówi — bardziej godny litości... .

— To znaczy?... .

— To znaczy, że my wyjeżdżamy — powiada — i zostawiamy tu człowieka samotnego, jak ten głaz.

Ja wciąż nie rozumiem, o co jej chodzi, i odzywam się do niej:

— Co ty pleciesz? — pytam. — Co za androny, jacy samotni ludzie? Jakie znowu głazy?

A ona mi na to:

— Tato, ja nie mówię od rzeczy. Mówię o naszej Chawie... .

A gdy tylko wymieniła to imię, przysięgam wam, że poczułem, jak gdyby mnie ktoś warem oblał, jakby mnie ktoś polanem po głowie zdzielił! Napadłem na córkę i nagadałem jej, co tylko mogłem.

— Co to za Chawa nagle? — zawołałem. — Przecież powiedziałem — mówię — i to niejednokrotnie, że Chawa ani wspomniana, ani nazwana być nie może w tym domu!

To wy pewno myślicie, że ona się złąła? Ani jej się śniło! Córki Tewji posiadają nie lada siłę.

— Tato — powiada — ty się tylko nie unoś tak bardzo i przypomnij sobie lepiej, co mówiłeś — prawi — i niejeden raz; twierdziłeś, że w księgach świętych piszą o tym, iż człowiek powinien litować się nad swym bliźnim, jak lituje się ojciec nad dzieckiem swoim. . .

Słyszeliście, co to za słowa? Ale mnie rozłościło to jeszcze bardziej i wzburzyło jeszcze bardziej, więc zawołałem gromiąc ją, jak sobie na to zasłużyła:

— O litości ty mi tu będziesz prawiła? A gdzie — powiadam — była jej litość, gdy ja tarzałem się jak pies u stóp popa, oby imię jego zostało wyklęte, całowałem jego nogi, a ona być może — powiadam — znajdowała się wtedy w sąsiednim pokoju i może nawet słyszała każde moje słówko? . . . Albo gdzie była jej litość, kiedy mama, *ołow haszolem*, leżała — mówię — na ziemi czernią przykryta? Gdzie ona wtedy była? A te noce — powiadam — które przez nią nie przespałem? A ból — mówię — który mnie zżerał przez ten cały czas też po dzień dzisiejszy, ilekroć przypominałem sobie — powiadam — co ona mi zrobiła, na kogo nas zamieniła. . . Gdzież — pytam — była jej litość nade mną?

I serce ścisnęło mi się boleśnie, nie byłem w stanie słowa wydobyć. . . To wam się pewno zdaje, że córka Tewji zapomniała języka w gębie i nie znalazła odpowiedzi na to wszystko?

— Przecież sam — mówi — powiadasz, tato, że temu człowiekowi, który wyraża skruczę, sam Pan Bóg przebacza jego złe czyny. . .

— Skruczę? — mówię. — Za późno! Gałązka raz zerwana z drzewa musi — powiadam — uschnąć! Liść — mówię — który spadł z drzewa, musi zbutwieć, i więcej — powiadam — nie mów ze mną o tym, albowiem „aż do tego miejsca mówi się w Wielką Sobotę!”

Słowem, widząc, że gadaniem nic nie wskóra, że Tewje nie należy do ludzi, których można słowami przegadać, córka moja jak nie padnie mi na szyję, jak nie zaczniesz całować mnie po rękach i wołać:

— Ojczy — mówi — bodajby mnie nigdy dobrze nie było, bodajbym skonała na tym miejscu, jeśli i teraz — powiada — odtrącisz ją, jak wtedy w lesie, gdy — mówi — ona rwała się ku tobie, a ty podciąłeś szkapinę i uciekłeś od niej! . . .

— Co to za kleszcz jakiś uczepił się mnie dziś? Co za dopust boży?! Cóż się uwzięła — wołam — na moje życie?!

A ona nie puszcza mnie, przytrzymuje obie ręce, mówiąc wciąż jedno i to samo:

— Bodajby nigdy dobra nie zaznała, bodajby umarła — woła — jeśli jej nie przebaczysz — powiada. — Przecież jest twoją córką, jak ja!

— Co ty chcesz od mojego życia? — krzyczę. — Ona nie jest więcej moją córką! Ona już — wołam — dawno umarła!

— Nie — mówi — ona wcale nie umarła i jest nadal twoją córką — powiada — jak i przedtem; gdyż od pierwszej chwili — prawi — kiedy dowiedziała się, że nas wysiedlają stąd, postanowiła, że i ją też wysiedlą razem z nami. Tam gdzie my będziemy, tak mi Chawa powiedziała, tam i ona będzie. Nasze wygnanie jest jej wygnaniem. . . Najlepszy dowód — mówi — masz tato, że jest już nawet paczka z jej rzeczami. . .

Tak powiada do mnie moja córka, Cejtł znaczy się, jednym tchem, jak wylicza się imiona dziesięciu synów Hamana podczas czytania *Megili*, i nie daje mi nawet słowa wyrzec, lecz wskazując na jakąś paczkę owiniętą w czerwoną chustę otwiera drzwi do alkierzyka i woła:

— Chawe!

Jak mnie tu widzicie przed sobą żywego, jak Żydem jestem! . . . I co wam powiedzieć, drogi przyjacielu? Tak, jak wy to opisujecie w waszych książkach, działo się u mnie. Ukazała się ona, Chawa znaczy się, w drzwiach alkierzyka. Zdrowa, gładka, piękna, taka jak była, ani o jotę nie zmieniona, tylko twarz miała nieco zasepioną, oczy trochę przymknięte, lecz głowę trzymała wysoko, dumnie, zatrzymała się na chwilę, spojrzała na mnie, a ja patrzyłem na nią stojąc jak wryty. Potem wyciągnęła ku mnie obie ręce i tylko jedno słowo, jedno jedyne słowo mogła wymówić, i to szeptem:

— Ta-to. . .

* * *

Nie miejcie mi tego za złe, lecz gdy przypominam sobie o tym, łzy mi w oczach stają. Nie myślcie tylko, że Tewje, broń Boże, uronił nawet łezkę czy okazał, jak to wy powiadacie, miękkie serce. . . Skądże znowu! To, co wtedy czułem tutaj wewnątrz, w sercu znaczy się — to inna para kaloszy. Sami jesteście ojcem, macie dzieci, tak samo jak ja rozumiecie znaczenie słów *Pisma Świętego*: „Jak lituje się ojciec nad dziećmi swymi”, a uczucie, gdy dziecko, które choćby nie wiem jak zgrzeszyło, patrzy prosto w duszę wołając: „tato!” jest wam także znane. . . No, proszę, bądźcie wy wtedy mędrcom i odepchnijcie je od siebie. Lecz rozważywszy to wszystko razem z odwrotnej strony również, wyobraźnia jednak pracuje, i gdy przypominam sobie, jaki figiel ona mi spletała. . . Chwedko Gałgan, bodajby go ziemia pochłoneła. . . I pop — oby imię jego zostało wyklęte. . . I moje łzy. . . I śmierć Gołde, *ołow haszołem*. . . Nie! Powiedzcie sami, jak można o tym wszystkim zapomnieć, no, jak można? . . . Ale, biorąc rzecz na odwrót — to jakże tak! Przecież to jednak rodzone dziecko. . . „Jak lituje się ojciec nad swymi dziećmi”. . . Jakż człowiek może być takim okrutnikiem, skoro Pan Wszechświata mówi o sobie, iż jest Bogiem pełnym miłosierdzia? A zwłaszcza, że ona żałuje swego postępu i chce powrócić do swego ojca i Boga! . . . I co wy na to, panie

Szołem Alejchem? Toż przecież jesteście Żydem, co to *kotoryj* robicie książki i udzielacie rad całemu światu, powiedzcie więc wy, co Tewje powinien był uczynić? Uścisnąć ją jak najbliższego człowieka, ucałować, przytulić i powiedzieć do niej słowami, które mawiamy w Jom Kipur, podczas Kol Nidrej: „Przebaczyłem według słów twoich” — czyli pójdź do mnie, albowiem jesteś mym dziecięciem? Czy może odwrócić dyszel w przeciwną stronę, jak wtedy, i powiedzieć: *tech te-cho* — czyli idź sobie z Bogiem z powrotem tam, skąd przyszedłeś? . . . Niechaj wam się zdaje, dla przykładu, że jesteście na miejscu Tewji, i powiedzcie mi na duszę waszą, ale szczerze, jak prawdziwemu przyjacielowi: jak byście wy wtedy postąpili? . . . A jeśli nie możecie mi tego powiedzieć w tej chwili, daję wam czas do namysłu. . . Na razie trzeba iść, wnuki oczekują mnie już, wypatrują dziadka. Musicie bowiem wiedzieć, że wnuki są jeszcze tysiącokrotnie droższe i bliższe od dzieci. „Synowie i synowie synów” — bagatelka!

Bądźcie mi zdrowi i nie gniewajcie się, że wam tak długo głowę zawracałem. Będziecie za to mieli o czym pisać. . . A jeśli Bóg pozwoli, to się jeszcze pewno zobaczymy. Wszystkiego najlepszego!

Napisane w 1914 roku.

Wachłakłakes

Spóźnione opowiadanie Tewji Mleczarza, opowiedziane przezeń jeszcze przed wojną, które jednak ze względu na naszą tułaczkę i wygnanie, i zawracanie głowy nie mogło dotychczas ujrzeć światła dziennego.

Pamiętacie jeszcze zapewne, panie Szolem Alejchem, jak to ja wam niedawno objaśniłem znaczenie rozdziałów *Tory Lech lecho* z wszystkimi trzydziestoma dwoma komentarzami: nie zapomnieliście też pewno o tym, w jaki sposób Ezaw rozliczył się przyzwoicie ze swym bratem Jakubem, sownie wynagrodził go za pierworodztwo, wygnawszy ze wsi z wszystkimi *potrochami*, z dziećmi, wnukami i bebechami, obrócił wniwecz mój cały dobytek wraz z konikiem, o którym do dnia dzisiejszego nie mogę bez łez wspomnieć, jak my to mówimy w *Kinot w Tisze Beaw*: „Nad tymi ja płaczę” — czyli zasłużył sobie na te łzy, które po nim wylewam. . . No cóż? To wszystko mógłbym już wam odstąpić, albowiem jeśli rozważymy tę sprawę z drugiej strony, to przecież wyjdzie nam znowu ta sama historia: czy to ja właściwie jestem lepszy, godniejszy, jestem większym beniaminkiem Pana Wszechświata niż inni nasi bracia, synowie Izraela, których Fońka wypędza na zbity łeb ze świętych wiosek, wymiatając je, oczyszczając, wykorzeniając z nich wszelki pęd, najmniejszy znak jakiegoś Żyda, jak my to mówimy: „I wspomina, i wynajduje” — czyli żeby nawet śladu po nich nie pozostało? Czym ja tu, pożał się Boże, tak bardzo poszczycić się mogę i czy mam prawo pieścić się przed Stwórcą więcej niż wszyscy wygnani wiejscy Żydzi, którzy błakają się teraz wraz z żonami i dziećmi po wszystkich rozdrożach jak te ślepe owieczki, nie wiedząc, gdzie noc przetrwać, nie mając gdzie głowy położyć, truchlejąc na samą myśl o tym, że lada chwila może zabłysnąć w pobliżu guzik uriadnika czy jakiejś innej cholery, jak my to mówimy w haftorze: *Jiso Adonaj olecho goj?* Tylko że co? — że Tewje nie jest nieukiem, jak inni wsiowi Żydzi, że jest w stanie zrozumieć *Chumasz* i komentarz Rasziego też? No to co z tego? Chcielibyście, ażeby Ezaw to potrafił docenić jak należy i miał szacunek przed takim Żydem? Czy może należy mi się za to jakieś specjalne uznanie? Chociaż prawdę mówiąc, to nie ma się tu znowu czego wstydzic, a już wadą nie jest to z całą pewnością — mam na myśli to, że jest się, chwalić Pana nad Panami, Żydem jak każdy przyzwoity Żyd, nie jest się ślepym, gdy trzeba czasem zajrzeć do księgi z drobnymi

literkami, jest się obznajomionym z cytataми i wie się, gdzie i co, i jak, tak jak piszą w *Pereku*: „I wiedz, co odpowiedzieć winienesz” — czyli błogo temu, który umie. . . Myślicie może, panie Szolem Alejchem, że mówię wam to o, tak sobie, byle gadać? Czy że może zapragnąłem nagle pochwalić się przed wami swoimi wielkimi umiejętnościami i uczonością? Nie miejcie mi tego za złe, ale tak może pomyśleć ktoś, kto nie zna Tewji. Tewje nie będzie plótł byle co, byle mleć ozorem, a przechwalać się też nie lubi i nigdy nie lubił. Tewje lubi opowiedzieć o czymś, co „na własne oczy widziałem” — czyli on sam przeżył i co jemu samemu się przytrafiło. Usiądźcie sobie, o tu, na chwilkę, a usłyszycie coś ładnego, jak to człowiekowi przydać się może to, że nie jest prostakiem, czyli zwykłym *boser wedogim*, i ma jakie takie pojęcie o sprawach zaświatów, wie, gdzie należy przyśrubować cytat chociażby z *Tehilim*.

Słowem, było to, o ile się nie mylę, już dość dawno temu, a nawet bardzo dawno, obawiam się, czy nie w najgorętszym czasie „dni onych” — czyli okresu rewolucji i kosnetucji, kiedy to czarna brać natarła na żydowskie miasta i miasteczka, w podniosłym nastroju i nieskrępowanymi rękami niwecząc żydowski dobytek i majątek, „jak napisane jest” — czyli jak stoi w modlitewnikach: „Ten, który pokonuje wrogów i upokarza zuchwałych” — to jest wybijając okna i prując pierzyny. . . Zdaje się, że wam już kiedyś opowiedziałem o tym, że ja osobiście nie przejmuję się zbytnio takimi rzeczami i niezbyt się tego lękam, gdyż jest to rzecz zwyczajna i zrozumiała: sprawa przeznaczenia, dopust boży, nie muszę więc być wyjątkiem wśród ogółu żydowskiego, jak my to mówimy w *Pereku*: „Cały lud Izraela swój udział posiada”. Tylko że co? Że to może całkiem po prostu taka epidemia, taka zaraźliwa choroba, pożał się Boże, taki przemijający huragan? No, to w takim razie nie należy podupadać na duchu! Burza się uciszy, niebiosy się wypogodzą i będzie „odnów dni nasze jak przedtem” — czyli jak chłop, nie przyzierając, powiada: *Ne buło u Mikity hroszej i ne bude. . .*

I tak też było, tak samo działo się wtedy, gdy zjawiła się u mnie hromada ze wsi, jak to wam już kiedyś opowiedziałem, o ile się nie mylę, i obwieściła mi radosną nowinę, że przybyli po to, by uczynić ze mną, co czynią z całym ludem Izraela, czyli przyszli, by spełnić nakaz *biej Żydów*. Ma się rozumieć, że przede wszystkim nagadałem im, ile wlażło; zacząłem im wyjaśniać, zadawać pytania, jak to Tewje potrafi:

— Jakże to tak? I jakim sposobem, i dlaczego, i za co, i co to w ogóle za taki porządek, by napaść w biały dzień — powiadam — na człowieka, rozpruć mu bety i wypuścić pierze z piernatów. . .

No cóż? Gadaj tak, gadaj siak — widzę, że to wyrzucone słowa. Uparli się i nic u nich nie wskórasz. Muszą — powiadają — wykazać się przed naczalstwem. Obawiają się, że jeśli diabli przyniosą tu jakiegoś naczalnika czy czarci wiedzą kogo, niech przynajmniej widzi — mówią — że nie gorsi są od innych, nie przepuścili Żydowi o, tak sobie, bez jakiegokolwiek choćby znaku najmniejszego

pogromu. Jak oni będą wyglądali — powiadają — wobec naczalstwa? Dlatego też hromada postanowiła, że muszą ze mną coś zrobić!

Otóż prawie w ostatniej chwili wpadłem na taki pomysł:

— Wiecie co — mówię do nich — skoro hromada postanowiła i tak uchwaliła — mówię — to trudno! Co może być ważniejszego od hromady? Ale wiecie co — powiadam — czy wam aby wiadomo, że istnieje coś, co jest ważniejsze od hromady?

A oni na to:

— Co może być ważniejszego?

Więc ja im na to:

— Pan Bóg! Nie mam tu na myśli *Elohejnu* — czyli nasz Bóg, albo *Elohejchem* — czyli wasz Bóg. Mam na myśli *Elohejnu weelohej awojsejnu* — czyli nasz wspólny Bóg... Ten, który stworzył mnie i was, nie przymierzając, i waszą całą hromadę. Oto — powiadam — kogo mam na myśli. I u niego — mówię — trzeba by się wywieść, czy taka właśnie jest Jego wola, czy to On każe, ażebyście mi zło i krzywdę wyrządzili. Albowiem możliwe jest, że On sobie tego życzy — prawię — ale może też być, że On tego nie pragnie wcale. Tylko że w jaki sposób dowiemy się o tym? Będziemy — powiadam — losowali, wyciągniemy losy. Oto — mówię — leży tu *Tehilim* przez Boga nam dany. Wy przecież — powiadam — wiecie, co to takiego *Tehilim*! Po naszymu *Tehilim* — a po waszemu *Psałtyr'* — mówię — i niechaj ten oto święty *Psałtyr'* — powiadam — będzie naszym sędzią, czyli *mirowoj sudia*. On — prawię — zawyrokuje, czy macie mnie bić, czy nie...

Moi goście zaczęli szeptać i spozierać po sobie z zaciekawieniem, a Iwan Poperyło — ich starosta znaczy się — wyszedł na sam środek i odezwał się do mnie:

— W jakież to sposób święty *Psałtyr'* zawyrokuje?

A ja mu na to:

— Jeśli ty, Iwan, dasz mi swe słowo i rękę na to, że hromada wykona wszystko, co *Psałterz* każe, wówczas pokażę ci, w jaki sposób to zrobimy...

Na to Iwan wyciąga do mnie prawicę i oświadcza:

— Co się rzekło — powiedziane jest!

— No, jeśli tak — ja mu na to — to dobrze. Teraz — ciągnę dalej — ja otworzę *Psałterz*, przeczytam wam pierwsze słowo — mówię — które wpadnie mi w oko — powiadam — a wy będziecie tak uprzejmi i łaskawi powtórzyć je. Więc tak: jeśli któryś z was — mówię — potrafi powtórzyć to słowo, będzie to oznaczało, że taka — powiadam — jest wola boska i macie mnie bić lub zrobić ze mną, z Tewją, co wam się żywnie podoba. Jeśli zaś — prawię — nie potraficie, będzie to oznaką, iż Pan Bóg na to nie zezwala... Zgadzacie się?

Starosta Iwan spojrział porozumiewawczo na hromadę i odparł:

— *Ładno!*

— Skoro tak — powiadam — to w porządku. — Otwieram *Psalterz* i odzywam się do nich: — Oto jest tu wyraz: *Wachtaktakes*. . . Czy możecie się podjąć — pytam — powtórzenia tego słowa?

Ci patrzą jeden na drugiego, wszyscy razem na mnie, i każą jeszcze raz powtórzyć. A ja im na to:

— Choćby i trzy razy, jeśli chcecie: *wachtaktakes, wachtaktakes, wachtaktakes*.

A oni znowu:

— Nie, Tewel! Ty nie mów wciąż chał — chał — chał! Mów — powiadają — pełną gębą, wyraźnie, zrozumiale i powolutku!

— Dobrze — odparłem. — Będę mówił całą gębą, wyraźnie, zrozumiale i powolutku: *wach-tak-ta-kes!* Teraz jesteście zadowoleni?

Zastanawiali się przez chwilę i zabrali się do dzieła, każdy na swój sposób. Jeden rzekł: „hajdamaki”, drugi „łomaki”, u trzeciego wyszło już „chajkalia”. Że mu się też nagle spodobało to „chajkalia!” Chyba na cześć Chai Lei, żony kuter-nogi Naftole Gerszona z Anatewki? Widząc, że końca nie będzie, powiadam:

— Wiecie co, moje dzieci, widzę że to dla was — powiadam — niełatwa robotą. Nie dla waszych głów widocznie to całe *wachtaktakes*; wobec tego znajdę inne słowo — mówię — też z *Psalterza*. *Mimaamakim korosicho* — czyli „z głębokości wzywałem Cię, Panie”.

I zaczęło się naturalnie to samo co i przedtem. U jednego wypadło: *Lochanka kjerosina*, u drugiego: *Kriwlaka buzina*, a trzeci splunął i rzekł: *Nechaj tobi łycha hodyna!*

Słowem, przekonali się zapewne, że się tak szybko z Tewją nie rozprawią i że Tewji nie przegadają, odezwał się przeto do mnie starosta Iwan Poperyło tak oto:

— Historia tej sprawy jest taka oto — powiada. — Właściwie to przeciw tobie, Tewel, nic nie mamy. Jesteś wprawdzie Żydem, lecz wcale niezłym człowiekiem. Tylko jedno z drugim nie ma nic wspólnego i bić ciebie wszystko jedno trzeba. Hromada tak postanowiła — przypało! Wybijemy ci — powiada — przynajmniej parę okien. Od biedy mógłbyś sobie sam kilka szyb wywalić, byle im gęby zatkać i niech ich cholera porwie! Może — mówi — czarci przyniosą tu przejazdem kogoś z naczalstwa, więc zobaczy — powiada — żeśmy ci nie popuścili w niczym. Bo w przeciwnym razie mogą nas — mówi — jeszcze przez ciebie osztrafować. . . A teraz — prawi — postaw, Tewel, samowar i ugość nas herbatą, no i ma się rozumieć, że bez pół antańka wódki dla hromady ta sprawa się nie obejdzie. Wychylimy po kielichu za twoje zdrowie, albowiem — powiada — mądry z ciebie Żyd i ludzki człowiek. . .

Tymi słowami i w ten sposób, oby mi istotnie Wszechmocny dopomógł wraz z wami we wszystkim, co uczynić zamierzamy.

No, a teraz pytam was, panie Szolem Alejchem, toż jesteście przecież Żydem, co to *kotoryj* zajmujecie się pisaniem książek, to czy ja nie mam słuszności, gdy

powiadam, że mamy potężnego Boga, że jak długo człowiek żyje, tak długo nie powinien upadać na duchu. A zwłaszcza Żyd, a już zwłaszcza taki, co to należy do anszej szłojmejnu — czyli zna się na drobnych literkach! Ponieważ po wszystkim, słyszycie, człek się przekonuje, iż ziszcza się to, co my co dzień powtarzamy w modlitwie: „Błogosławieni zamieszkujący dom twój” — czyli jak dobrze i jak błogo temu, kto nie jest nieukiem. I jak byśmy się nie mądryli, nie usiłowali dociekać wszystkiego wszelkimi chytrymi, przemądrzałymi sposobami, musimy w końcu przyznać, że my Żydzi jesteśmy jednak najlepszym, najmądrzejszym narodem spośród wszystkich narodów, tak jak to powiada prorok: *Mi keamcho Isroel goj echod* — czyli jakże równać się może goj z Żydem? Goj jest gojem, a Żyd Żydem, tak jak wy sami w swoich powiastkach powiadacie: Żydem trzeba się urodzić. . . „Jakże dobrze ci, Izraelu” — czyli jakże szczęśliwy jestem, iż urodziłem się Żydem, albowiem dzięki temu czuję smak tułaczki i poniewierki wśród narodów świata — „i wyjechali, i odpoczywali” — czyli gdzie człowiek nocuje, tam dnia spędzić nie może, gdyż od chwili, kiedy przerobiono ze mną *sedre tech techo*, pamiętacie przecież, iż opowiedziałem wam o tym szczegółowo, prawda? — wlokę się jeszcze wciąż i wlokę, i nie mogę spokoju zaznać. Jeszcze nie było tego wypadku, ażebym mógł powiedzieć: „Tu oto, Tewje, osiedlisz się, pozostaniesz”. Ale Tewje nie stawia żadnych pytań. Kazano mu iść — idzie więc. . . Oto spotkaliśmy się z wami, panie Szolem Alejchem, dzisiaj w pociągu, jutro może nas los zarzucić do Jehupca, za rok możemy znaleźć się w Odessie, w Warszawie, a może nawet w Ameryce. . . Chyba gdyby Pan nad Panami zlitował się i rzekł: „A może bym wam tak zesłał Mesjasza?!” Oby nam spłatał takiego figła, Ten nasz Wiekuisty, Stary Pan Wszechświata! Na razie bądźcie mi zdrowi, jedźcie w zdrowiu, pozdrówcie naszych braci Żydów i powiedzcie im tam, ażeby się nie martwili: nasz stary Pan Bóg wciąż trwa i istnieje! . . .

Słowniczek

aguna — kobieta porzucona przez męża albo żona zaginionego; wg prawa rabinicznego nie może powtórnie wyjść za mąż

alef — pierwsza litera alfabetu hebrajskiego, przypomina nieco krzyż

Ał tiftach pe łesoton — (hebr.) „Nie otwieraj ust dla szatana”. Tu w znaczeniu: „Nie wymawiaj w złą godzinę”

Alejchem weał bnejchem — (hebr.) „Wam i waszym dzieciom”. Odpowiedź na powitanie *Szołem alejchem!*

anszej szłojmejnu — tu: nasi, swojacy, bliscy

Aszrej jojszwej wejsecho — (hebr.) „Błogosławieni przebywający w domu Twoim”. Początek modlitwy popołudniowej

baał parnose — człowiek interesu

Balak (Bołok) — nazwa jednej z sedr, od imienia króla Moabu

bałagula — furman

Begape jowoj, begape jejce — (hebr.) „Sam przyjdzie, sam wyjdzie”

bejt — druga litera alfabetu hebrajskiego

Bereszit bara Elokim — (hebr.) „Na początku stworzył Pan”. Incipit *Genesis*

Berocheł bitcho hanakete — (hebr.) zniekształcony cytat z *Pisma Świętego*. Jakub wyjaśnia Labanowi, że mówi *berocheł bitcho haktano* — „o Racheli, twej młodszej córce”. Wśród ludu utarło się to powiedzenie ze zmianą ostatniego słowa; *nakete* po żydowsku znaczy „goła”

Bikur Cholim (Bikur Chojlim) — towarzystwo filantropijne opiekujące się biednymi chorymi

Bnej Adam (Bnej Odom) — synowie Adama, ludzie. Pierwsze słowa i nazwa modlitwy odmawianej podczas składania ofiary z koguta przed nadejściem Jom Kipur

Boser wedogim — (hebr.) „Mięso i ryby”. Powinno być *boser wedom* („mięso i krew”) — śmiertelnik

Caar giduł bonim — (hebr.) „Męka wychowywania dzieci”

cadyk, l.mn. cadykim — sprawiedliwy; charyzmatyczny przywódca duchowy chasydów. Zwolennicy cadyków wierzyli m.in. w ich moc czynienia cudów; cadejkis — tu: mądra kobieta

Chad Gadja — (aramejskie) koźle; tytuł żydowskiej pieśni paschalnej

Chaj wekajom — (hebr.) „Żywy i wieczny”; epitety Boga występujące w modlitwach

Chanuka (Chanuke) — święta upamiętniająca wznowienie kultu religii możeszowej w odrestaurowanej Świątyni Pańskiej (rok 165 p.n.e.)

chazen — kantor

cheder — dawna elementarna żydowska szkoła religijna, w której chłopcy od piątego roku życia uczyli się modlitw i *Biblii*

Chewra Kadisza (Chewre Kadisze) — Bractwo Pogrzebowe

Chuc loorec — (hebr.) „Poza krajem”, określenie ziem leżących poza granicami Izraela

chucpa — czelność

Chumasz (Chumesz) — *Pięcioksiąg*

chupa — baldachim. Ślub żydowski udzielany jest pod baldachimem

Czakendik un knakendik — (jid.) powiedzonko w znaczeniu „doskonałe, wyśmienite”

drosza — kazanie

elef hasziszi — szósty tysiąc. Szóste tysiąclecie od stworzenia świata to wg mistyków czas nadejścia Mesjasza

Elul (Ełuł) — miesiąc sierpień-wrzesień, ostatni w kalendarzu żydowskim

Erec Israel (Erec Isroel) — Ziemia Izraela

Fońka — Rosjanin

gabaj — urzędnik gminny, starosta bożniczy, administrator

Gemara (Gemore) — część *Talmudu* zawierająca komentarze do *Miszny*

goj — nie-Żyd

goles — diaspora

haftora — fragment z ksiąg prorockich czytany w synagodze w sobotę oraz dni postne po odczytaniu urywka z *Pięcioksięgu*

Hagada (Hagode) — opowieści o wyjściu Żydów z Egiptu czytane w wieczór pesachowy podczas kolacji

hakafo alef — pierwsze okrążenie uroczystej procesji wokół bóżnicy lub wewnątrz niej

Halel (Hałeł) — grupa psalmów odmawiana w ważniejsze święta

Harej Choszech (Horej Chojszech) — Góry Mroku, legendarne góry położone na końcu świata, wspominane w księgach religijnych

Hoszana Raba (Hojszane Rabe) — siódmy dzień Sukot, podczas którego odbywa się procesja wokół bóżnicy

Id — Żyd

Jaamojd reb Tewje bereb Szneur Załmen — (hebr.) „Niech się stawi reb Tewje, syn reb Szneura Załmena”

jaknehoz — tu: nierealny interes

Jam Suf — Morze Czerwone

Jamim Noraim (Jomim Noraim) — Groźne Dni, dziesięć dni pokuty od Rosz Haszana do Jom Kipur. Decyduje się wówczas los człowieka na następny rok

jefejfis — zniekształcone *jefejfijo* (hebr.) — piękność

jejcer horo — złe skłonności, złe instynkty powodujące człowiekiem wg przekonania religijnych Żydów

jiches — święty rodowód

Jiso Adonaj ołecho goj — (hebr.) „I ześle Pan na cię naród”

Jom Kipur — Sądny Dzień, dzień pokuty i postu

Kadisz — powszechna modlitwa codzienna, także modlitwa za zmarłych

kahał — gmina żydowska

kamec — samogłoska „o”

kapora — ofiara, odkupienie grzechów, w mowie potocznej także kozioł ofiarny

Kilchoch haszom — (hebr.) „Jak liże wół”. Powinno być: *Kizroach hoor* (hebr.) — „Gdy zabłyśnie światło”

Kinot (Kines) — pieśni żałobne, także *Treny Jeremiasza*

knakniśl — idiomatyczne przezwisko żydowskie

Kol Nidrej (Koł Nidrej) — modlitwa śpiewana w wieczór rozpoczynający Jom Kipur

Kotel Hamaarawi (Kojseł Hamaarowi) — Zachodnia Ściana, Ściana Płaczu, jedyna pozostałość Świątyni Jerozolimskiej

lamden — uczony, nazwa biegłego w *Talmudzie* i *Piśmie Świętym*

Lechaim! — toast przy wznoszeniu kielicha

łamedwownik — (od hebr. liter lamed i waw, łącznie oznaczających liczbę 36). Wg legendy świat istnieje dzięki 36 sprawiedliwym, przebywającym na nim w ukryciu

Łech techo — (hebr.) „Idź sobie”

Łoj jaate wełoj jowoj — (hebr.) „Nie wzejdzie i nie dojdzie”. Zniekształcony cytat wersetu odmawianego w święto Chanuka. Właściwie: *Jaate wejowej* — „Niech wzejdzie i dojdzie”

Łoj jizocher wełoj jipoked — (hebr.) „Ani wspomniany, ani przypomniany nie będzie”

Mazł tow! — (hebr.) „Szczęścia! Powodzenia”!

Mearat Hamachpela (Meoras Hamapchejło) — jaskinia w Hebronie, gdzie wg *Biblii* spoczywają Abraham, Izaak i Jakub

mecyja — rzecz znaleziona, osobliwość, przysmak

megiła — zwój pergaminu lub skóry służący do spisywania tekstu księgi świętej; *Megila* (Megiłe) — potocznie *Księga Estery*

Melech Eljon (*Mełech Eljon*) — popularna pieśń religijna mełamed — nauczyciel w chederze

mezuzza — zwitek pergaminu zawierający tekst z *Biblii* umieszczony w blaszonym lub drewnianym futerale, przybity do drzwi domu

mezynka — najmłodsza córka

Mi keamcho Isroel goj echod — (hebr.) „Któż jest jak Twój lud Izraela jednym narodem?”

Micraim — Egipt

Midrasz — komentarz do ksiąg biblijnych

Mincha (Minche) — modlitwa popołudniowa

Miszna (Miszne) — starsza część *Talmudu*, zawiera uporządkowane treściowo przepisy prawa religijnego i świeckiego

moni — dziecięce zdrobnienie żydowskiego wyrazu *mitch* (mleko)

moras — pani

Ogił weesmach — (hebr.) „Będę się cieszył i radował”

Ojdcho — (hebr.) „Złożę dziękczynienia”. Początek modlitwy

Ołow haszołem — (hebr.) „Pokój z nim!” *Ołecho haszołem* — „Pokój z nią!”

Omejn seto — (hebr.) „Niech się stanie na wieki”. Wzmocnione „amen”

Oszamnu — (hebr.) „Grzeszyliśmy”

patach — samogłoska „a”; w połączeniu z literą szin: „sza”

Perek — zbiór zasad moralnych

Pesach — Pascha, Wielkanoc, Święto Wolności upamiętniające wyjście Żydów Egiptu

Pitom i Ramses — nazwy miast egipskich, które wg *Biblii* wzniesli Żydzi w niewoli egipskiej

posek — określenie nauki świętej

Purim — święto upamiętniające ocalenie Żydów w Persji od prześladowań królewskiego ministra Hamana

reb — tytuł grzecznościowy, odpowiednik polskiego „pan”

Ribojne Jojne, host asach azojne? — (jid.) „Panie Jojne, czy masz dużo takich jak ten?” Żartobliwe powiedzenie

Ribojno szet ojłom — (hebr.) „Panie Wszechświata”

Rosz Haszana (Rosz Haszone) — Nowy Rok obchodzony zazwyczaj we wrześniu

Selichot (Sliches) — prośby o dopuszczenie grzechów odmawiane od Rosz Haszana do Jom Kipur

sedra — rozdział *Pisma Świętego*

Skocł kumt — idiomatyczne powitanie żydowskie

Sukot (Sukes) — Święto Szafasów. Kuczki. Obchodzone na pamiątkę pobytu Żydów na pustyni. Również uroczystość zakończenia zbiorów

Symchat Tora (Symchas Tojre) — święto związane z zakończeniem rocznego cyklu czytania *Tory*, obchodzone ostatniego dnia Sukot

szadchen — swat

Szehakoł nihje bidworoj — (hebr.) „Wszystko stało się według słów Jego”. Końcowa część błogosławieństwa odmawianego przez pobożnych Żydów przed wypiciem kieliszka wódki

Szawuot (Szwues) — święto objawienia *Tory* na górze Synaj, zarazem święto pierwszych zbiorów

sziszi, maftir — tu: określenia czytających w bóżnicy kolejne partie *Tory*

szuwe — siedem, także siedem dni żałoby po zmarłym

Sziwo deworim baofłom — (hebr.) „Siedem rzeczy jest na świecie”. Ostatni wyraz został przekreślony: *gojłom* oznacza golema lub głupca

Szłozszo deworim — (hebr.) „Trzy słowa”

szmendryk — niedorzeczność, także przezwisko

Szmone Esrej (Szmojne Esrej) — Osiemnaście Błogosławieństw, najstarsza modlitwa judaizmu odmawiana z twarzą zwróconą ku wschodowi

Szojte ben pikholc — (hebr.-jid.) idiomatyczne przezwisko głupca lub niedołągi

Szołem alejchem — (hebr.) „Pokój wam”. Pozdrowienie

szolesz sudes — uroczysty popołudniowy posiłek sobotni, podczas którego rabini głosili słowo Boże i nauki moralne

Talmud — obszerne dzieło stanowiące podsumowanie doktrynalno-religijne pobiblijnego dorobku judaizmu. Składa się z *Miszny* i *Gemary*

Talmud Tora (Tałmud Tojre) — szkoła utrzymywana z ofiar filantropów, w której biedniejsze dzieci uczyły się bezpłatnie *Pisma Świętego* i modlitw

tanaj — nauczyciel, uczony

Targum — aramejskie tłumaczenie *Biblii*

targum łoszn — język aramejski, potocznie określenie czegoś niezrozumiałego

Targum Onklos — przekład Onklosa, autora tłumaczenia *Pięcioksięgu* na język aramejski

taw — ostatnia litera alfabetu hebrajskiego

Tehilim (Tiłym) — *Psalmy*

Tisze Beaw (Tisze Bow) — dziewiąty dzień miesiąca Aw (lipiec-sierpień), dzień żałoby po zniszczeniu Świątyni Pańskiej przez Nabuchodonozora (586 rok p.n.e.) i cesarza Tytusa (70 rok p.n.e.)

tkias kaf — uroczyste przyrzeczenie, którego złamanie jest grzechem

Tochacha (Tojchocho) — nazwa partii *Pięcioksięgu* omawiających kary i klątwy

Tora (Tojre) — *Pięcioksiąg*, w szerszym znaczeniu — wiedza i nauka w ogóle. Także zwój przechowywany w Arce Przymierza

Turo beturo — (aram.) „Góra z górą”. Przysłowie

Unetana Tokef (Unsane Tojkef) — najbardziej uroczyste modły podczas Rosz Haszana i Jom Kipur

Wachtaklakes — (hebr.) „Komplementy, pochlebstwa”

Wajejsojen — (hebr.) „I nadejda”

Wajikro — (hebr.) „I zawezwał”

Wajisztach — (hebr.) „I wysłał”, także tytuł fragmentu *Genesis*

Wechoł maaminin shehu — (hebr.) „I wszyscy wierzący, iż On”

Zemirot (Zmires) — pieśni śpiewane przy stole podczas sobotnich posiłków

Uwaga: wszystkie cytaty podane są w wymowie aszkenazyjskiej, używanej w języku jidysz. Tytuły dzieł oraz nazwy hebrajskich świąt, modlitw, miesięcy itd. posiadają brzmienie sefardyjskie (używane współcześnie w Izraelu i w terminologii naukowej), w nawiasie zaś umieszczono ich aszkenazyjski odpowiednik.